

Elisabeth Sanxay

Holding

Czysta sprawa

Przekład: Iwona Chamska

C&T Toruń

## Rozdział pierwszy

Luda Holley co wieczór pisała do męża, przebywającego gdzieś na Pacyfiku. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej listy są nudne, ale wiedziała, że dają komandorowi Holleyowi obraz życia spokojnego i pogodnego jak niewielkie górskie jezioro.

„Drogi Tomie”, pisała. „Dziś pada deszcz.”

Skreśliła i siedziała przez chwilę, spoglądając w okno. Po szybie srebrzystym strumieniem spływał deszcz. Nie ma sensu pisać mu o tym, pomyślała. To zabrzmiałoby dość ponuro. „Zakwitły krokusy”, napiła się i znów się zatrzymała. To już trzecia wiosna z kolei, kiedy kwitną krokusy, a ty ich nie zobaczyłeś. Twoja córka, cudowna mała Bee, do-rasta bez ciebie, Tom. Potrzebuję cię, Tom. Boję się.

Jednym z jej małych kłamstewek było udawanie, że nie ma już ochoty palić. Trudno było dostać papierosy. Miała kłopot z kupowa-niem ich dla ojca. Kiedy palił, siadała obok i potrząsała głową. Nie, ta-to, dziękuję. Już w ogóle nie mam ochoty palić.

A jednak w swoim pokoju miała schowanych kilka papierosów na specjalne okazje. Wyjęła jednego i zapaliła. Oparła plecy o fotel. Była wysoką, szczupłą, wręcz chudą kobietą, nie wyglądającą na swoje trzydzieści osiem lat. Miała poważną twarz o ciemnej karnacji i pięk-ne, ciemne oczy. W gruncie rzeczy była piękna, ale sama już chyba o tym zapomniała, straciła tę odrobinę kokieterii, jaką kiedyś posia-dała.

Tego deszczowego wieczoru w domu było bardzo cicho. Jej syn, David, położył się wcześniej, stary pan Harper, jej ojciec, czytał w sa-lonie, służąca Sibyl przestała się kręcić w pokoju na górze.

Bee zamknęła się w swoim pokoju, zbuntowana i wściekła, pew-nie płakała. Nie radzę sobie z nią zbyt dobrze, pomyślała Lucia Holley.

Gdybym była jedną z tych mądrych, uśmiechniętych, tolerancyjnych matek ze sztuk i książek. Ale nie, nie jestem mądra i nie jestem tole-rancyjna w stosunku do tego człowieka. Nienawidzę go.

Gdyby Tom tu był, pomyślała, pozbyłby się tej bestii. Gdyby David był starszy... Albo gdyby ojciec był młodszy... Nie ma nikogo. Sama muszę się tym zająć i nie radzę sobie najlepiej.

Z ciężkim sercem wspominała wizytę w Nowym Jorku, w małym, obskurnym hoteliku w środku miasta, gdzie mieszkał Ted Darby. Pa-miętała, jak się czuła i jak wyglądała, stojąc przed recepcją, prosząc bladego, wyniosłego recepcjonistę, by zawiadomił pana Darby, że ktoś go oczekuje. W starym, tweedowym płaszczu, szarych, bawełnianych rękawiczkach i okrągłym, filcowym kapeluszu prezentowała się jak wieśniaczka i już była na przegranej pozycji. Nie wyglądała na mądrą, pogodną, obytą w świecie matkę, którą chciała być.

— Pan Darby zaraz zejdzie — powiedział recepcjonista.

Usiadła na ławce pokrytej zielonym pluszem, czekała i czekała

w niewielkim, ponurym hallu. Kiedy usiadł obok niej odźwierny w mundurze, zrozumiała, że ławeczka jest przeznaczona dla niego i jego kolegów. Był to starszy pan. Pomyślała, że jeśli teraz szybko wstanie i odejdzie, urazi go, więc siedziała tam jeszcze, kiedy Ted Darby wychodził z windy.

Szedł w jej kierunku, wyciągając dłoń.

— Pani jest na pewno matką Bee — powiedział.

Popętniła błąd, podając mu dłoń, ale jeszcze nigdy nie odmówiła nikomu podania dłoni. To był odruch.

— Może byśmy poszli do kawiarni? — zaproponował. — O tej

porze dnia jest tam spokojnie.

Małe, słabo oświetlone pomieszczenie pachniało piwem i werni-ksem. Usiedli przy narożnym stole. Rzuciła mu szybkie, pełne oczekiwania spojrzenie i milczała. Wyglądał znacznie gorzej, niż się spodziewała, chudy blondyn z pogardliwym uśmiechem na twarzy. Cherlawy, pomyślała, i ubrany z dozą teatralnej nonszalancji w pastelowo-niebieski płaszcz, ciemnoniebieski, flanelowy garnitur i zam-szowe mokasyny.

Odmówiła drinka, a on zamówił dla siebie żytniówkę. Znów był na silniejszej pozycji. Był spokojny, zrelaksowany, a ona czuła się okropnie.

— Nie chcę, żeby moja córka widywała się z panem, panie Darby

— powiedziała w końcu.

— Droga pani, czy nie Bee powinna o tym decydować? — zapytała.

— Nie — odparła Lucia. — To jeszcze dziecko. Ma dopiero siedemnaście lat.

— Zdaje mi się, że w przyszłym miesiącu będzie mieć osiemnaście.

— To nie ma znaczenia, panie Darby. Jeśli nie przestanie się pan widywać z Beatrice, będzie się musiał tym zająć mój prawnik.

— Czym się zająć, droga pani?

— Wiem, że pan jest żonaty — odparła.

— Ależ, droga pani — odparł ze śmiechem — co w tej sprawie może zrobić pani prawnik? W końcu to nie żadna zbrodnia.

— Pan nie powinien widywać się z Bee.

— Coś takiego... — zaprotestował. — Ta biedna dziewczyna mówiła mi, że wiedzie straszliwie nudne życie, a chciałaby bywać w świecie, poznawać ciekawych ludzi. Chętnie ją wprowadzę do towarzystwa. Wie, że jestem w trakcie rozwodu, ale jej zdaniem to nie jest powód, żeby się ze mną nie spotykać.

Spotkanie okazało się nie tylko zupełnie nieskuteczne, ale wręcz szkodliwe. Ted powiedział o nim Bee, a ta była bardzo zła.

— Ted jest taki dobry, tylko się z tego śmiał — powiedziała matka — ale mnie to nie śmieszy. To najbardziej upokarzająca, najgorsza rzecz, jaka mi się przydarzyła.

— Bee — rzekła Lucia—jeśli mi nie obiecasz, że nie będziesz się z nim więcej widywać, zabiorę cię z tej szkoły plastycznej.

— Nie zabierzesz mnie ze szkoły i nic ci nie obiecuję.

— Bee, Bee, kochana, zaufaj mi. Chodzi mi tylko o twoje dobro.

— To ty mi zaufaj — płakała Bee. — Ted jest najciekawszym człowiekiem, jakiego dotąd spotkałam. On zna wielu ludzi, artystów, aktorów. Nie mam z nim jakiegoś nieprzyzwoitego romansu.

— Wiem, że nie — odparła Lucia — ale, Bee, musisz mi uwierzyć na słowo... to nie jest odpowiedni dla ciebie mężczyzna.

— Nie wierzę ci — odpowiedziała Bee. — Myślisz, że wszystko wiesz, ale tak naprawdę jesteś po prostu strasznie staromodna. Nie możesz zrozumieć osoby takiej jak Ted.

Lucia Holley niechętnie użyła ostatecznego argumentu:

— Bee, jeśli nie obiecasz mi, że przestaniesz się z nim spotykać, nie dostaniesz pieniędzy na przejazdy i kieszonkowego.

— Nie zrobisz tego! — krzyknęła Bee.

— Zrobię wszystko, żeby cię powstrzymać — odparła Lucia.

Nie żartowała. Tydzień temu dzwoniła do niej kuzynka, Vera Rid-

gewood: „Lucia, kochanie, zastanawiam się, czy wiesz, że twoje uko-chane dziecko zadaje się z podejrzanym wyglądającym typem. Dwa ra-zy widziałam ich razem w barze «Marino», a dzisiaj wchodzili do lo-kału na Madison Avenue.”

To nic nie znaczy, pomyślała Lucia i bez zbędnego zdenerwowa-  
nia zapytała o to Bee.

— Bee, kochanie, chodzisz z kimś ze szkoły plastycznej do baru?

— Z Tedem Darbym — odparła Bee. — On nie chodzi do szkoły plastycznej. Pracuje w branży teatralnej.

— Wolałabym, żebyś nie chadzała z nikim do baru.

— Piję tylko piwo imbirowe.

— Ale mnie się nie podoba, że chodzisz do baru. Nie możesz iść z tym chłopakiem do cukierni?

— To nie jest chłopak — odparła. — Ma trzydzieści pięć lat.

Teraz Lucia zaczęła się denerwować.

— Więc zaprosz go tutaj — powiedziała.

— Nie będę go tu na siłę ciągnąć — rzekła Bee. — Zresztą i tak by nie przyszedł. Rozmawialiśmy już o tym i powiedziałam mu, że kiedy się dowiesz, że jest żonaty, nie pozwolisz mu nawet wejść do domu.

Chyba ją źle wychowałam, pomyślała Lucia, obserwując deszcz spływający po oknie. Tyle popełniłam błędów w wychowaniu Bee, już kiedy była mała. Nie podobali mi się jej koledzy. Denerwowałam się, kiedy zmieniała z jakiegoś powodu zdanie. Z Davidem poszło mi le-piej. Gdyby tu był Tom, wiedziałby, co jej powiedzieć. Już dobrze, ka-czuszko...! Rzeczywiście, kiedyś wyglądała jak mała, żółta kaczuśka ze zmierzwionymi piórkami.

Wstała i z ciężkim sercem podeszła do okna. Była niespokojna. Deszcz wartkim strumieniem płynął po oknie, błyszcząc jak olej. Drzewa kiwały się na wietrze. Na końcu ścieżki rysował się dziwaczny, długi kształt hangaru na łodzie, stojącego na tle niewidocznej z okna wody.

8

Tak tu pusto, pomyślała. Nie powinniśmy byli się tu przeprowadzić. Nie ma tu ludzi. Davidowi to nie przeszkadza, ale gdyby Bee po-znała jakichś miłych chłopców, może to by się nie wydarzyło. Może.

Ktoś był w hangarze. Zauważyła błysk ognia, który potem roz-pierzchnął się na boki i zgasł. Po chwili zauważyła drugi błysk, świecący mocno przez chwilę. Ktoś tam zapalał zapałki. Włóczęga? Jakiś pijak? Podpali hangar. Powinnam powiedzieć...

Nie, nie powiem ojcu ani Davidowi. Nie będą ryzykować. Sama też tam nie pójdę. Jeśli naprawdę podpali hangar, deszcz ugasi pożar, zanim dotrze do domu. Póki nie wchodzi tutaj...

Chciała się upewnić, czy wszystkie zamki są zamknięte i okna za-bezpieczone. Wyszła z pokoju. W kapciach cicho poruszała się po ko-rytarzu. Zeszła po schodach, a na dole zauważyła Bee, która ostrożnie zdejmowała łańcuch z drzwi. Podeszła do niej.

— Bee — powiedziała cicho — gdzie ty się wybierasz?

— Wychodzę — odparła Bee.

Miała na sobie przezroczysty, jasnoniebieski płaszcz przeciwde-szczowy. Blond włosy rozdzieliła na środku przedziałkiem i puściła luźno na ramiona. Zmrużyła niebieskie oczy, a usta wykrzywiła po-gardliwie. Lucia pomyślała, że wygląda pięknie i strasznie.

— Pada. Nie chcę, żebyś wychodziła.

— Przepraszam, ale wychodzę — odparła Bee.

Wyraziła się jasno.

— Nie — zaprzeczyła Lucia. — Nie możesz.

Bee zaczęła już naciskać klamkę, kiedy Lucia chwyciła ją za nad-garstek.

— Idziesz się spotkać z tym mężczyzną.

— Tak, spotkam się z Tedem — przyznała Bee. — Nie pozwalasz mi jeździć do Nowego Jorku, ale zadzwoniłam do niego i poprosiłam, żeby przyjechał tutaj. Przynajmniej wszystko mu wyjaśnię.

— Co się dzieje? O co wam chodzi? — wołał pan Harper, stojąc na progu salonu.

Nikt nie odpowiedział. Stał tak smukły, wyprostowany jak żół-nierz. Miał równo przycięte, siwe wąsy, jasnoniebieskie oczy, a w dło-ni trzymał otwartą książkę.

— Co się dzieje? — zapytał znów.

— Mama nie chce mnie wypuścić z domu — odparła Bee.

— Twoja mama ma rację, Beatrice. Jest zbyt późno i leje deszcz.

— Dziadku — zwróciła się do niego Bee. — Mam ważny powód

i mama o tym wie.

Luda zrozumiała, jaką sprytną taktykę obrała córka. Liczyła na bezgraniczne uwielbienie, jakim darzył ją dziadek, i miała nadzieję użyć go przeciw matce.

— Słuchaj matki, Beatrice — rzekł. — Tak będzie najlepiej.

— Nie! Ona nic z tego nie rozumie. Nie ma do mnie zaufania. My-  
śli, że jestem jakąś młodocianą przestępczynią.

— Daj spokój! — uspokajał ją pan Harper.

— Naprawdę! Ted przejechał taki szmat drogi, żeby się ze mną zobaczyć.

— Ted? Co za Ted? — dociekał pan Harper. — Gdzie on jest?

— W domku na łodzie. Chcę się z nim spotkać tylko na chwilę.

— Twoja matka ma słuszność, Beatrice. Jeśli chcesz się z nim spotkać, zaproś go do domu.

— Nie przyjdzie, nie po tym, jak mama go potraktowała.

— Beatrice, jeśli twojej matce się ten pan nie podoba, to na pewno ma ważny powód, możesz być tego pewna.

— Nie! — krzyknęła Bee. — Zaprosiłam go tu i wyjdę do niego tylko na chwilę.

— Obawiam się, że nie, moja droga.

Oj, Bee, kochanie! Nie rób takiej miny! Lucia czuła rozpacz w sercu. Nie jesteśmy twoimi wrogami... W świetle padającym z góry lśniły jasne włosy dziewczyny i jej niebieski płaszcz przeciwdeszczowy. Wyglądała tak pięknie, tak delikatnie i była tak bardzo zdesperowana.

— Chcesz powiedzieć, że macie z matką zamiar siłą powstrzymać mnie przed zrobieniem tego, co uważam za słuszne?

— Nie dojdzie do tego, moja droga — padło w odpowiedzi. — Zachowasz się rozsądnie i przestaniesz denerwować matkę. Wiesz, że ona myśli tylko o...

— Och, przestań! — krzyknęła Bee, tupiąc nogą. — Nie... Nie...

Zaczęła płakać, potrząsnęła głową, jakby łzy ją szczypały, odwróciła się i wbiegła po schodach na górę. Trzasnęły drzwi.

Mam nadzieję, że nie obudzi Davida, pomyślała Lucia. Nie chcę, żeby w ogóle się o tym dowiedział.

10

— No tak... — rzekł ojciec. Położył jej dłoń na ramieniu i poczuła wielką ulgę. — Oderwała cię pewnie od lektury, co?

— Pisałam właśnie do Toma, tato.

— Więc biegnij skończyć list, kochanie — rzekł. — Ja tu na dole  
wszystkiego dopilnuję.

Zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Zostanie w salonie i będzie siedział w miejscu, gdzie może obserwować schody, nawet całą noc, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ufała mu jak sobie samej. Ufała jego osądowi. Wiedziała, że nie myślał źle o tej biednej, rozwścieczo–nej, zdesperowanej dziewczynie.

Pocałowała go w policzek. — Dobranoc, tato — powiedziała i po–szła na górę do swojego pokoju.

„Drogi Tomie!

David wyśle ci kilka fotografii domu, żebyś wiedział, jak wygląda. Jest naprawdę ładny. Tylko ogródek nie jest najlepiej utrzymany. Zie–mia jest tu zbyt piaszczysta, ale pomidory zaczynają...”

Stawiała zgrabne, małe literki. Tak wiele słów było trzeba, żeby zappełnić kartkę przeznaczoną dla poczty polowej. Jestem taka powol–na, pomyślała. Jestem głupia. Źle postępuję z Bee.

Wiatr ucichł i deszcz zaczął padać pionowo, dudniąc w dach. Usłyszała otwierające się drzwi frontowe! Ted wszedł do środka! — pomyślała z przestrawieniem.

Wybiegła z pokoju i już ze schodów zobaczyła ojca, zdejmującego płaszcz nieprzemakalny. Zeszła na dół.

— Poszedłem do hangaru, moja droga — uspokajał ją. — Zamie–  
niłem kilka słów z tym jegomościem. Moim zdaniem, to nieciekawa  
postać. Lubi sprawiać kłopoty. Kazałem mu opuścić nasz teren, ale  
odmówił. Poradziłem sobie z nim. Szczerze mówiąc, zepchnąłem go  
do wody.

Był z siebie wyraźnie zadowolony.

— Woda tam nie ma nawet metra głębokości — dodał. — Dziec–  
ko by się nie utopiło. Nic mu się nie stanie. To mu dobrze zrobi, trochę  
go ostudzi.

Poklepał ją po ramieniu.

— Tak... — rzekł. — Dałem mu po uszach.



## Rozdział drugi

Lucia Holley uwielbiała wstawać bardzo wcześnie rano. Dawało jej to cudowne poczucie wolności i prywatności. Mogła robić, co jej się podobało, podczas gdy inni jeszcze spali.

Tego dnia obudziła się o piątej. Przez chwilę leżała i z ciężkim sercem myślała o Bee, ale była osobą silną i żywotną i nie potrafiła długo leżeć bez ruchu. Wstała, włożyła czarny, wełniany strój kąpielowy, biały, gumowy czepek do pływania, wzięła sznurkowe sandały w dłoń i boszo zeszła na dół. David tak się pieklił, kiedy pływała samotnie.

— Żaden rozsądny człowiek — mówił surowym tonem — tak nie postępuje.

— Jestem rozsądna — odpowiadała Lucia. — Pływam od dziecka.

— Nikt nie powinien pływać samotnie — mówił David. — Poza tym na początku maja woda jest jeszcze za zimna. Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

Nie chciała robić czegoś, co martwiłoby Davida, ale on nigdy nie wstaje przed wpół do ósmej czy nawet ósmą. Do tego czasu będą już sucha i ubrana, pomyślała. Nawet się nie dowie. To taka cudowna pora dnia.

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Usiadła na schodach i założyła sandały. Poranek był szary, ale świeży i obiecujący. Nie wyglądał na początek deszczowego dnia. Odpłynę kawałek łódką, pomyślała. Doszła do wniosku, że podczas pływania w szarej wodzie, pod pogodnym niebem, wymyśli nowy, lepszy sposób na przeprowadzenie rozmowy z Bee.

Powinam podsunąć jej coś innego, pomyślała. Jeśli nie pozwolę tej biedaczce chodzić do szkoły plastycznej, to co ona pocnie? Powinam się rozejrzeć, poznać jakichś ludzi, ze względu na Bee. Nie umiem sobie z tym radzić. To takie trudne bez Toma.

Wyszła za mąż, mając osiemnaście lat, i nigdzie nie chodziła bez Toma, nigdy nawet o tym nie pomyślała. Przed ślubem mieszkała z matką i ojcem i wiodła spokojne, szczęśliwe życie domatorki. Nie-wiele się w nim działo. Z natury była przyjacielska i tolerancyjna, ale

12

nie miała wiele do powiedzenia. Nie miała skłonności i potrzeby prowadzenia życia towarzyskiego.

To mój błąd, pomyślała. Kiedy się ma córkę w wieku Bee, moim obowiązkiem jest coś robić. Może

powinnam poprosić ojca, żeby odwiedził ze mną lalka osób... Może moglibyśmy z ojcem zapisać się do klubu jachtowego.

Hangar na łódzie był dziwnie wyglądającą konstrukcją, długim, drewnianym tunelem na betonowej podstawie, do której cumowano łódzie. Do niego dobudowano od strony lądu niewielką piętrową chatkę z gankiem. Doskonale nadawała się dla szofera albo dwóch osób służby. Tak mówił pośrednik sprzedaży nieruchomości. Tylko że Lucia nie miała szofera, a Sibyl nie chciała tam mieszkać.

Drewniana ściana tunelu kończyła się otwartą przestrzenią i rampą. Zeszła tam, do zamglonego zakątka, gdzie do żelaznych haków przycumowano łódź, kajak i motorówkę. Wszystkie odpłynęły teraz na długość liny wraz z falą odpływu. Zaczęła przyciągać łódź. Zdawała się opierać. Kiedy weszła na nią, zauważyła ciało.

W motorówce, twarzą w dół, leżał mężczyzna w dziwnej, przerażającej pozycji, z uniesioną głową i ramionami, z nogami rozpostartymi na ławce. Nie widziała twarzy, ale coś w jego wyglądzie, może kształt głowy, sprawiło, iż była prawie pewna, że to Ted Darby. Była też prawie pewna, że nie żył.

Jednak prawie to nie na pewno. Weszła na motorówkę i przekonała się, że to Ted Darby. Był martwy. Upadł na zapasową kotwicę pozostawioną na siedzeniu motorówki, jej koniec przebił mu gardło.

To wina taty, pomyślała.

Stała na kiwającej się lekko motorówce z nogami rozstawionymi szeroko, by utrzymać równowagę, wysoka kobieta o długich nogach, w białym szlafroku. Oczywiście, przyjedzie policja, a wtedy tata do-wie się, że to zrobił. Dowiedzą się, po co Ted tu przyjechał i wciągnął w to Bee. Nie uda mi się tego utrzymać w tajemnicy przed Tomem. To niemożliwe. Znajdziemy się w gazetach.

To będzie straszne, pomyślała. Dla małej Bee, dla Toma, dla Davi-da, a najstraszniejsze będzie dla taty. Będzie sądzony. Będą go za to winić. Będzie zaskoczony i poniżony.

Gdybym tylko mogła pozbyć się Teda, pomyślała, nic się nie sta-nie. Muszę coś wymyślić, żeby nas wszystkich uratować.

Mogę to zrobić, pomyślała, tylko muszę go zdjąć z tej kotwicy.

Stała, kiwając się lekko wraz z łodzią, i przekonywała sama siebie, że potrafi to zrobić. Miała w sobie przedsiębiorczość matki, gospodyni domowej przywykłej do nagłych wypadków. Wiele razy musiała so-bie radzić z różnymi przypadkami, nagłymi zachorowaniami, załama-niami nerwowymi. Przez wiele lat to ona zajmowała się takimi spra-wami. Fizycznie miała dość siły, by to zrobić, brakowało jej tylko odwagi. Nie mogę go dotknąć, pomyślała.

To bzdura, przekonywała sama siebie. Kiedyś myślałam, że nie dam rady uśpić starego Tygrysa, ale udało

się. Kiedy gosposia się rozchorowała i zostaliśmy w domu sami, poradziłam sobie z tym. Albo wtedy gdy David spadł do piwnicy i leżał na podłodze z twarzą we krwi... Potrafię to zrobić.

Okazało się to trudne, ponieważ ciało zaczynało już sztywnieć. To było okropne. Kiedy już położyła Teda na dnie łodzi, dyszała głośno, jakby płakała. Wyjęła ze schowka plandekę i przykryła go, potem od-cumowała łódź i włączyła silnik.

W ciszy poranka, w spokojnym zakątku, dźwięk motoru wydawał się wyjątkowo głośny i przerażający. Miała kłopot z odpaleniem silni-ka. Gaś co chwilę. Bum, brum, brrrum bum bum. Bum. Usłyszają w do-mu i ktoś przyjdzie, pomyślała. Nawet gdy silnik już równo chodził, wciąż straszliwie hałasował.

Przepełnęła przez wąskie przejście wśród trzciny i wydostała się na otwarte, ciche, spokojne i szare wody cieśniny. Wokół nie było żadnej innej łodzi. Postanowiła już, że zabierze Teda na wyspę Simma. W myślach szukała najbardziej odpowiedniego miejsca. Po drugiej stronie niewielkiej wyspy widocznej z lądu stał rząd niedużych, po-szarzałych domków, z tego, co wiedziała, zupełnie pustych. Nie, do nich nie pójdę, pomyślała.

Byli tutaj z Bee i Davidem na pikniku jakiś tydzień temu. Szukali wtedy ładnego zakątka. Teraz próbowała znaleźć zapomniane miej-sce, brzydkie, żeby nikt nie chciał tam się zatrzymać. Nie powinno go tu znaleźć żadne dziecko, pomyślała z przestraszaniem.

Wypatrzyła odpowiednie miejsce, wąski pas piachu, a za nim ba-gno z wysokimi trzcinami, pochyłającymi się na wietrze. Zgasła sil-nik, rzuciła kotwicę, wzięła głęboki oddech i zabrała się do roboty.

14

Ted był bardzo szczupły, a mimo to trudno go było wydostać z ło-dzi. Wzięła go pod pachy i zaciągnęła na bagno, daleko między wyso-kie trzemy. Wyglądał groteskowo i strasznie z rozpostartymi rękoma i nogami. Próbowała je wyprostować, ale nie mogła i zaczęła płakać. Leżał tak, wpatrując się w niebo.

Nie mogę go tak zostawić, pomyślała. W kieszeni frotowego szla-froka miała wielką, niebieską chustę. Wyjęła ją i otarła łzy, a potem przykryła jego twarz, ale wiatr natychmiast zdmuchnął chustkę. Nie znalazła wokół kamieni, by przycisnąć materiał. Ukłękła więc przy nim, marszcząc brwi i płacząc, a potem silnymi, ostrymi zębami ode-rwała dwa pasy z chusty. Przywiązała do dwóch trzciny tak, by chusta leżała w poprzek twarzy.

Lepsze to niż nic, pomyślała i wróciła do łodzi. Tym razem silnik zastartował natychmiast. Kiedy znów znalazła się na otwartej wodzie, zatrzymała się i wyczyściła dno łodzi szmatą ubrudzoną smarami. Nie było wiele krwi. Mam nadzieję, że umarł szybko, pomyślała. I że nie leżał tam długo tak sam...

Zawiązała mocno pas szlafroka i poprawiła jego poły. Wiatr wyda-wał jej się teraz zimniejszy. Znów uruchomiła silnik i skierowała łódź do domu. Już po wszystkim, pomyślała. Teraz o tym zapomnę. Nagle

przypomniała jej się chusta. Nie, nikt się nie domyśli. Kupiłam ją na wyprzedaży wieki temu. Na pewno są takich tysiące. Odciski palców? Nie, nie zdejmą przecież odcisków z materiału. Zresztą, zawsze mogę powiedzieć, że zostawiłam chustkę na wyspie, kiedy urządziliśmy tu sobie piknik.

Zresztą, co się stało, to się nie odstanie. Nie będę się tym martwić. W ogóle nie będę o tym myśleć.

Kiedy podpływała do hangaru na łodzie, poczuła zaskoczenie i rozczarowanie. Stał tam David, szczupły, ubrany niedbale w niebieskie spodnie i wiatrówkę khaki. Opanowała się natychmiast. Pomyślała, że równie dobrze można od razu zacząć kłamać.

— Cześć, David — rzuciła wesoło.

— Cześć — odparł ponuro.

Wpłynęła do tunelu, on podszedł do rampy, by jej pomóc.

— Nie mogłem uwierzyć własnym uszom — powiedział — kiedy usłyszałem uruchamianie silnika. Myślałem, że ktoś kradnie motorówkę, szybko zszedłem na dół i zobaczyłem, jak odpływasz.

— Wiesz, jak lubię poranki — odparła.

— Tak — rzekł David — ale dlaczego nie wzięłaś jak zwykle łodzi?

—: No cóż, chciałam dla odmiany wziąć motorówkę.

— Prosiłem cię, żebyś tego nie robiła — przypomniał. — To niebezpieczne. Nie masz zielonego pojęcia o silnikach. Gdyby się zaciął, gdyby cokolwiek się stało, byłabyś bezradna.

— Nie odpłynęłam daleko.

— Ale proszę cię, żebyś tego nie robiła — nalegał David. — Zresztą, to dość ekscentryczne zachowanie.

— Od czasu do czasu można być trochę ekscentrycznym. Nie ma w tym nic złego — odparła Lucia.

— Niby nie — rzucił David — ale nie chciałbym, żeby ktokolwiek

z moich znajomych widział cię o piątej nad ranem, pędzącą na motorówce.

David jest podobny do taty, pomyślała Lucia, ale te gęste, brązowe rzęsy i zielone oczy przypominają mi Toma. Ma dopiero piętnaście lat. To jeszcze dziecko. Ale za trzy lata... jeśli wojna potrwa jeszcze trzy lata.

Ta myśl powracała do niej bez przerwy i raniła serce. Położyła mu ręce na szczupłych ramionach.

— Jestem pewna, że nie widział mnie żaden z twoich kolegów, mój drogi — rzekła. — Ale jeśli cię to denerwuje, więcej tego nie zrobię.

— To dobrze — odparł.

— Chodźmy lepiej do domu na śniadanie.

— Sibyl jeszcze nie zeszła.

— Dam sobie sama radę — powiedziała Lucia.

Opuściła ręce i ruszyli ramię w ramię.

— Co się dzieje z Bee? — zapytał po chwili.

— Co masz na myśli, Davidzie?

— Na pewno też to zauważyłaś — rzekł. — Oczywiście, jak zwykle przesadza, zawsze trochę gra na pokaz, ale widać, że ostatnio coś ją dręczy. :

— Ona z tobą nie rozmawia o swoich sprawach? Kiedyś wszystko sobie mówiliście.

— Nie zachęcam jej — odparł David.

- Ludziom dobrze robi, kiedy się wygadają...
- Ale mnie nie robi dobrze słuchanie ich — przerwał niespodziewanie gwałtownie. — Nie lubię głupawych, cikliwych historyjek i nie chcę być w nie wmieszany ani teraz, ani nigdy.

Przytrzymał drzwi wejściowe, a Lucia przeszła obok niego i wkroczyła do wymuskanej kuchni Sibyl. Słońce przedzierało się przez chmury. Jego promienie odbijały się od biało-zielonego linoleum na podłodze. Miło było przygotowywać śniadanie dla Davida.

### Rozdział trzeci

Możemy poczekać do jutra — powiedziała Sibyl — ale dzisiaj będzie tam ten człowiek z kurczakami.

- Wezwę ci taksówkę — odparła Lucia.
- Lepiej niech pani pojedzie — rzekła z obojętnym wyrazem twarzy Sibyl. Była wysoką, ciemnoskórą, postawną kobietą. Stała akurat przy stole kuchennym.
- Ty lepiej sobie radzisz na targu niż ja — orzekła Lucia.
- To mój zawód — odparła spokojnie Sibyl — ale ten człowiek od kur nie lubi kolorowych. Nie ma co ukrywać.
- Powiedział ci coś, Sibyl?
- Tak, psze pani.
- Więc nie będziemy już u niego kupować — postanowiła Lucia.
- Ale tylko on ma kurczaki — zauważyła Sibyl.
- Więc do końca lata będziemy musieli radzić sobie bez kurczaków.

Sibyl uśmiechnęła się nieznacznie, z rozczeniem.

- Nie, psze pani — powiedziała. — Jeśli pani pojedzie, to może dostanie piętne kurczaki, a ja je upiekę w sobotę, a na niedzielę mogę

przygotować sałatkę z kurczaka. Zrobię listę zakupów.

Przebywały ze sobą codziennie już od ośmiu lat i żyły w całkowitej harmonii. Sibyl wiedziała, że Lucia nie była tą mądrą i oszczędną gospodynią domową, za jaką uważała ją rodzina. Sibyl pamiętała o rzeczach, o których zapomniała Lucia znajdowała to, co Lucia zgubiła, ukrywała jej błędy i niedopatrzenia, doradzała i ostrzegała. Po-

życzała jej nawet pieniądze, by ukryć szokujące, spowodowane bezmyślnością pani zadłużenie, i sama poszła na policję w sprawie szofera, którego Lucia nie miała odwagi oskarżyć.

Znała swoją chlebodawczynię lepiej niż ktokolwiek inny, a Lucia wiedziała zaskakująco niewiele o Sibyl. Nie wiedziała, ile ma lat, gdzie się urodziła, nie znała jej rodziny i przyjaciół. Nie pytała, gdzie Sibyl chodzi podczas swoich wolnych wieczorów i co tam robi. Kochała Sibyl i ufała jej bezgranicznie.

— Może powinnam porozmawiać z tym człowiekiem od kurczaków? — zapytała.

— Nie, psze pani — odparła Sibyl. — Nie da się zmienić świata.

Z miejsca, gdzie stała, Lucia widziała ojca jedzącego śniadanie

w jadalni. Miękki kołnierzyk niebieskiej koszuli odstaniał obwisłą, starą szyję. Miał na sobie marynarkę w biało-czarną kratę. Kupił ją wiele lat temu w Londynie i bardzo o nią dbał. Kazał ją bezustannie przerabiać i łątać. Mawiał, że woli mieć porządną marynarkę, mimo że jest już trochę zużyta, niż jakieś tanie nowe byle co.

Mógł równie dobrze kupić sobie nową, wcale nie tanią i nie byle jaką, ale córka nigdy mu o tym nie przypominała. Myśli, że w podniszczonej marynarce wygląda bardziej na Anglika, podejrzewała Lucja, ale jeśli mu to odpowiada, niech tak będzie.

Tak się cieszę, że udało mi się wywieźć Teda, przypomniała sobie. Teraz nieważne, co się wydarzy, ojciec na pewno nawet się nie dowie, co się wczoraj stało, i nie będzie w to w żaden sposób wplątany. Nikt nigdy się nie dowie.

Weszła do jadalni i ucałowała go w gładko ostrzyżony czubek siwej głowy.

— Tato — powiedziała. — Chyba nie powinieneś mówić Bee, że widziałeś się wczoraj z tym mężczyzną.

— Nie widziałem się z nim — odparł pan Harper.

— Ale, tato... !

— Było ciemno — objaśnił, zadowolony z żartu. — Nie martw się, moja droga, nie powiem Beatrice. Chyba ten młody człowiek już nie będzie nam zwracał głowy.

Bee zeszła po schodach i ruszyła wprost do kuchni.

— Dzień dobry, mamó — rzuciła. — Dzień dobry, Sibyl. Mój sok jest już w lodówce?

18

— Tak, panienko Bee.

Bee wyjęła dzbanek pełen pomieszanego soku z pomarańczy i cytryn, które stanowiły podstawę jej nowej diety witaminowej, i zaniosła go do jadalni.

— Dzień dobry, dziadku — powiedziała.

To była najwyraźniej jej nowa taktyka. Była ugrzeczniona, spokojna, powściągliwa, ale nie obdarzyła uśmiechem swoich oprawców.

— Jedziesz dziś do szkoły? — zapytał pan Harper, zaskoczony widokiem niebieskich spodni i białej koszuli.

— Już mi tam nie wolno jeździć — odparła wyraźnie.

— Och... rozumiem! — odparł. — Ale zdaje mi się, że tu jest wiele widoków, które mogłabyś namalować.

Uśmiechnęła się. Lucia przyglądała jej się z kuchni. Nienawidziła tego uśmiechu. Dziewczyna była śliczna, miała miękkie, jasne włosy, delikatną skórę, piękne rysy, ale dziwnie wykrzywiła usta w kwaśny grymas. Nie rozchyłała nawet warg w uśmiechu i mrużyła oczy. Wyglądała wtedy brzydko.

Nie mogła tak naprawdę zakochać się w takim mężczyźnie jak Ted, pomyślała Lucia. Oczywiście na pewno będzie zrozpaczona, kiedy się dowie, że on nie żyje, ale szybko jej minie. Jest taka młoda. Biedna Bee... Muszę coś zrobić, żeby zaczęła wychodzić. Muszę jej znaleźć przyjaciół. A teraz nie ma już powodu, by nie chodziła do szkoły plastycznej, tylko nie mogę jej na razie o tym powiedzieć. Mam jej po prostu oświadczyć, że zmieniłam zdanie? A może lepiej poczekać, aż wiadomość o Tedzie znajdzie się w gazetach?

Zadzwoiła po taksówkę i przebrała się w strój odpowiedni na wieś, niebiesko-białą, Inianą sukienkę,



niebieski pasek, niebieskie sandały, szeroki, czarny kapelusz słomkowy. Sibyl przygotowała już dla niej listę i kiedy przyjechała taksówka, ruszyła na targ z wielką, zieloną, bawełnianą torbą na zakupy.

Dziś wieczorem powiem Bee, że zmieniłam zdanie, pomyślała. Ju-tro będzie mogła jechać do szkoły. Może minąć sporo czasu, zanim w prasie zrobi się głośno o Tedzie. Nie ma powodu, żeby siedziała w domu. Biedne dziecko. Czy będzie jej bardzo przykro, kiedy się do-wie? Tak trudno zrozumieć, że mogła czuć cokolwiek do takiego czło-wieka. Był bez Idasy i pełen pogardy...

19

To był nerwowy poranek. Człowiek z kurczakami sprzedał jej tyl-ko jednego kurczaka i na dodatek bardzo małego. Nie było margary-ny ani cukru. Nie dostała tych płatków mydlanych, które chciała Sibyl. Jedyne ziemniaki, jakie znalazła, okazały się stare i wypuszczały już pędy, a papierosy były zupełnie nieznanej marki.

Nie dostała pasty, o którą prosił ojciec, ani gazet dla Davida. Buty Bee obiecane na zeszły tydzień wciąż stały nietknięte na półce u szew-ca. Szła od jednego sklepu do drugiego, a torba robiła się coraz cięż-sza. Było jej gorąco, poczerwieniała i zmęczyła się, ale wciąż starała się być uprzejma. Stała cierpliwie w kolejkach przed ladą, włączała się do rozmów z gospodyniami domowymi i bardzo oszczędnie wy-dzierała kartki na żywność.

Kiedy już kupiła, co chciała, oprócz wielkiej zielonej torby miała jeszcze papierowy worek. Ludziom nie będzie się podobało, że się z tym pakuję do autobusu, pomyślała i niemal ciągnąc po ziemi wiel-ką torbę z zakupami, przeszła przez główną ulicę we wsi do dworca, gdzie był postój taksówek.

— Muszę czekać na pociąg, proszę pani — powiedział pierwszy z kierowców.

Wiedział, że upchnie trzech albo i czterech pasażerów na raz, więc nie interesował go pojedynczy kurs.

— Jeśli panią zawiozę aż do Plattsville — powiedział kierowca drugiej taksówki — będę musiał wracać pusto. To mi się nie opłaca.

— A gdybym zapłaciła dodatkowo...? — zapytała spocona i zmę-czona Lucia.

— No... — zastanawiał się —: nie wolno nam tego robić. A mu-siałbym wtedy policzyć dwa i pół dolara.

To był rozbój. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie iść do trze-ciej, ale tamten kierowca mógł zdać sobie

sprawę, że jest jej ostatnią deską ratunku i to wykorzystać. Mógł wziąć więcej.

— Dobrze — zgodziła się i wsiadła.

W tej samej chwili nadjechał pociąg i kierowca postanowił jednak poczekać. Z pociągu wyszła niewielka grupa ludzi. Dwa pozostałe samochody ruszyły z pasażerami, a w stronę taksówki Lucii szedł powoli, bez pośpiechu jakiś mężczyzna. Krępy człowiek w szarym, rozpiętym garniturze toczył się dumnie, dźwigając przed sobą wielki wypięty brzuch.

20

— Nie wiesz, synu, gdzie mieszkają ludzie o nazwisku Holley? —

zapytał kierowcę.

— Nie — odparł ten. — Niech pan zapyta zawiadowcę stacji.

— Ty pobiegnij i zapytaj, synu — rzekł krępy mężczyzna.

Lucia siedziała w kącie taksówki i przyglądała mu się z nieukrywanym podziwem. Jego oczy... zauważyła, są bardzo, bardzo jasne, w bladej oprawie i bez wyrazu, jakby był niewidomy. To detektyw, pomyślała, i przyjechał w sprawie Teda.

— Mam kurs — odparł kierowca. — Niedługo wrócą inne taksówki.

— Synu, idź i dowiedz się, gdzie mieszkają Holleyowie — powtórzył tym samym, beznamiętnym tonem, co zwiększyło jeszcze podziw Lucii, która ze zdumieniem stwierdziła, że nieuprzejmy młody kierowca gotów był już zrobić, co mu kazano. Wszyscy pewnie robili to, co kazał im ten mężczyzna.

— Ja tam jadę — odezwała się.

Krępy mężczyzna obejrzał ją sobie z góry na dół.

— Przecież powiedziała pani, że jedzie do domu Maxwellów — burknął zaskoczony i wściekły kierowca.

— Wiem — odparła — ale my ten dom wynajmujemy.

Krępy mężczyzna otworzył drzwi taksówki i wszedł do środka. Usiadł obok Lucii z szeroko rozsuniętymi nogami, zajmując większą część siedzenia.

— Ruszaj, synu — rzucił.

To jeden z tych strasznych detektywów, jakich się ogląda w filmach, pomyślała Lucia. Jest... to jedno słowo nagle rozkwitło w jej głowie. Jest bezlitosny, pomyślała. Byłby bezlitosny dla taty.

— Pani się nazywa Holley? — zapytał.

— Tak.

— Ma pani siostrę albo córkę o imieniu Bęatrice?

— Tak — potwierdziła raz jeszcze.

— To z nią chcę się zobaczyć — powiedział.

— A... w jakiej sprawie ?

— Z nią samą to załatwię — odparł.

— Wołałabym nie. Jestem jej matką, mogę powiedzieć panu

wszystko, czego chce się pan dowiedzieć.

21

— Niestety. Muszę się z nią zobaczyć — odparł. — Chcę rozmawiać z Beatrice Holley.

— Ale może pan powiedzieć, w jakiej sprawie chce się pan z nią widzieć. Ona i tak mi później powie.

— Tak?

— Tak. Na pewno. Wołałabym, żeby pan z nią nie rozmawiał.

Proszę, niech pan mnie o wszystko pyta...

— Nie, chcę rozmawiać z Beatrice Holley — powtórzył.

Lucie ogarnęła panika. On powie Bee, że znaleziono Teda, pomyślała. Na pewno o to chodzi. Co innego mogłoby go tutaj sprowadzać? Będzie jej zadawał mnóstwo pytań, a ona mu powie coś, co trafi do gazet.

Nie mogę się zgodzić, żeby z nim rozmawiała sam na sam.

— Moja córka jest nieletnia — powiedziała. — Niestety, nie mogę pozwolić panu się z nią widzieć.

Ponownie ją zmierzył, podnosząc w górę jasne rzęsy. Potem znów odwrócił głowę.

— To się na nic nie zda — powiedział.

Myśl, że Bee będzie musiała to znosić, była nie do przyjęcia.

— Poślę więc po mojego prawnika.

Nie trudził się nawet, by odpowiedzieć. Siedział, opierając tłusty podbródek na piersi, i patrzył wprost przed siebie, zatopiony we własnych rozmyśleniach. Nie zwracał w ogóle uwagi na Lucie.

Zajechali przed dom. David spacerował po nędznym trawniku. Gdy zauważył taksówkę, zatrzymał się i czekał.

— Ile płacę? — zapytał krępy mężczyzna.

— Jednego dolara — odparł kierowca, a on dał mu dolara, bez napiwku. Otworzył drzwi i wysiadł, nie spojrzawszy nawet na Lucie.

Rozmawiał już z Davidem, nim Lucia wydobyła dolara z torebki.

— Umawialiśmy się na dwa pięćdziesiąt — powiedział kierowca.

Dała mu jeszcze pięćdziesiąt centów i wysiadła z dwiema wielkimi torbami. Krępy mężczyzna już stał sam pod drzwiami domu.

— Jeśli będzie pan rozmawiał z moją córką, będę przy tym obecna — zaznaczyła.

Nie odpowiedział. Stała tak zagubiona, z wielkimi torbami, ale postanowiła bronić Bee najlepiej jak potrafiła. Otworzyły się drzwi wejściowe i wyszła Bee. Spojrzała na obie stojące na trawniku osoby, marszcząc brwi ze zdziwienia, a potem zbiegła po schodach na dół.

22

— Chciał się pan ze mną widzieć? — zapytała.

— Jesteś Beatrice Holley?

— Bee... — zaczęła Luda. — Nie.

— Mamo, to coś ze szkołą — rzekła Bee.

— Nie! — zaprzeczyła Lucia.

— Nie — potwierdził mężczyzna. — Powiedziałem to chłopcu, bo tak jest wygodniej. Nie. Przyjechałem, żeby porozmawiać o moim bliskim przyjacielu, Tedzie Darbym.

— Tak... A kim pan jest? — zapytała Bee.

— Nazywam się Nagel.

— Więc... O co chce pan zapytać?

— Bee...! — krzyknęła Lucia. — Nie!

To nie detektyw, pomyślała. To jest... No, nie wiem... przestępca, gangster, ktoś straszny.

— Ted przyjechał tu wczoraj, żeby się z tobą zobaczyć — powiedział Nagel.

— I co z tego? — zapytała Bee.

— Nie wrócił do domu — odparł Nagel.

Dla Lucii to stwierdzenie było zaskakujące i przerażające, ale Bee to nie zmartwiło.

— Chodzi panu o to, że nie wrócił do hotelu? — zapytała. —

Pewnie kogoś odwiedził. Ma wielu znajomych.

— Mówił ci, że ma zamiar kogoś odwiedzić?

— Moja córka się z nim wczoraj nie widziała — wtrąciła szybko Lucia.

— A pani się z nim widziała?

— Nie. Nikt z nas z nim nie rozmawiał.

— Chce pani powiedzieć, że tu nie przyjechał?

— Nie wiem, czy przyjechał, czy nie. Mówię tylko, że nikt z nas

go nie widział.

— Dzwoniłaś do niego wczoraj — zwrócił się do Bee. — Poprosiłaś, żeby do ciebie przyjechał. I co?

— I co? — powtórzyła po nim Bee. — Nie rozumiem, jakim prawem przychodzi pan tutaj i zadaje te pytania.

Bee wcale nie bała się Nagela. Spokojnie patrzyła prosto w blade oczy.

— Dlaczego się z nim nie widziałaś? — dociekał Nagel.

90

— To już moja sprawa — odparła. — Mamo, chodźmy...

— Poczekaj! — rzucił. — Nie tak szybko. Masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o moim dobrym przyjacielu, Tedzie Darbym. Jeśli znasz nazwiska jego znajomych...

— Nic panu więcej nie powiem — odparła Bee. — Może pan poczekać, aż Ted wróci do hotelu, i sam go zapyta.

— Jeśli wiesz, gdzie on jest, lepiej mi powiedz.

— Zabiorę torby, psze pani — Lucia usłyszała za sobą głos Sibyl.

Służąca wzięła torby i ruszyła wyprostowana, powolnym, pewnym krokiem.

— Nic panu więcej nie powiem — rzuciła Bee.

— To bardzo źle — rzekł Nagel. — To źle dla Teda.

— O co panu chodzi? — zapytała Bee. — Grozi mi pan?

— Ja zadaję pytania — odparł Nagel. — Nie odpowiadam na nie.

— Ja również — ucięła Bee.

Ależ ona jest... twarda, pomyślała ze zdziwieniem Lucia. Ta szczupła dziewczyna w luźnych spodniach, z jasnymi włosami spadającymi na ramiona, to dziecko, które całe życie spędziło w domu, chronione i

rozpieszczane, teraz rozmawiało jak bohaterka filmu. Tak też wyglądała, kiedy skrzywiła znów śliczne usta i zmrużyła oczy.

— Dobrze! Dobrze! — powiedział Nagel i odwrócił się.

Lucia stała i patrzyła na niego z zaskoczeniem i strachem w sercu. On tu wróci, pomyślała. To dopiero początek...

Rozdział czwarty

„Drogi Tomie”, pisała Lucia. „Ucieszyłam się, kiedy dziś po południu dostałam list od Ciebie. Kiedy piszesz o swoim życiu, przyjaciółach i załodze, wydaje mi się, jakbym była bliżej Ciebie, drogi Tomie.”

Tak naprawdę wcale mnie to do niego nie zbliża, pomyślała z żalem. Nie mam bogatej wyobraźni. Nie wyobrażam sobie Toma jako oficera marynarki wojennej. Wciąż mam go w pamięci takiego, jakim był, kiedy dwa lata temu wyjechał, a on prawdopodobnie jest już zupełnie innym człowiekiem. Tak, on na pewno się zmienił. Tylko ja pozostaję zupełnie taka sama.

24

Pisała dalej swój poważny, długi, nudny list. Dzięki Bogu, Tom wcale nie oczekuje, że będę niezwykła, pomyślała. On wie, jaka jestem. Kiedy poznała Toma, miała siedemnaście lat i uczyła się jeszcze w szkole. Była pracowita, ale nigdy w niczym się nie wyróżniała, nie była prymuską. Lubiła wszystkich, ale tak naprawdę nikt ją nie interesował. „Jesteś dziewczyną, z którą najtrudniej w świecie jest się kochać — powiedział jej kiedyś Tom. — Jesteś taka niewinnie przyjacielska...”

Kiedy skończyła osiemnaście lat, pobrali się. A gdy miała lat dziewiętnaście, urodziła się Bee i na tym się skończyło. Lucia zawsze była trochę rozczarowana własną osobą. W szkole zawód sprawił jej fakt, że nie była w niczym najlepsza, rozczarowała sama siebie jako żona, bo nie była dobrą gospodynią, a największe rozczarowanie przyniosło macierzyństwo. Kiedy odwiedzała szkołę swoich dzieci, pośród innych rodziców czuła się szczególnie nie na miejscu. Jestem po prostu nieprawdziwa, pomyślała.

Nie radzę sobie z różnymi rzeczami. Ten Nagel... Bee wcale się go nie bała, a ja tak. A jeśli on powie policji, że Ted tu przyjechał...? Cóż, ja powiem, że nie przyjechał. Jednak kiedy zaczną zadawać pytania ojcu.... Na pewno nigdy nie słyszał nawet imienia Ted. Ale powie im, tak, powie, że był jakiś mężczyzna i że dał mu po uszach.

Gdyby tata wiedział, że zabił Teda, natychmiast powiadomiłby policję. On już taki jest. Wiem nawet, co by powiedział: „Moja droga, jestem przygotowany ponieść wszelkie konsekwencje moich czynów. Nieodwołalnie.”

A potem oczywiście wciągnięto by w to Bee i Tom musiałby się do-wiedzieć. Dlaczego nie potrafię zadbać o własną córkę?

Kiedy leżała w łóżku w ciemności, poczuła, jak rośnie w niej de-speracka, prawie paniczna potrzeba, żeby coś zrobić. Natychmiast ją opanowała. Nie wariuj, tłumaczyła sobie w myśli. Wszystko musi się odbyć po kolei. Trzeba brać rzeczy takimi, jakie są.

Wstała i zapaliła papierosa. Kiedy skończyła palić, zgasiła go do-kładnie i zamknęła oczy. Obudzę się o piątej, nakazała sobie w myśli.

Tak też się stało, ale rano było deszczowe i wietrzne. Chętnie wy-kąpałabym się nawet w taką pogodę, ale David bardzo by się zdener-wował. Nie... Przejdę się po prostu kawałek.

25

Czuła ogromną potrzebę stanięcia na straży domu, bronienia jego mieszkańców. Ubrała się w starą, flanelową suknię, czarny sweter i te-nisówki. Włosy przewięzała białą chustką, ukradkiem zeszła po scho-dach i opuściła dom.

Na zewnątrz, w deszczu i wietrze zapomniała o strachu i zmar-twieniach. Ruszyła podjazdem w stronę głównej drogi, potem wraca-ła i znów szła w tym samym kierunku, jakby patrolowała obejście. Jej flanelowa suknia oblepiała się wokół długich nóg, a opalona twarz lśniła od wody.

— Wyglądasz jak cyganka — powiedział z rozczeniem ojciec,  
kiedy weszła do domu.

Później zajęła się codzienną poranną krzątaniem. W gazetach nie było nic o Tedzie. Pan Harper wyszedł na swój spacer dla zdrowia. David wy płynął łodzią na spotkanie z kolegami, których tu poznał. Bee zamknęła się w pokoju. Lucia zrobiła wszystko, co było zaplano-wane na czwartek. Zdjęła pościel z łóżek i sporządziła listę rzeczy do prania. Posprzątała i odkurzyła salon oraz łazienkę, którą dzieliła z Bee. W niebieskim, bawełnianym fartuszkowi sprawiała wrażenie oso-by znającej się na rzeczy. Nikt nie wiedział, że organizacją wszystkiego-go zajmowała się Sibyl.

Przed obiadem zapukała do drzwi Bee.

— Proszę! — krzyknęła Bee.

Siedziała przy stole pod oknem, w lśniącym stroju w paski, z wło-sami odgarniętymi z czoła i coś rysowała.

— Bee — zaczęła Lucia. — Dużo o tym myślałam... Nie chcę ci za-braniać chodzenia do szkoły plastycznej. Jedź tam jutro. Ufam, że...

— Jeśli sądzisz, że powstrzymasz mnie przed widywaniem się z Tomem, mówiąc, że mi ufasz — odparła Bee — to się mylisz.



— Nie musisz być taka agresywna. Na pewno nie wobec mnie.

— Mamo — zaczęła Bee i przez chwilę milczała. — Wiem, że mnie kochasz. Chcesz zrobić to, co ci się wydaje dla mnie najlepsze, ale ja nie zgadzam się z tobą w żadnej kwestii.

— Ależ, Bee!

— Naprawdę! Nie jestem głupia. Wiem, że Ted to nieodpowiednia dla nas osoba. Tata też by go nie lubił tak jak ty, ale ja chcę poznać różnych ludzi. Chcę bywać w świecie. Gdybym żyła tak jak ty, równie dobrze mogłabym nie żyć wcale.

26

— Bee! — krzyknęła oburzona i przestraszona Lucia. — Mam wszystko, co na tym świecie jest coś warte.

— Moim zdaniem, twoje życie jest okropne — upierała się Bee. — Wołałabym...

— Obiad! — zawołał z korytarza David, a Bee szybko wstała.

— Przepraszam, mamo — mówiła z uporem i żalem Bee — ale nie jestem taka jak ty. Nie będę żyła tak jak ty, jeśli w ogóle można to nazwać życiem. Wyszłaś za mąż zaraz po szkole w wieku osiemnastu lat. Nigdy się z nikim nie widywałaś i nic nie robiłaś. Nie ma w twoim życiu przygody ani koloru. Ty po prostu chyba lubisz bezpieczeństwo. Ale ja nie chcę być tylko bezpieczna.

— Chodź, mamo! — zawołał David.

Zawsze trochę denerwowały go rozmowy matki z siostrą na osobności. On nigdy nie rozmawiał z nikim w cztery oczy. Mógł rozprawić z każdym o wszystkim. Kiedy przychodził do nich z wizytą pastor, chętnie dyskutował z nim na temat religii, a Lucia nie była w stanie go powstrzymać.

Podczas obiadu omawiał z dziadkiem kampanię na Pacyfiku, a Bee siedziała bez słowa, z wyrazem twarzy oznaczającym mieszaninę rozbawienia i znudzenia. Wydaje mi się, że on jest bardzo inteligentny, pomyślała Lucia. Lubię, jak mężczyźni rozmawiają.

Kiedy wstawali od stołu, w drzwiach pojawiła się Sibyl.

— Lodówka znów się popsła — obwieściła.

— Nie wiem, co wy wyprawiacie z tą lodówką — odezwał się

w odpowiedzi, marszcząc brwi, pan Harper.

Nieźłomną zasadą było, że kiedy lodówka się psuła, nikt prócz pa-na Harpera nie mógł we właściwy sposób odłączyć od niej gazu. Wykonał więc swoją robotę, ale tylko tyle umiał. Nie potrafił wykonać zbyt wielu męskich prac w domu. David zresztą też nie. Dyskwalifikował go w zupełności fakt, że reagował na takie problemy z wesołą obojętnością.

— Co się martwicie? — powiedział. — Ludzie nie mieli kiedyś lodówek i jakoś sobie radzili.

— Ale kupowali bryły lodu — odparła Lucia.

— Nie — zaprzeczył David. — Dziadek mówił mi wiele razy, że kiedy był jeszcze chłopcem, w Anglii w ogóle nie używali lodu. Jeśli

27

bardzo go potrzebowali, bo ktoś był chory albo coś takiego, posyłali po lód do rybaków.

— Cóż, tam jest inny klimat — stwierdziła Lucia.

— Teraz mamy tylko dziewiętnaście stopni — zauważył David.

— Chyba nie można powiedzieć, że jest bardzo gorąco — powiedział

i wyszedł.

Pana Harpera też już czas jakiś nie było.

— Zadzwoń do firmy — powiedziała Lucia.

— Tak, psze pani — odparła Sibyl z tym samym powątpiewaniem

i ciężkim sercem.

Powtarzające się problemy z lodówką były katastrofą, której obie się obawiały. Lucia podeszła do telefonu i po chwili połączyła się z dziewczyną z firmy.

— Holley? — powiedziała jej rozmówczyni. — Dobrze. Zapiszę.

— Jak pani sądzi, kiedy ktoś przyjdzie?

— Nie mam pojęcia — odparła dziewczyna. — Wszystkie wezwania bierze się po kolei. Będzie pani musiała poczekać swoje.

— Oczywiście — rzekła chłodno Lucia. — Chciałam po prostu wiedzieć, czy pani może mi powiedzieć...

— Przyjdzie, jak będzie pani kolej — rzuciła dziewczyna. — Firma nie robi wyjątków.

— Niech cię szlag — odkładając słuchawkę, mruknęła Lucia pod nosem i wróciła do kuchni. — Nie chcę powiedzieć, kiedy przyjdzie

— zwróciła się do Sibyl. — Chyba dzisiaj na kolację powinnaś zrobić rybę...?

— Chyba tak — zgodziła się Sibyl. — Nie spodoba im się, że dwa razy pod rząd jest ryba na kolację, ale jeśli fachowiec nie przyjdzie dzisiaj...

Obie dobrze wiedziały, że dziś na pewno nie przyjdzie.

— Cóż, może przynajmniej trafi tu przed końcem tygodnia... — zaczęła Lucia i milczała przez chwilę, zastanawiając się nad tym. —

Chyba się trochę zdrzemnę — powiedziała przeproszającym tonem.

— Ale obudź mnie, jeśli coś się zdarzy.

— Tak, psze pani — odparła obojętnie Sibyl. Nie przeszkadzało jej, że Lucia śpi po obiedzie.

Ale dzisiaj Lucia zasypiała dłużej niż zwykle. Jeśli przyjdzie Nageł, pomyślała, nie chcę, żeby Bee rozmawiała z nim sama. Nie chcę, żeby

tata z nim w ogóle rozmawiał. Nigdy. Może nie powinnam spać, bo je-śli coś się zdarzy...

W końcu jednak zmorzył ją sen. Leżała wyciągnięta na łóżku, dłu-ga, szczupła, w spranej, szarej, flanelowej sukience, z rękoma splecio-nymi nad głową.

— Pani Holley, psze pani...! — wołała Sibyl.

— Tak? — mruknęła Lucia, podnosząc się.

Sibyl stała już obok niej bardzo czymś poruszona.

— Jakiś mężczyzna chce się z panią widzieć.

— Jaki mężczyzna, Sybil?

— Nie podał nazwiska. Powiedział tylko, że chce z panią poroz-mawiać o sprawach osobistych.

Spojrzały na siebie porozumiewawczo.

— Sibyl... Jak on wygląda?

Wciąż patrzyły na siebie, a w ciemnobursztynowych, lśniących oczach Sibyl pojawił się cień smutku. Była małomówną kobietą i z trudnością znajdowała słowa, by wyrazić swe myśli.

— Nie wygląda na kogoś, kogo by pani znała — rzekła.

To Nagel, pomyślała Lucia. Wiedziałam, że wróci.

— Jest na werandzie — ciągnęła Sibyl. — Mogę go odesłać.

— Powinnam się z nim zobaczyć — powiedziała Lucia i wstała.

Stała tak, wysoka, wyprostowana na swych wąskich, bosych stopach.

— Nie musi pani, psze pani — nalegała Sibyl. — Powiedziałam, że nie wiem, czy pani jest w domu.

— Nie. Powinnam się z nim zobaczyć — powtórzyła Lucia. — Po-wiedz mu, proszę, że zaraz zejdę.

— Mam go wpuścić? — zapytała Sibyl i spojrzała jej w oczy.

— Tak, tak, proszę.

Musiała go wpuścić do domu, bo nie śmiała trzymać go na trawni-ku. Stała bez ruchu, póki nie usłyszała, jak zamykają się frontowe drzwi. Zaczęła nieskładnie, w pośpiechu ubierać się w luźną, Inianą suknię w kratę. On tu jest, powtarzała sobie w duchu. Jest w domu.

Zeszła po schodach do salonu, ale człowiek, który tam stał, nie był panem Nagelem.

— Pani Holley? — zapytał.

Zobaczyła wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach, wąskim pasie, w eleganckim, ciemnym garniturze i nie rzucającym się w oczy,

29

drogim krawacie. Był przystojny, a może prawie przystojny, czy kie-dyś był przystojny, ale uderzało w jego wyglądzie coś niewyraźnego, jakby część rysunku została zmasana. Twarz o mocnych szczękach wydawała się zmęczona, a ciemnoniebieskie oczy zgaszone.

— Nazywam się Donnelly — rzekł stłumionym głosem.

— Tak? — zapytała obojętnie Lucia.

Może to nic takiego, mówiła sobie w duchu. Może chce mnie tyl-ko ubezpieczyć albo coś sprzedaje. Może obligacje. Albo coś innego, coś zwyczajnego.

Ale w to nie wierzyła. On pochodził z innego świata, świata Teda Darby'ego i Nagela, dziwnego, nieznanego miejsca, dalekiego jak brzegi mitycznej Lete, rzeki Zapomnienia.

— Chciałbym z panią zamienić lalka słów — powiedział i skinął

ciemnowłosą głową w stronę otwartych drzwi za Lucią.

— Tak... o czym? — spytała, próbując udawać stanowczość.

Poruszał się lekko, kiedy przeszedł obok niej i zamknął drzwi do salonu.

— Na pewno chce pani dostać te listy — rzekł.

— Jakie listy?

Stał blisko niej, zwrócony w jej stronę. Spojrzała na niego, wciąż udając osobę stanowczą, a on patrzył na nią, jakby jej nie widział.

— Listy, które pani córka napisała do Teda Darby'ego — powiedział. — Cena wynosi pięć tysięcy dolarów. Gotówką.

Rozdział piąty

Czuła, że chwilowo nie jest w stanie myśleć. Jeszcze nie.

— Cóż... Proszę, niech pan usiądzie — rzekła.

Począł, aż Lucia usiadła, przysunął sobie krzesło i usiadł ostrożnie, podciągając nogawki. Był wyjątkowo schludny, ciemne włosy miał krótko przystryżone na wąskiej czaszce, wielkie dłonie bardzo zadbane, a buty lśniące. Był tak dziwnie, przeraźliwie obojętny. Po prostu czekał. Szantażysta, pomyślała. To przecież szantaż.

— Moja córka... — zaczęła. — Nie ma w jej listach nic...

— Chciałaby pani zobaczyć jeden z nich? — zapytał.

30

Wyjął ładny portfel ze świńskiej skóry z wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął plik poskładanych kartek. Przejrzał kilka z nich. Wybrał jedną i podał jej.

„Ted!

Zanim cię poznałam, byłam jak martwa. Ty wpadłeś w moje życie jak powiew wiatru do dusznego pomieszczenia. Nie wiem, czy się zgodzę na to, o co poprosiłeś mnie wczoraj, ale sam fakt, że mnie o to poprosiłeś i że sądziłeś, iż będę miała odwagę zaryzykować, napawa mnie dumą.

Zastanawiam się nad tym. Nie jestem sentymentalna, wiesz o tym, ale i tak jest mi trudno zerwać zupełnie z przeszłością i brnąć do przodu wbrew wszystkim i wszystkiemu, czego mnie uczono.

Zobaczymy się w piątek, a może wtedy się zdecyduję.

Beatrice"

Wyraźne, piękne litery napisane przez Bee sprawiły, że jej słowa wydały się tak oczywiste...

— To nic nie znaczy — powiedziała Lucia. — To tylko dziecko. To nic... nie znaczy.

— Wygląda na to, że coś jednak znaczy — odparł i wyciągnął rękę—

kę po list.

— Nie! — krzyknęła, chowając za siebie kartkę. — Nie oddam go panu. Poproszę... policję, żeby odebrali panu resztę listów.

Nie trudził się nawet, żeby odpowiedzieć. Siedział odrobinę po-chylony, a na kolanach miał otwarty swój ładny portfel. Po prostu czekał.

— Poproszę mojego prawnika, żeby się tym zajął — dodała Lucia. Wyobraziła sobie Alberta Hendry'ego, prawnika Toma, niezmiernie dystygowanego pana, jak słucha opowieści o nieprzyzwoitej przygodzie Bee.

— A może pani po prostu zapłaci i zapomnimy o wszystkim? — podsunął Donnelly. — Nic innego pani nie pozostaje.

— Nie! — zachnęła się Lucia. — Nie zapłacę szantażyście. Nigdy!

— Więc ktoś inny to zrobi — powiedział.

— Kto?

— Może pani ojciec.

— Nie! — krzyknęła. — Nie! Nie może pan... Nie!

31

Opanowała się. Próbowała oddychać spokojnie. Próbowała po-zbierać myśli.

— Jak pan wszedł w posiadanie tych listów? — zapytała.

— Darby chciał pożyczyć trochę pieniędzy — objaśnił Donnelly.

— Dał mi te listy na przechowanie, póki nie odda pożyczki.

— Czy to znaczy, że on...?

— Och, sam miał zamiar zmusić dziewczynę, żeby za nie zapłaciła — powiedział Donnelly.

Nie mówił tego, żeby ją przestraszyć. Nie było w tym mężczyźnie nawet odrobiny agresji. Jednak jego

chłodna akceptacja dla tego rodzaju niezwyklego przestępstwa, jego wykalkulowane podejście wydawało się zdecydowanie bardziej groźne niż przemoc i znacznie trudniej było jej sobie z tym poradzić. Słowo szantaż nie robiło na nim żadnego wrażenia.

— Darby mi gdzieś uciekł — dodał, jakby chciał wyjaśnić swoje zawiłe interesy. — Zniknął bez słowa, a ja nie mogę stracić pieniędzy, które mu pożyczyłem.

On nie wie, co się stało z Tedem, pomyślała. A jeśli się dowie, czy to coś zmieni? Polepszy? A może pogorszy? Och, gdybym tylko mogła to przemyśleć.

Deszcz uderzał w okna, a pokój wydawał się zamknięty. Wypełniało go szare światło. Siedziała w nim z tym mężczyzną, tym przestępcą w eleganckim, nie rzucającym się w oczy ubraniu...

— Muszę to przemyśleć — rzekła chłodno.

— Wybieram się do Montrealu — powiedział znów tym samym spokojnym tonem człowieka interesu. — Potrzebuję tych pieniędzy przed wyjazdem.

— Nie mam pięciu tysięcy dolarów — odparła.

— Wymyśli pani jakiś sposób, żeby je zdobyć — rzekł.

— Nie... Nie. Kiedy pan je dostanie, zażąda pan więcej.

— Na pewno nie — odparł po prostu.

— Nie! I nic w tych listach nie ma. Nie ma tam nic złego.

— Ale to będzie źle wyglądało — rzekł.

— Czy pan nie rozumie...? — zaczęła, kiedy otworzyły się drzwi i do salonu wszedł pan Harper.

— Och — powiedział — przepraszam, moja droga. Nie wiedziałem... Zbliża się pora podwieczorku, myślałem...

32

Donnelly wstał. Stał sobie jak uprzejmy gość, który czeka, by go przedstawiono.



— Ojczy... — odezwała się Lucia. — To jest pan Donnelly.

— Miło mi pana poznać — powiedział pan Harper.

Nie był usatysfakcjonowany tym, co usłyszał. Oczywiście, chciał wiedzieć coś więcej, kim jest pan Donnelly i co tu robi.

— Pan jest z biura Toma — rzuciła w chwili desperacji.

— Ach, z biura Toma — powtórzył pan Harper i wyciągnął do niego dłoń. — Cieszę się, że nas pan odwiedził. Proszę siadać! Niech pan usiądzie!

Nie! Nie! Nie! Lucia miała ochotę krzyknąć.

— Pan Donnelly już wychodził, ojczy — powiedziała.

— Nie może pan z nami wypić filiżanki herbaty, panie Donnelly?

A może coś mocniejszego?

— Dziękuję — rzucił Donnelly i usiadł.

— Jak tam sprawy w biurze? — zapytał pan Harper.

— Niestety, nie wiem — odparł Donnelly. — Przestałem tam bywać trzy lata temu. Pracuję dla rządu.

— Rozumiem! — powiedział pan Harper. — Lucia, kochanie, poproś Sibyl, żeby nam tutaj przyniosła herbatę. A może woli pan whiskey z wodą, panie Donnelly?

— Poproszę herbatę — rzekł Donnelly.

Nie było w domu dzwonka, żeby wezwać Sibyl, więc Lucia wstała i poszła do kuchni. Kiedy pchnęła wahadłowe drzwi, zobaczyła Sibyl stojącą pod oknem. Kroiła marchew w maleńkie kwiatuszki. Na ciemnej twarzy widać było dumę i zamyślenie. Odwróciła się, kiedy usłyszała kroki.

— Sibyl... — zaczęła Lucia i nie mogła dokończyć. Była zdruzgotana i załamana tą katastrofą.

— Co się stało, psze pani? — zapytała Sibyl ze współczuciem w oczach.

- On zostaje... — odparła Lucia.
- Ten człowiek?
- Tak, tata zaprosił go na herbatę.

Sibyl milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Więc musimy zrobić wszystko jak trzeba. Niech się pani nie boi.

- Ale on...
- Tak, psze pani — skinęła Sibyl. — Wiem.

Odwróciła się i włożyła marchew do zimnej wody.

- Niech pani tam idzie. Zaraz przyniosę herbatę. Niech się pani nie boi. Czasem wszystko się dobrze układa. Nie trzeba myśleć o najgorszym.

Takie słowa Lucia rozumiała. Jej mąż i ojciec nigdy tak do niej nie mówili. W najczarniejszym okresie wojny ojciec nie miał nawet naj-mniejszych nawet obaw co do zwycięstwa Anglii. Powątpiewanie uważał za zdradę stanu. Tom, łdedy wyjeżdżał, też tryskał tym samym zdecydowanym optymizmem.

„Nic mi nie będzie — powiedział, patrząc na jej bladą, zatroskaną twarz. — Połowa sukcesu, Lucio — mówił — to mieć nadzieję, a wte-dy na pewno dopisze ci szczęście.”

Nie wierzyła w to. Była przekonana, że kula albo odłamek może równie dobrze trafić dzielnego i pozytywnie myślącego mężczyznę, co tchórzliwego biedaka. Nie wierzyła, że to złych ludzi zawsze spo-tyka kara, a dobrzy zawsze przetrwają. Jak Sibyl wierzyła, że nie da się tego przewidzieć i że jedyną tarczą przeciw niesprawiedliwości jest odwaga.

Miała tę odwagę.

- Dobrze, Sibyl — rzuciła i odwróciła się.

Stary pan Harper świetnie się bawił. Opowiadał Donnelly'emu o pierwszej wojnie światowej. Wydawało się nawet, że jego gość też w niej uczestniczył. We Francji i Belgii widział angielskie oddziały, których nazwy dla staruszka były świętością. Donnelly nie był zbyt elokwentny, ale lalka zdań, które wypowiedział, najwyraźniej saty-sfakcjonowały starszego pana.

- Był pan łdedyś w Anglii, Donnelly?

- W Liverpoolu i okolicach, prawie przez rok, proszę pana.
- Och, Liverpool... — westchnął pan Harper, grzecznie sugerując pośledniość miasta. — Nigdy tam nie byłem. Ale za to Londyn...

Był pan może w Londynie?

- Byłem. To piękne miasto.
- Pewnie teraz się bardzo zmieniło.
- W tych okolicznościach — rzekł ponuro Donnelly.

34

Lucia usiadła na kanapie przysuniętej do stołu. Nalała herbaty. Kiedy ojcu przypominało się, że powinien włączyć ją do rozmowy, od-powiadała szybko z wesołym uśmiechem. Gdybym tylko mogła wyjść na spacer, pomyślała, mogłabym to przemyśleć. Muszę pomyśleć. Mu-szę znaleźć z tego wyjście. Nie mogę być taka otumaniona i niemądra.

A potem zaczął się prawdziwy koszmar. Bee zeszła na dół.

- Och...! — rzuciła od progu, jakby zaskoczyła ją obecność obcej osoby.

Jednak Lucia zauważyła, że Bee ubrała się znacznie bardziej elegancko niż zwykle na popołudniową herbatkę z rodziną. Miała na so-bie bluzkę z organdy koloru cytryny i czarną spódnicę. Rzęsy po-malowała niebieskim tuszem, a usta poprawiła szminką.

Idź stąd, miała ochotę powiedzieć Lucia. Nie wchodzi tutaj...

Pan Harper czekał, ale jego córka piła herbatę, nie podnosząc wzroku.

- Beatrice, to jest pan Donnelly — powiedział. — To pan z biura twego ojca. To moja wnuczka, panie Donnelly.

Donnelly wstał.

- Och... miło pana poznać — odezwała się Bee i dygnęła nie-znacznie.

Usiadła na kanapie obok matki i zapaliła papierosa.

- Nie, mam, nie chcę herbaty, dziękuję. Jest sok grapefruitowy?
- Niestety, nie mamy już kartek — odpowiedziała Lucia.
- Więc może mrożona herbata, mam?
- Przykro mi, ale popsuta się lodówka. Nie ma lodu.
- Samo życie — roześmiała się Bee.

Najwyraźniej chciała ściągnąć na siebie uwagę nieznanego. David byłby tym porwany, a Lucii pękało serce. Zauważyła, że Donnelly spojrzał na jej córkę nieodgadnionym spojrzeniem, a potem znów wrócił do słuchania ojca. W duszy Lucii rosnęło uczucie buntu.

Sama pozwoliłam mu wejść, pomyślała. No i jest w domu, z listami Bee w kieszeni. Próbuje mnie szantażować. Jakoś zdobędę te listy. Muszę coś zrobić.

Donnelly wstał.

- Muszę już iść, ale przez jakiś czas będę w okolicy — powiedział.

35

- Och, zatrzymał się pan tutaj?
- Mam tu interesy do załatwienia — odparł. — Pani Holley, mogę podjechać moim samochodem jutro około jedenastej i podwieźć panią do tego starego domu, o którym rozmawialiśmy?

Jego bezczelność nie miała granic. Pod jej własnym dachem, w obecności ojca i córki ośmielał się z nią umawiać na spotkanie. Ale sama go wpuściła do domu i już nigdy nie będzie bezpieczna.

Dobrze, pomyślała. Dobrze. Podniosła wzrok i spojrzała na niego ciemnymi oczami. Na policzkach miała rumieńce, a w sercu czuła bunt.

- Dobrze, to miło z pana strony — odparła.

Policzę się z tobą, pomyślała. Coś wymyślę. Czekaj no tylko.

Rozdział szósty

Dobrze! Dobrze! Niech sobie zanieś te listy do taty, pomyślała. Zo-baczmy, co się stanie. Niech no tylko spróbuje szantażować tatę.

Bee będzie ciężko, ale tata zrozumie, że tak naprawdę w tych li-stach nic nie ma. Nieważne, jak to wygląda. Poszła spać z tą myślą, zbuntowana i zdecydowana.

Kiedy obudziła się nad ranem, jej pewność siebie znikła. Nie mo-gę zrzucić tego na ojca, pomyślała. On jest taki prawy. Pewnie pójdzie z tym na policję. Musimy się tym zająć, moja droga. Potem policja do-wie się o Bee i Tedzie, a kiedy go znajdą...

Nie. Będę zwodzić Donnelly'ego. Będę udawać, że załatwiam dla niego pieniądze. To mi pozwoli zyskać na czasie.

I co tym razem zrobię? Muszę coś wymyślić. Muszę coś zrobić.

To był pogodny, przyjemny poranek. Słońce świeciło blado. Z wy-rzutami sumienia z powodu Davida włożyła strój kąpielowy i po cichu wyszła z domu. Ruszyła do hangaru na łódzie. Tym razem wzięła zwykłą łódź. Wyłynęła przez tunel, przez wąskie przejście między trzcinaми na otwartą wodę. Och, to najlepsze, co może być, pomyśla-ła i położyła wiosła na dnie łodzi. Skoczyła płasko do wody.

— Ach! — krzyknęła głośno. Woda była zimna. Po chwili pływa-nia nie czuła już chłodu, tylko doskonałą świeżość. Nad jej głową la-

36

tały mewy. Położyła się na plecach i dryfowała, oglądając ze spokojem lot ptaków. Krążyły tak nisko, że widziała ich gniewne oblicza.

Dryfowała tak, leżąc w lśniącej wodzie, spod wólpłzymkniętych powiek spoglądała na mewy i niewielkie chmurki na pięknym, błękit-nym niebie. Odwróciła się i dwa razy opłynęła łódź. Czuła się szczęśli-wa, poruszając rytmicznie mięśniami. Tak dla sportu zanurkowała pod łodzią. Przez chwilę znalazła się w jej chłodnym cieniu, a potem znów wypłynęła na słoneczną powierzchnię.

Gdzieś w oddali warknął silnik motorówki. Czyżby David po mnie wypłynął? Pośpiesznie wspięła się na łódź. Ale motorówka była tuż za nią. Płynęła od strony wyspy. Zauważyła ją, kiedy brała już wiosła. Za sterem stał policjant w mundurze, a na rufie siedział drugi. Obok nie-go spostrzegła młodego mężczyznę w szarym garniturze. Był wysoki, miał wielkie odstające uszy i duży ostry nos. Siedziała bez ruchu, ob-serwując ich. Kiedy motorówka ją mijała, młody mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią. Przez chwilę patrzyła w jego ciemne, łagodne, trochę smutne oczy.

Potem odpłynęli. Łódź chwiała się mocno na fali. Znaleźli Teda, pomyślała. Co teraz będzie?

Zaczęła wiosłować w stronę domu. Dobrze. Dobrze. Trzeba brać wszystko takim, jakie jest. Wszystko po kolei. Nie będę się martwić. Nie będę się denerwować na zapas. Poradzę sobie. Zdjęła gumowy czepek i

rozpuściła ciemne włosy. Unosiły się na wietrze. Wiosłowała powoli, a słońce suszyło jej wełniany strój.

Jeśli policja zacznie zadawać pytania, powiem, że Ted nigdy u nas nie był. Ojciec nawet nie wie, z kim rozmawiał. Powinam mu dzisiaj coś powiedzieć.

Dotarła do swego pokoju. David jej nie słyszał. Ubrała się i usiadła przy otwartym oknie. Jeśli ktoś przyjdzie, będę gotowa, pomyślała. Nieważne, co powiem. Nieważne, ile razy skłamię.

Usłyszała skrzypienie schodów, kiedy Sibyl schodziła na dół. Po chwili poszła za nią.

— Mam nadzieję, że dziś zjawi się ktoś z pralni — powiedziała Si-był. — Nie wiem, jak pan Harper wytrzyma z jedyną czystą koszulą na cały tydzień.

To było jak oliwienie maszyny. Taki zwykle był początek dnia i to było prawdziwe życie.

37

— Powinam pojechać do Nowego Jorku i spróbować kupić mu więcej koszul — powiedziała. — Dla Davida też. Tylko że trudno je dostać i są drogie.

— Poradziłybyśmy sobie — zauważyła Sibyl — gdyby człowiek z pralni zrobił to, co obiecał, ale nie był u nas już od dwóch tygodni. Nie przywiózł tego, co zabrał. Nie zabiera tego, co przygotowaliśmy.

— Jeśli dziś nie przyjdzie, chyba powinienam zadzwonić...? — zasugerowała Lucia.

— Raczej tak, psze pani — zgodziła się Sibyl.

Lucia wypita w kuchni filiżankę kawy, czekając ze zniecierpliwieniem, aż stary pan Harper zejdzie na dół. Wyszła na korytarz.

— Tato — zaczęła — pamiętasz tego człowieka, który przedwczoraj był w hangarze? Chyba powinienam ci coś o nim powiedzieć.

— Nie ma potrzeby, moja droga. Chyba że znów się zjawi, a to raczej mało prawdopodobne. Nie, nie sądzę, żeby tu szybko wrócił. Da-

łem mu to...

— Tak, wiem, tato — przerwała mu. — On nazywa się Stanley Schmidt.

— Schmidt! Niemieckie nazwisko.

— To jest Niemiec. To dziwny, podejrzany typ, ojcie. Nie chciała-  
bym, żeby kiedykolwiek wydało się, że Bee miała z nim do czynienia.

— Nie rozumiem, Lucio. Dlaczego jest... podejrzany?

— Wydaje mi się, że to nazistowski agent — odparła pośpiesznie.

— Co? Co?! Powinniśmy go zadenuncjować.

— Już to zrobiłam. Wysłałam anonimowy list do FBI — powie-  
działa Lucia. — Rozumiesz, dlaczego nie możemy pozwolić, żeby Bee  
była w to wplątana.

— Nie. Nie. Oczywiście, że nie. Powiedziałaś jej już, co sądzisz  
o tym człowieku?

— Wołałam tego nie robić — odpowiedziała Lucia cicho, znaczą-  
cym tonem.

To był ton, którego używała czasem w rozmowie z Tomem. Ozna-  
czał, że tylko ona może zrozumieć  
zawiłe tajemnice serca młodej dziewczyny. Tom czuł się wtedy zawsze skrępowany. Na ojca zadzia-  
łał tak samo.

— Cóż... chyba ty rozumiesz to najlepiej — skwitował.

38

David zszedł na dół, a niedługo potem również jego siostra. Usie-  
dli wszyscy razem przy stole. Przez  
okno dostawał się do pokoju deli-  
katny powiew wiatru. W promieniach słońca lśniły szklanki i srebra.  
Lucia spojrzała na siwe włosy ojca, puszystą, jasną grzywkę Bee i ster-  
czące uparcie włosy Davida w  
kolorze piasku. Zostawcie ich w spoko-  
ju, wołała w głębi duszy. Zostawcie ich!

— Idzie listonosz! — krzyknął David i odsunął krzesło. — Ciek-

we, czy jest coś od taty.

Wyszedł, trzaskając wahadłowymi drzwiami, i za chwilę wrócił z listami.

—: Cztery — obwieścił. — Dwa dla ciebie, mamó, jeden dla Bee i jeden dla mnie. Poczta wojskowa. Gazety dla dziadka i list do Sibyl. Kilka rachunków i takie tam.

On i Bee otworzyli adresowane do nich listy natychmiast, ale Lu-cia wolała swoje przeczytać, kiedy będzie sama. Pan Harper rozłożył nowojorską gazetę.

— Ciepło i pogodnie — czytał. — Najwyższy czas. Dotąd pogoda była nieznośna. Zobaczmy... No... w Europie wszystko wygląda bardzo obiecująco. To Monty... Pocziwy gość... A to co? Ha! Ciało zamordowanego marszanda znalezione na wyspie Simma.

— Czytaj! — poprosił David, podnosząc wzrok.

— Policja hrabstwa Horton donosi o wczorajszym odkryciu na oddalonych bagnach wyspy Simma. Znaleziono tam ciało Teda Darby'ego lat 34, którego nazwisko...

— Daj mi to! — krzyknęła Bee.

— Słucham? — zapytał pan Harper.

— Daj mi to! — krzyknęła znów.

— Chcę to przeczytać — zaczął, ale wyrwała mu gazetę z ręki i uciekła do swojego pokoju na górze.

— Co jej się stało? — spytał po chwili pan Harper.

— Pewnie to ktoś, kogo znała — odparł David. — Widuje sporo takich artystów.

— Ale nie musiała mi wyrywać gazety z ręki — oburzył się pan Harper.

— Teraz będzie miała zabawę — mówił David. — Obdzwoni wszystkie swoje znajome. „Kochana! Słyszałaś o tym, jak mu tam?”



— Nieważne — przerwał mu pan Harper. — Mogła chwilę poczekać.

— Och, wiesz, jak dziewczyny lubią świeże, pikantne plotki — powiedział David jak mężczyzna do mężczyzny.

Czy on coś wie, czy po prostu broni Bee? Lucia zastanawiała się nad tym chwilę.

Nie mogła sobie pozwolić na okazanie zniecierpliwienia czy pośpiechu, ale kiedy skończyła jeść śniadanie, poszła po schodach na górę i zapukała do drzwi Bee.

— To ja, Bee. Wpuść mnie, kochanie.

Klucz obrócił się w zamku. Bee otworzyła drzwi.

— I co, wygrałaś — rzuciła z tym kwadratowym, pogardliwym uśmiechem.

Lucia weszła, zamykając za sobą drzwi.

— Nie chodzi mi o wygraną — powiedziała. — Po prostu...

— Ale wygrałaś — stwierdziła Bee. — Jestem skończona.

— Ależ skąd, Bee! Każdy może popełnić błąd.

— Ale nie taki straszny błąd. To, co piszą o nim w gazetach, chyba jest prawdą...

— Nie czytałam jej jeszcze.

— Był aresztowany tuż przed wojną. Miał małą galerię sztuki, gdzie sprzedawał obsceniczne obrazy. Policja ją zamknęła, ale udało mu się wśliznąć do środka i zamazać te wszystkie obrazy. Zabawne, co? Mało tego, on już raz był rozwiedziony i jego pierwsza żona oskarżała go o wyłudzenie od niej pieniędzy. Zdaje się, że o wszystkim wiedziałaś.

- Nie, nie wiedziałam, Bee. Nic o nim nie wiedziałam.
- Więc jak się domyśliłaś, że on jest taki... okropny?
- Kiedy go tylko zobaczyłam, od razu to czułam.
- Alejak?
- Cóż, po prostu czułam... — wyjaśniała.
- Ale jak? Widywałam go często i nigdy nie pomyślałam, że...  
jest taki. To znaczy, był taki wesoły i beztrosły. Nie wyglądał na kogoś,  
kto planuje... Mamo, chciałabym wiedzieć, jak się na nim poznałaś,  
skoro ja nie potrafiłam.
- Ależ Bee, jestem starsza...
- Ale przecież ty nigdzie nie bywasz. W ogóle nie znasz życia.

40

- To niemądre, Bee. Jestem mężatką i mam dwoje dzieci.
- To nic — zaprzeczyła Bee. — Mówiłaś mi, że poznałaś tatę,  
kiedy byłaś jeszcze w szkole. Pewnie nie pomyślałaś nawet o innym  
mężczyźnie. Zaręczyłaś się, mając siedemnaście lat.
- Sama masz dopiero siedemnaście — odparła Lucia.
- Teraz są inne czasy. Dziewczyny są inne. Nie wychowuje się  
ich pod kloszem. — Zamilkła. — Chcę stąd uciec!
- Nie rozumiem, Bee.
- Nie mogę tu zostać! — krzyknęła Bee. — Nie chcę się z nikim  
widywać. Nie wrócę nawet do szkoły.
- Bee, ty chyba nikomu nie mówiłaś o Tedzie?
- Och, nie wymieniałam nazwiska. Ale wszyscy w szkole wie-

dzieli, że mam chłopaka... Mówiłam czasem, gdzie idziemy... tego typu rzeczy. Boże! Gdyby ktoś się dowiedział, że zakochałam się w takim typie jak Ted, to... nie wiem. Wolałabym umrzeć.

— Nie mów tak, Bee.

— Tak się składa, że to właśnie czuję. Boże!

— Nie bluźnij, Bee.

— Jakie to ma znaczenie? Kiedy pomyślę, że pozwoliłam mu się pocałować... i to wiele razy... Mówię ci, wolałabym umrzeć, niż żeby się ludzie o tym dowiedzieli.

Jej niebieskie oczy pociemniały, a twarz była blada jak papier. Ból i wstyd doprowadzały ją do desperacji.

— Chcę stąd wyjechać\*.

— Bee — powiedziała Lucia. — Bee, kochanie! Możesz to przetrwać tylko wtedy, gdy stawisz temu czoła. Musisz ponieść konsekwencje...

— Mówisz jak dziadek!

Czuję się jak on, pomyślała Lucia.

— I pewnie powiedziałaś dziadkowi o Tedzie.

— Nikomu nie powiedziałam. Nie mam zamiaru. Powinnaś to wiedzieć.

— Ale nie wiem. Nie wiem, co ci chodzi po głowie. Może sądziłaś, że twoim „obowiązkiem” było powiedzieć dziadkowi i tacie. Może chciałaś mi dać nauczkę.

— Jeżeli tak myślisz... — zaczęła Lucia.

— Wiem, że zawsze robisz to, co ci się wydaje dla mnie najlepsze

— przerwała jej Bee. — Ale ty mnie wcale nie rozumiesz.

Luda nic nie odpowiedziała.

— Pomożesz mi wyjechać? — zapytała Bee.

— Tak — zgodziła się Lucia. — Daj mi tę gazetę. Zobaczymy, co tam piszą.

— Pomożesz mi stąd wyjechać... natychmiast?

— Tak. Porozmawiamy o tym później. Teraz chcę zobaczyć tę gazetę...

Wzięła gazetę do swego pokoju i usiadła na brzegu nie zaścielonego łóżka. Szczegóły z przeszłości Teda Darb/ego ją nie interesowały. Szukała czegoś innego.

„Ciało znalazł wczoraj po południu Henry Peters, czterdzieści-stodwuletni elektryk z Rockview w stanie Connecticut. Pan Peters spacerował po plaży, kiedy uporczywe szczekanie psa nakłoniło go do wejścia na bagna...

Porucznik Levy z policji hrabstwa Horton stwierdził, że śmierć spowodowało przecięcie gardła szpiczastym narzędziem, dwa-dzieścia cztery do dwudziestu sześciu godzin przed znalezieniem ciała. Policja dysponuje kilkoma śladami."

Jakimi śladami? Jeśli dotrą do mnie, zastanawiała się Lucia, potem do ojca, to nic już nie ocali Bee. I te listy... Te listy! Gdybym jakoś zdobyła pięć tysięcy dolarów... Ale nic go nie powstrzyma, żeby później nie zażądać więcej. Może przecież zatrzymać część listów. Nie będę miała pewności.

Zostawiła gazetę na łóżku i podeszła do okna. Może mężczyzna, którego widziałam rano w łodzi, to był porucznik Levy, pomyślała. Wyglądał na miłego człowieka. Może powinnam do niego pójść i o wszystkim mu opowiedzieć? W końcu żadne z nas nie popełniło przestępstwa. Pewnie nie powinnam była wywozić Teda, ale przecież nie zacierałam śladów zbrodni, tylko nieszczęśliwego wypadku. To byłoby nieprzyjemne dla ojca, ale on potrafi wiele znieść.

On tak, ale Bee nie. Wyobraziła sobie Bee stojącą w sądzie, z miłą wyrażającą bunt i pogardę, w głębi duszy jednak zrozpaczoną i nieszczęśliwą. Panno Holley, czy zaprosiła pani tego mężczyznę na spotkanie w hangarze na łodzi? Odwiedzała go pani w hotelu?

42

Nie! — zaprzeczyła w myśli Lucia. Nie chcę, żeby Bee stawiała te—mu czoła i ponosiła konsekwencje.

Wywiozę ją gdzieś. Może do Ange-li, do Montrealu? Chyba że w czasie wojny gazety dochodzą też do Kanady... Więc może do obozu Gracie w Maine. Mogłabym zadzwonić od razu do Gracie.

Ale nie mogła. Ojciec albo David mogliby usłyszeć, jak dzwoni. Nie miała nawet odrobiny prywatności. Nigdy nie miałam, uświado-miła sobie nagłe. Przez całe moje życie wszyscy wiedzieli, co robię, gdzie idę. Nie o to chodzi, że ktokolwiek mnie podglądał czy śledził, ale zawsze wiodłam życie trochę publiczne, całkowicie otwarte.

Pójdę do wioski i zadzwonię ze sklepu, pomyślała. Powinnam...

Usłyszała skrzypienie schodów. Sybil wchodziła na górę, wzdy-chając ciężko. Lucia nie miała ochoty z nikim rozmawiać, więc ruszy-ła w stronę łazienki, ale drzwi były zamknięte.

— Chwilę! — krzyknęła zdławionym głosem Bee.

Lucia wyszła na korytarz.

— Chyba pójdę do ogrodu popielić grządki — powiedziała do Si-  
byl.

— Tak, psze pani.

Lucia nie lubiła pracy w ogrodzie. Robiła to tylko dlatego, że jej obowiązkiem było posiadanie choć kawałka ogródka. Włożyła duży, spłowiasty, słomkowy kapelusz i grube rękawice. Wzięła kosz z sekato-rem i łopatką. Wyszła tylnymi drzwiami wprost na niewielki kwadra-cik, który przekopał i obsadził dla niej miejscowy ogrodnik.

Nie wiedziała dokładnie, które z wyrastających z ziemi roślin są chwastami. To dziwne, pomyślała. Ojciec, David i Bee sądzą, że się na tym znam. Tylko Sibyl zna prawdę. W koszu było jeszcze jedno narzę-dzie, coś przypominającego małą motykę z wygiętymi ząbkami. Nie znała jego nazwy i nie wiedziała, do czego służy, ale to było jej ulubio-ne narzędzie. Nie można tym wiele zniszczyć, stwierdziła, klękając na rozgrzanej słońcem ziemi i skrobiąc nim delikatnie grządki.

Ten Donnelly może zatrzymać się pod sklepem, pomyślała. Wejdę do środka i zadzwonię do Gracie. Załatwię, żeby Bee mogła tam poje-chać od razu. Ojcu i Davidowi powiem, że Gracie nagle zadzwoniła, że potrzebuje kogoś do pomocy. Sibyl wyprasuje kilka czystych sukni Bee. Dam jej mój szary płaszcz na podróż pociągiem. Resztę rzeczy doślemy jej później. Mam dość pieniędzy.

4.0

— Mamo... — zawołał ją David.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

— Jest tu jakiś mężczyzna o nazwisku Donnelly—powiedział. —

Mówi, że przyjechał zabrać cię na przejażdżkę.

— Tak, to prawda — odparła Lucia, wstając.

— To znaczy, że masz zamiar jechać z nim samochodem?

— Dlaczego nie? — zdziwiła się. — Był tu wczoraj na herbacie.

— Słyszałem — odparł David. — Cóż, rób jak chcesz, ale mnie się

to nie podoba.

Nie miała czasu kłócić się teraz z Davidem. Pobiegnęła na górę umyć się i zmienić sukienkę. Kapelusz, pomyślała, to zawsze wygląda lepiej. Włożyła nowy kapelusz, na kupienie którego namówiła ją w Nowym Jorku Bee. Był w marynarskim stylu z białą, płócienną lamówką na brzegu. Włożyła białe rękawiczki i spojrzała w lustro. Wydawało jej się, że wygląda dość porządnie i dystyngowanie.

— Na którą ma być obiad, psze pani? — zapytała Sibyl, kiedy Lucia zeszła na dolny korytarz.

— Och... o pierwszej, jak zwykle, Sibyl — odparła. — Nie wyjeżdżam na długo.

Jadę tylko na chwilkę z szantażystą, pomyślała. Choć trudno w to uwierzyć.

Donnelly stał na podjeździe, jedną nogą opierając się o zderzak pięknej maszyny. Miał na sobie ciemnoszarą, flanelową marynarkę i jasnoszare, luźne spodnie. Był przystojny, powściągliwy i dystyngowany.

— Dzień dobry! — przywitała się Lucia.

— Dzień dobry — odparł, nie uśmiechając się, i pomógł jej wsiąść do samochodu.

Swobodnie prowadząc samochód, wyjechał na główną drogę.

— Mógłby się pan zatrzymać przed sklepem? — zapytała. — Nie możemy jeździć naszym samochodem, bo skończył nam się przydział na paliwo, a muszę coś załatwić.

— Oczywiście. Niech pani powie, gdzie skręcić...

— Następna w prawo, a potem prosto — powiedziała.

Czy on się ani trochę nie denerwuje?— zastanawiała się. Robi coś takiego... popełnia przestępstwo, za które mógłby pójść do więzie-nia na kilka lat. Nie jest mu ani odrobinę wstyd? Kiedy dotarli do wsi,

44

zauważyła ich odbicie w szybie wystawy sklepu z meblami. Widok ją zaskoczył. Duży, dobrze ubrany, zadbany mężczyzna, a obok niego dama w kapeluszu i rękawiczkach. Nikt by nie uwierzył, pomyślała.

— Tam, za rogiem jest sklep — powiedziała. — Wracam za minu-tę.

Mylła się. Sporo czasu zajęło jej dodzwonienie się do obozu w Maine i jeszcze więcej przywołanie Gracie Matthews, właścicielki.

— Zdaje mi się, że panna Matthews jest nad jeziorem — objaśnił miły, uprzejmy głos w telefonie. — Poślę po nią.

W budce było gorąco i unosił się w niej bardzo nieprzyjemny za-pach. Lucii spocily się dłonie, pot pojawił się na jej czole i górnej war-dze. Och, pośpieszcie się, pośpieszcie! — wołała w myślach. Nie chcę go zdenerwować tak długim czekaniem.

Kiedy Gracie wreszcie przyszła, była bardzo irytująca.

— Oczywiście, Lucio, chętnie wezmę twoje dziecko, ale nie jutro.

Nie będziemy mogli wyjść po nią na pociąg. Możemy zamówić dowóz ze stacji, powiedzmy na poniedziałek.

— Chciałabym... to znaczy, ona by chciała przyjechać jutro, Gra-cie.

— Ale po co ten pośpiech, Lucio?

— Właśnie wpadło jej to do głowy...

— Więc równie dobrze może przyjechać w poniedziałek.

— I nie załatwisz nic na jutro?

— Mogłabym — powiedziała Gracie. — Ale po co? Musiałabym

prosić ludzi z obozu Weelikeus, żeby po nią pojechali na stację, a nie chcę tego robić, jeśli nie muszę. W poniedziałek będziemy mieli własny wóz na stacji i nie rozumiem, dlaczego ona nie może poczekać do poniedziałku. Jest już przecież piątek.

— Wiesz, jak to jest, kiedy się jest młodym.

— Nie wiem! — odparła Gracie ze zwykłą stanowczością. — Kiedy byłam młoda, nie oczekiwałam, że wszyscy będą gotowi na każde moje skinienie.

— Bee nie czuła się ostatnio zbyt dobrze. Ten klimat chyba...

— Jeśli jest chora, nie przysyłaj jej do mnie, Lucio. Mam tu trzydzieści osiem dziewczynek i żadnej pielęgniarki. Brakuje mi też dwóch opiekunów.

— Bee bardzo chciałaby być opiekunką, Gracie.

— Ona w ogóle się do tego nie nadaje! — zaprzeczyła Gracie. — Nie umie sobie radzić z ludźmi. Jest zbyt egocentryczna.

— Nie jest — odparła odruchowo Lucia. — Cóż, jeśli nie pozwolisz jej przyjechać jutro...

— Dobrze! — zgodziła się Gracie. — Niech przyjedzie, ale robię to tylko dla ciebie, Lucio. Sama nigdy nie uległabym żądaniom nastolatki.

Rozmawiały jeszcze chwilę o pociągach i ekwipunku.

— Dwa koce — wyliczała Gracie. — Poduszkę i... zapisujesz to, Lucio?

— Tak — kłamała jak z nut.



To była długa lista.

— A jeśli ma coś ulubionego, znaczki, rysunki, robienie na drutach, malowanie czy cokolwiek innego, niech też ze sobą zabierze.

— Dobrze, Gracie, jestem ci bardzo wdzięczna.

— Moim zdaniem, postępujesz niemądrze, ustępując we wszystkim rodzinie. Możesz mi wierzyć, Lucio, że traktowałiby cię znacznie lepiej, gdybyś im się czasem sprzeciwiła.

— Może masz rację — odparła Lucia. — Dziękuję za wszystko, Gracie. Napiszę do ciebie.

Odłożyła słuchawkę i otworzyła drzwi budki telefonicznej. Tkwiła tu całą wieczność... a nie chciała go denerwować. Wszedł jednak grzecznie i pomógł jej wsiąść do samochodu. Ruszył przez wioskę i skręcił na ocienioną drzewami drogę, której nie знаła.

— Przygotowała już pani pieniądze? — zapytał.

— Nie — odparła. — Nie mogłam jechać do banku po pieniądze, bo wszyscy by mnie pytali, po co mi one. Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Wszystko się zmieniło — zaczął. — Darby już nie żyje.

— Tak — zgodziła się. — Tak mi się wydaje.

— To jeszcze gorzej dla dziewczyny.

— Raczej nie — zaprzeczyła. — Gorzej być nie może.

— Będzie na pewno, kiedy wszystko się wyda na procesie.

— Jakim procesie?

46

— Będzie przecież proces tego kogoś, kto zabił Darb/ego —

odparł Donnelly. — Dobrze się spisał, ale w końcu go postawią przed sądem.

— Jeśli go złapią.

— Nie ma tu żadnej tajemnicy — ciągnął Donnelly. — Jakiś tuzin ludzi już wie, kto to.

Och, nie. Nie mogą aresztować niewłaściwego człowieka. Nie mogą, myślała Lucia.

— Może się mylą — powiedziała.

— Sądzi pani, że jeszcze ktoś chciałby się go pozbyć? — zapytał i po raz pierwszy uśmiechnął się blado i nieznacznie.

— Może to był wypadek — rzekła.

Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

— Tu niedaleko jest gospoda — powiedział. — Porządne miejsce.

Można dobrze zjeść. Może zje pani ze mną obiad?

— Och, nie, dziękuję — odparła przestraszona. — Muszę być na obiad w domu. Właściwie powinnam już wracać.

— Jak pani chce. — Zawrócił samochód. — Będzie pani jutro miała pieniądze? — zapytał.

— W poniedziałek — odpowiedziała. — Nic nie mogę zrobić do poniedziałku.

— Nie naciskałbym tak bardzo, gdyby nie była w to wmieszana jeszcze jedna osoba.

— Jeszcze ktoś...?

— Mój wspólnik — odparł. — Gdybym był sam, dałbym sobie spokój i nic bym od pani nie wziął.

To pewnie najstarszy numer świata, pomyślała w duchu Lucia. Udaje, że to wina jego wspólnika.

— Jeśli nie dostanę tych pieniędzy — ciągnął dalej Donnelly —  
on tu po nie wróci.

— Wróci? — zapytała. — To znaczy, że to Nagel... pan Nagel?

— Jest pani bystra — powiedział, spoglądając na boki. Zaskoczył  
ją głęboki odcień niebieskich oczu.

— To okropny człowiek — orzekła.

— Tak pani sądzi? — zapytał. — Dla mnie jest przyjacielem. To  
on mi pomógł na początku, kiedy tu przyjechałem.

— Przyjechał pan zza oceanu?

47

— Z Irlandii — odparł. — Miałem dobre mniemanie o tym kraju.  
Tyle o nim słyszałem. Uciekłem z domu, kiedy miałem piętnaście lat,  
zaciągnąłem się na statek jako sprzątac. Tak się tu dostałem. Chcia-  
łem zejść po pierwszym rejsie, ale bosman mi nie pozwolił. Chyba od-  
razu się zorientował, że chciałem uciec. Taak, kiedy tu pierwszy raz  
dopłynąłem, stałem tylko na pokładzie statku i patrzyłem na Statuę  
Wolności.

Zamilkł i uśmiechał się nieznacznie.

— Więc jak tu się pan w końcu dostał? — zapytała Lucia.

— Znudzi panią ta historia — powiedział.

— Chciałabym się dowiedzieć.

To była prawda. Chciała wiedzieć, jakim jest człowiekiem, żeby le-  
piej sobie z nim później radzić.

— Wróciłem do Liverpoolu i pewnego dnia usiadłem w porcie,  
poszukując statku, który mnie zabierze z powrotem. Podszedł do

mnie mężczyzna, bardzo grzeczny. Rozmawialiśmy przez chwilę, a potem on powiedział: „Chodźmy się napić.” Miałem wtedy szesnaście lat, ale wyglądałem na starszego. Nigdy nie piłem alkoholu i, szczerze mówiąc, bałem się pić. Tyle słyszałem o alkoholu, ale poszedłem z nim, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Nim się zorientowałem, byłem już na statku płynącym do Singapuru, a potem do Chin i Japonii. Kiedy wróciłem do Liverpoolu, głowę miałem pełną wspomnień rzeczy, które widziałem, i chciałem zobaczyć więcej. Potem wsiadłem na następny statek na wschód, do Egiptu, Indii...

Zamilkł na chwilę.

— To dziwne — dodał. — Gdy już miałem pieniądze, by jeździć po świecie, odwiedziłem te same miejsca i nie wydawały mi się już takie same. Cóż... może to dlatego, że nie byłem już taki młody.

— Ale jak pan trafił do Nowego Jorku?

— Ta historia nie jest ciekawa. Zebrałem pieniądze i kupiłem bilet.

A jak to się stało, że pan został szantażystą? Miała ochotę go o to zapytać. Musiał być ciekawym świata, romantycznym chłopcem. Jak więc stał się kimś takim?

— Co pan robił, kiedy pan tu przyjechał? — zapytała.

— Nie uwierzyłaby pani — powiedział. — Miałem kuzyna na Brooldynie. Tylko tyle wiedziałem. Nie znałem adresu, nic prócz na-

48

zwiska. Sądziłem, że go jakoś znajdę, więc ruszyłem na Brooklyn. Myślałem, że to niewielkie miasteczko. Wprost trudno uwierzyć. Chodziłem po ulicach i wypytywałem wszędzie: Słyszał pan może o panu Mulligan z hrabstwa Clare? Po jakimś czasie spotkałem policjanta. Powiedział, że niedaleko jest klub, w którym spotykają się ludzie z Clare. I mówił, żebym tam się udał, a może się czegoś dowiem. No cóż,

dobrze tam znali mojego kuzyna. Ktoś zabrał mnie do jego sa-loonu i tak się skończyły moje problemy. Już pierwszego dnia, kiedy postawiłem nogę w tym kraju.

— Pracował pan dla kuzyna? — zapytała Lucia.

— Nie... — zaprzeczył. — To nie było tak. Wie pani, on miał zakłady na boku...

— Jakiego rodzaju zakłady?

— Zakłady na wyścigach — wyjaśnił Donnelly. — Zabrał mnie ze sobą do parku Belmont i poznałem tam wielu jego przyjaciół. Oni wprowadzili mnie w kilka spraw. Potem dogadałem się z głównym szefem w dzielnicy i ze wszystkimi innymi.

— Nie miał pan pracy? Normalnej pracy?

— Nie — odparł z dużą dozą dumy. — Nigdy w życiu nie miałem normalnej pracy, tylko te trzy podróże statkami.

— Nie chciał pan mieć pracy z regularną pensją?

— Nie — odparł. — To nie leży w mojej naturze.

A co leży w twojej naturze? — zastanawiała się. W ogóle go nie rozumiała. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, jakie było jego życie. Nie wydaje się naprawdę złym człowiekiem, pomyślała. Może uda mi się go z tego wypłatać?

Ale znaleźli się już w pobliżu jej domu. Nie było na to czasu.

— Zapytam mojego współnika, czy zaczeka do poniedziałku — powiedział Donnelly — ale nie wiem... Jest pani pewna, że będzie miała pieniądze w poniedziałek?

— Tak — odparła Lucia.

Do poniedziałku Bee już tu nie będzie, a ja coś wymyślę... uspokajała się. Znajdę jakiś sposób.

Kiedy skręcili na podjazd, spostrzegła, że przed domem stała wysoka półciężarówka. Pralnia „Eagle”. Kierowca stał obok samochodu, a Sibyl na schodach blisko niego.

— On mówi, że będą przyjeżdżać tylko raz w miesiącu — po-  
skarżyła się.

— Raz w miesiącu? — oburzyła się Lucia. — Nie damy rady...

— Nic więcej nie możemy zrobić — powiedział młody, szczupły,  
ciemnowłosy mężczyzna w czapce z daszkiem. — Nie mamy benzyny,  
opon i ludzi, żeby częściej odbierać pranie.

— Sama zrobię pranie — orzekła rozdrażniona Sibyl. — Nie bę-  
dę czekać miesiąc.

— Proszę bardzo! — rzucił kierowca i wsiadł do samochodu.

Cofnął i odjechał spod domu. Donnelly wyszedł z wozu i pomógł  
Lucii wysiąść.

— Skontaktuję się z panią — rzekł, stojąc z kapeluszem w dłoni.

Zaskoczyło ją, kiedy odwrócił się do Sibyl z uśmiechem i wykonał  
gest podobny do salutowania.

#### Rozdział siódmy

O co tu chodzi? — zapytała Bee. — To do ciebie niepodobne, mamó, żeby się umawiać z obcym  
mężczyzną.

— Nie umawiam się — powiedziała Lucia. — Chciał mi pokazać  
stary dom. Zabytkowy... Powinniśmy zrobić listę potrzebnych rzeczy  
dla ciebie. Ciotka Gracie kazała zabrać dwa koce i poduszkę.

— Nie uniosę tego wszystkiego, a na dworcach nie ma już бага-  
żowych. Zresztą, ciotka Gracie na pewno będzie coś miała. Ona jest  
taka cholernie zapobiegliwa.

— Bee, nie wyrażaj się. Wiesz, że tata tego nie cierpi. Ciotka Gra-

cie też nie.

- Dzięki Bogu, nie jest moją ciotką.
- Ale lubi, kiedy ty i David nazywacie ją ciocią.
- Od lat tego nie robiliśmy. Nie przepadam za nią. Nie zbliżyła-  
bym się nawet do jej okropnego obozu, gdybym nie musiała stąd wy-  
jechać.

Lucia siedziała na łóżku w pokoju Bee, a córka stała przed nią bo-so, w satynowej sulaence koloru kości słoniowej. Była taka śliczna i ta-ka obca. Jakie uczucia żywiła dla Teda Darby'ego? — zastanawiała się

50

Lucia. Ile to wszystko dla niej znaczy? Nie wiem. Jest bardzo nerwo-wa. Nie zjadła nic na obiad. Ale czy w ogóle jest jej smutno? Powin-nam to wiedzieć. Powinnam umieć rozmawiać z własnym dzieckiem.

- David zabrał mnie dziś do klubu jachtowego. On łatwo zawie-  
ra nowe znajomości. Było tam sporo ludzi, i to nie same dzieciaki. Do-  
brze się bawiłam, ale przez cały czas zastanawiałam się, czy ktoś  
z nich nie wie o mnie i o Tedzie. Nienawidzę go za to.

- Bee! On już nie żyje.
- Nienawidzę go! — krzyknęła Bee. — Nigdy mu nie wybaczę  
tego, jak mnie skrzywdził.
- Bee, co on ci zrobił?
- Przez niego już nigdy nie zaufam żadnemu mężczyźnie.
- To nieprawda. Pomyśl o ojcu, dziadku i Davidzie.
- Nie wiesz nawet — ciągnęła Bee — jacy oni są wyjątkowi. Nie  
wiesz, ile miałas szczęścia. Może i wiesz nudne życie, ale przy-  
najmniej nigdy nikt cię nie oszukał i nie poniżył. Co to za jeden ten  
Donnelly?

— To miły człowiek—odparła Lucia. — Zróbmy wreszcie tę listę, Bee.

— Jest przystojny — zauważyła Bee. — Ale to wilk w owczej skórze.

— Cóż, to nieważne — odparła Lucia. — Zabierzesz, oczywiście, flanelową sukienkę.

— Chodzi o to, że ty nie odróżniasz wilka od owcy.

— Odróżniam. Nie jestem idiotką.

— Mamo, czy ktoś już wcześniej cię podrywał?

— Nawet gdyby tak było, nie powiedziałabym ci — odparła Lucia.

— I to twój błąd — rzuciła Bee. — Udajesz ideał.

— Nic nie udaję.

— Ależ tak. Nikomu nie pokazałaś nawet, że płaczesz po wyjeździe taty.

— Dlaczego mam wszystkim pokazywać, że jestem nieszczęśliwa?

— Tak byłoby lepiej. Gdybyś nie była tak piekielnie powściągliwa, może mogłabym z tobą porozmawiać.

51

Och, Bee, dlaczego nie możesz ze mną rozmawiać? — krzyczała w głębi duszy. Tak tego pragnę. Naprawdę, wiele rozumiem. Po schodach wbiegł David.

— Mamo — zawołał.—Ktoś do ciebie.

— Kto taki?

— Mówi, że przysłał go pan Donnelly. Ja zostanę — powiedział



David. — Uważaj na srebra. On jest na werandzie.

— Przymierz moją brązową spódnicę, Bee — nakazała Lucia. —

Zaraz wracam.

— Mamo, co się dzieje? — zapytała Bee. — Kim jest ten Donnelly?

— Już ci mówiłam. Zaraz wracam.

Przez okno w salonie Lucia widziała mężczyznę stojącego na werandzie i posmutniała. Ten był najgorszy, zdecydowanie najgorszy, najbardziej dziwaczny i podejrzany. Młody człowiek, jeszcze chłopiec, miał na sobie ciemny sweter obciskający chudy tors, nieuczesałą grzywę czarnych włosów i małe, czarne oczy, osadzone za blisko szerokiego nosa.

To jakiś gang, pomyślała. Cała banda szantażystów. Wciąż przychodzą... Ale najpierw trzeba wywieźć stąd Bee. Potem zobaczymy. Potem pomyślę.

Było jej zimno ze strachu, kiedy otwierała drzwi i wychodziła na zewnątrz.

— Chciał się pan ze mną widzieć? — zapytała.

— No — odparł chłopak. — Królewska Śnieżynka.

— Co?

— Królewska Śnieżynka — powtórzył niecierpliwie. — Pan Donnelly kazał mi przyjechać. Mam zabrać pranie.

— Och... pranie? — powtórzyła.

— Tak. Pranie.

Milczała. Próbowwała to zrozumieć. To musi być jakiś szyfr, pomyślała. Pewnie przyjechał po pieniądze albo mnie sprawdzić, czy coś takiego. A jeśli nie będzie chciał odjechać bez pieniędzy?

— Pan Donnelly powiedział, że ma być na jutro — powiedziała ostrożnie.

— Nam kazał zabrać dzisiaj. Powiedział, że to ma być specjalna fucha. Kazał zabrać dziś i oddać na wtorek.

— Nasze pranie?

— No jasne, paniusiu, nie tak mówiłem? Pranie. To, co się pierze i prasuje. Pranie...

— I pan Donnelly pana przysłał?

— Mówił, że macie z tym kłopot.

— Ale jak pan to zabierze?

— Mam tu samochód — odparł i skinął głową na zaparkowany na podjeździe wóz, obdrapanego, niebieskiego coupe. — Paniusiu! — rzucił niecierpliwie. — Nie mam czasu.

— Tak — odparła. — Już przynoszę pranie.

Odrobinę oszołomiona weszła do domu i udała się prosto do kuchni, do Sibyl.

— Jest tu chłopak z pralni — powiedziała. — Mają odwieźć czyście we wtorek.

— Nowa pralnia, psze pani? — zapytała Sibyl, patrząc na nią ze zdziwieniem.

— Tak — odparła rzeczowo Lucia. — Królewska Śnieżynka. Daj pranie temu chłopcu, Sibyl.

David czekał w korytarzu.

— Co ma mu dać? — zapytał pośpiesznie.

— Nic takiego — odrzekła. — Chłopak przyjechał po pranie.

— Nie ma wozu dostawczego?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to.

— A co ten Donnelly ma wspólnego z naszym praniem?

— Wiedział, że mamy z tym kłopot, i chciał być uprzejmy.

— Najprzejmiej zrobi, gdy się będzie trzymał od nas z daleka — powiedział David.

— Nie bądź niemądry — rzuciła odruchowo Lucia i poszła na górę do Bee.

— Kto to był? — zapytała Bee.

— Och, to tylko chłopak z pralni.

— A co ma do tego pan Donnelly?

— Wiedział, że mamy kłopot z praniem, i przysłał tego chłopca.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego? Nużę mnie te pytania! — krzyknęła Lucia.

— Mamo! — oburzyła się Bee. — Jeszcze cię takiej nie widziałam.

53

— Jakiej? — spytała chłodno Lucia. — Odwróć się, Bee, i pokaż, jak ta spódnica leży z tyłu.

Niedobrze, powiedziała sobie w duchu. To do mnie niepodobne, żeby tak się unosić. Tylko że ja... no, nie wiem. Jestem chyba zmęczona. Muszę się trzymać dzielnie, bo inaczej wszyscy zauważą.

Wszyscy byli dla niej zagrożeniem, ojciec, córka i syn. A Sibyl? Nie wiem, pomyślała. Muszą mnie zostawić w spokoju, żebym mogła to załatwić. Muszę to dobrze przemyśleć. Wywiozę Bee. Szkoda, że nie mogę tego zrobić z ojcem.

Sądziła, że gdyby mogła ich wszystkich gdzieś ukryć, łatwiej poradziłaby sobie z rosnącymi problemami. Gdyby ich nie było, mogła-bym spokojnie pomyśleć... W głębi serca wiedziała, że nie przemyśla-ła tego wszystkiego, nie miała żadnego planu. Nic nie miała, prócz te-go głupiego pragnienia, żeby odsunąć na później Donnelly'ego i Na-gela i zyskać trochę więcej czasu. Nie uda mi się zdobyć pięciu tysięcy dolarów, pomyślała.

Ale jeśli będę zmuszona?

Nie, to nic nie pomoże. Szantażyści nigdy nie dają ci spokoju. Nie oddadzą mi wszystkich listów. Nie mogę być pewna. Siedziała w swoim pokoju i przyszywała pasek do podomki Bee, skromnego ubrania ze

sztucznego jedwabiu w kolorze zgaszonego rózu, lekko pachnące-go perfumami. Miała ochotę płakać. Zaczęła szlochać.

Musiała się powstrzymać. Ktoś mógł wejść i ją zobaczyć. Zawsze ktoś wchodził. Zawsze ktoś pukał do drzwi. Każdy miał prawo wejść do jej pokoju, od tego w końcu była. To było jej zadanie, sens istnienia. Nie było nawet jednej godziny, która należałaby tylko do niej.

I ktoś zapukał. To była Sibyl.

— Pan Harper przyjął kogoś z policji — powiedziała. — Jest na dole. Zaprosił go na herbatę.

— Z policji?! — krzyknęła Lucia.

— Tak, psze pani — odparła Sibyl. — Ale chyba nie ma się czym martwić. Najpierw wszedł przez kuchenne wejście i rozmawiał ze mną. Chodzi po ludziach w sąsiedztwie i sprawdza, czy nikt nie znał pana Darby'ego...

Czyżby usłyszała współczucie w głosie Sibyl i zobaczyła je w jej lśniących, bursztynowych oczach? Czy ona coś wie? A może wszyst-ko? Nie pytaj. Nie próbuj się dowiedzieć.

54

— A czy... gdzie jest panienka Bee? — zapytała.

— Wyszła na spacer z jakimś młodym człowiekiem, psze pani.

— Jakim młodym człowiekiem?

— Z sąsiedztwa, psze pani. Wygląda na miłego chłopca — odparła Sibyl.

W jej głosie było współczucie i zrozumienie.

— Naprawdę miły chłopiec — powtórzyła.

— Zejdę na dół — powiedziała Lucia.

— Tak, psze pani. Pan Harper cieszy się, że ma towarzystwo przy herbacie. On się nie boi policji. Nie ma nic na sumieniu.

Więc wiesz, pomyślała Lucia. Ale nie mogła być pewna i nie chciała się przekonać. Umyła się i uczesała włosy, włożyła świeżą sułdenkę i pośpiesznie zeszła na dół do salonu.

— Och, Lucio... — powiedział ojciec. — To jest porucznik Levy, z policji hrabstwa Horton. Poruczniku, to moja córka, pani Holley.

Porucznik wstał. Był wysokim, młodym mężczyzną o dużych sto-pach i dużych, mocno odstających uszach. Nie miał na sobie mundu-ru, ale szary, porządny garnitur, w którym nie wyglądał tak oficjalnie. Uśmiechał się przyjaźnie, a w ciemnych oczach wyczytała zrozumie-nie i łagodne usposobienie. Jednak mimo to obawiała się go.

— Porucznik prowadzi rutynowe poszukiwania — powiedział pan Harper. — To śledztwo w sprawie zabójstwa.

Które ty popełniłeś, pomyślała Lucia.

## Rozdział ósmy

Kiedy pili herbatę, przyszedł listonosz z pocztą od Toma. Lucia wzię-ła list i trzymała w dłoni, nie otwierając. Pocieszała się myślą o Tomie, który wszystkie rzeczy traktował zdecydowanie, nie komplikując spraw. No dobrze, powiedziałby, ja się tym zajmę. Gdyby wiedział, jak bardzo źle sobie z tym wszystkim poradziła, nie byłby zły, nie potępił-by jej, nie okazałby zniecierpliwienia. Powiedziałby pewnie: To nie wyszło najlepiej, Lucio...

Była wdzięczna, że ten Levy nie zadawał jej żadnych pytań. Nie próbował nawet rozmawiać o Tedzie, ale pan Harper sam zaczął.

----- jj

— Czytałem o tej sprawie w gazecie — rzekł. — Nie wspomina-łem ci o tym, bo nie chciałem przestraszyć ciebie ani Bee. To blisko na-szego domu. I wygląda mi na jakieś gangsterskie porachunki.

— Nie rozmawiajmy o tym — powiedziała nagłe Lucia, głośniej, niż zamierzała.

— Oczywiście, moja droga. Oczywiście — wycofał się pośpie-sznie pan Harper.

Było dokładnie tak, jak mówiła Sibyl. Ojciec cieszył się, że ma to-warzystwo na herbacie. Jest samotny,

pomyślała Lucia. Tęskni za biu-rem i Idubem. Bardzo tęskni za Tomem. Często ze sobą rozmawiali. Teraz tata jest samotny i starzeje się...

Starzał się tak ładnie i porządnie. Srebrne włosy miał gładko przystrzyżone, a paznokcie przycięte, krawat uprasowany, a brązowo--żółty, kraciasty... Chce mi się płakać, pomyślała, zaskakując samą siebie.

Levy zapytał ją, czy czytała dość popularną obecnie książkę.

— Nie — odparła. — A pan czytał?

Tak, czytał i trochę jej o niej opowiedział. On nie jest... odpowie-dni. Nie wygląda na policjanta, pomyślała. A może nim nie jest? A może to ktoś, kogo nasłał Nagel?

Jej dom przeżywał inwazję. Nie był już bezpieczną przystanią dla jej bliskich. Gdybym tylko mogła jakoś ostrzec tatę, pomyślała, żeby mu nic nie powiedział... Ale może już coś powiedział, może w swojej niewinności wydał sam siebie?

Przyglądała się Levy'emu, próbując odgadnąć coś z jego twarzy. Bezskutecznie. Miał łagodne oblicze, trochę smutne, nic więcej. Jeśli był policjantem, dlaczego tu siedział i siedział bez końca? Żeby kogoś złapać.

Siedział i siedział, aż Bee przysłała do domu. Przeprowadziła ze sobą chłopaka. Lucii wydał się podejrzany, ciemnowłosy i ponury. Ra-miona miał zbyt szerokie, wyglądał na silnego i agresywnego.

— Mamo — powiedziała Bee — to jest Owen Lloyd.

Owen ujął jej wyciągniętą dłoń w uścisku, który sprawił, że skrzywiła się z bólu. Potem uścisnęli sobie dłonie z panem Harperem i po-rucznikiem Levym.

— Przyszedł pan tutaj w związku tym morderstwem na wyspie?

— zapytał Levy'ego. — Tym Darbym?

56

Luda zamarła ze strachu, kiedy zobaczyła, jak Bee pobladła. Jeśli Levy teraz na nią spojrzy... pomyślała.

— Och, to rutynowe czynności — odparł Levy. — Odwiedzamy wszystkich w okolicy, żeby sprawdzić, czy ktoś nie ma dla nas jakiejś informacji.

— Moja mama wiele wam o tym powie — ciągnął Owen. — Sa-

ma chciała iść na policję i wszystko opowiedzieć. Mówiła, że kiedy w środę rano wyjrzała przez okno, zobaczyła mężczyznę i kobietę stojących w motorówce, gdzieś między przystanią i wyspą. Mówiła, że walczyli ze sobą. Odwróciła się, żeby odnaleźć okulary, a kiedy je znalazła i znów wyjrzała, kobieta płynęła już na wyspę.

— Dlaczego pańska matka nie przysłała z tym do nas, panie

Lloyd?

— Odwiedliśmy ją z ojcem od tego zamiaru — powiedział Lloyd.

— Sądziliśmy, że się pomyliła i zdenerwowała bez powodu. Mama jest trochę nerwowa, wie pan.

— Rozumiem! — odparł Levy.

Dokończył drugą filiżankę herbaty i wstał.

— Dziękuję bardzo, pani Holley — rzekł. — Było mi bardzo miło.

— Niech pan jeszcze wstąpi do nas — powiedział stary pan Harper. — Chciałbym usłyszeć coś o tej sprawie, jeśli będzie pan mógł ujawnić informacje.

— Wstąpię, panie Harper! — orzekł poważnym tonem Levy.

Owen siedział i nie zamierzał sobie pójść. Lucia też siedziała, póki

ojciec nie wyszedł na swój codzienny spacer przed kolacją. Potem poszła do swego pokoju, nie mogąc się doczekać kojącej treści listu To-ma.

Był to jednak dziwny list, pełen dzikiej wesołkowatości. Dostała już dwa albo trzy takie i mocno ją zaniepokoiły. Tom nigdy zbyt wiele nie pije. To nie o to chodzi. Może to przez walkę jest taki podekscytowany?

Próbowała myśleć o tym, jak zachowuje się podczas bitwy jej pogodny, nonszalancki Tom. Przypominała sobie potyczki, o których mówiono w wiadomościach. Ogień, dym, nieznośny hałas, jęki, dudnienie, krzyki i odgłos uderzeń. Nie mogę... pomyślała. Nie potrafię. Jest za daleko...

Usiadła na skrzyni pod oknem w stanie dziwnego odrętwienia. Siedziała tak, póki David nie zapukał do drzwi.

— Szybko mówiła, że dostałaś list od taty — powiedział. — O czym pisze?

— Cóż, o niczym szczególnym, kochanie — odparła. — Oczywiście, nic konkretnego nie może napisać.

— Owen był w strefie Pacyfiku — rzekł David.

Spojrzał na Lucie, marszcząc lekko brwi.

— Cóż, jeśli się to szybko nie skończy—zaczął — to niedługo będzie moja kolej...

Nigdy jeszcze o tym nie wspominał. Teraz wyglądało to na pytanie. Miała wrażenie, że pytają, jak tam jest. Cóż ja mogę sądzić o ży-ciu, wojnie i śmierci?

Był taki młody, taki drobny. Nie! — krzyknęła w głębi serca. Nie!

Do kogo właściwie to mówiła? Nie miała dość władzy, by obronić swoich bliskich, swoje własne dzieci. Ściany jej domu się waliły. Nie było dokąd uciekać.

— Masz czystą koszulę na kolację, mój drogi? — zapytała. — Daj mi tę, kiedy ją zdejmiesz. Ten kołnierzyk... — Dotknęła kołnierzyka na młodej, chudej szyi. — Jest trochę postrzępiony...

— Och, dobrze — powiedział westchnąwszy i odszedł zawiedziony.

## Rozdział dziewiąty

Lucia usiadła na łóżku i przeczytała raz jeszcze list, który napisała wczoraj do Toma.

„Drogi Tomie,

Bee wyjeżdża na tydzień lub dwa na obóz do Gracie. Sądzę, że to jej dobrze zrobi. Tu naprawdę jest dość nudno.”



— Nudno... — powtórzyła na głos, ale zostawiła to słowo.

„Pytasz o samochód. Prawie go nie używamy z powodu braku opon i benzyny, więc kiedy przyjedziesz, będzie w dobrym stanie. Przekazałam Sibyl pozdrowienia od ciebie. Kazała ci napisać, że

58

modli się o ciebie codziennie. Naprawdę, Tom. Nie wiem, co bym zrobiła bez Sibyl.”

Oparła plecy na poduszce, myśląc o Sibyl i o tym, co ona wie. Był

jasny poranek, ale nawet nie przyszło jej do głowy, żeby wyjść na spa-

cer. Musiała zostać, siedzieć tutaj w domu, żeby już nic się nie stało.

Powstrzymam wszystko, wmawiała sobie. Nie wiem jeszcze, co zro-

bię, ale kiedy przyjdą... x

Nagel, Donnelly i Levy... Pięć tysięcy dolarów... Moja biżuteria! — skojarzyła nagle. Miała pierścionek zaręczynowy z brylantem, inny ze szmaragdem, który ojciec dał jej na dwudzieste pierwsze urodziny, sznur pereł, jakie dostała po matce, bransoletę z brylantami po babce. Wszystko to spoczywało w skrytce bankowej w Nowym Jorku. Mogła-bym pożyczyć pod ich zastaw, pomyślała. A jeśli dojdzie do najgorsze-go, mogłabym je sprzedać.

Żeby zapłacić szantażyście? Tak, postanowiła. Może to strasznie głupie, ale właśnie to zrobię. To ich uciszy na jakiś czas. Zagram na zwłokę.

A czas jest jej sprzymierzeńcem. Uczepiła się tej myśli. Żyła nią te-raz. Każdy dzień przybliżał koniec wojny. Każdy dzień, w którym nie przyszedł telegram dotyczący Toma, był dniem zyskanym. Żyła jakby na wdechu. Byle tylko przeżyć ten dzień.

Wzięła książkę, z uporem i determinacją czytała ją w łóżku. Była to powieść detektywistyczna, którą wypożyczyła w bibliotece dla ojca. Sama nie lubiła tego typu książek. „Nikt nigdy nie współczuł w nich zamordowanemu” — mawiała. „One tylko ukazują problem, moja dro-ga” — odpowiadał ojciec.

Co więcej, ofiary zwykle ukazane są jako osoby, po których nikt nie płacze i nikt za nimi nie tęskni, myślała. Mnie jest ich szkoda. Nie cierpię, kiedy są znajdowane z nożami wystającymi z ciała lub oczy-ma wytrzeszczonymi pod wpływem trucizny.

Mimo to nie czuła wiele żalu z powodu Teda Darby'ego! Napraw-dę to zrobiłam, pomyślała zdziwiona. Ukryłam ciało. Tak czy siak, za-brałam je, a kiedy wróciłam, nikt nawet nie zauważył, że coś ze mną jest nie tak. Nikt niczego nie podejrzewał. Może w ogóle nie mam zbyt wiele uczuć. Może jestem po prostu twarda.

Powinam taka być, pomyślała i wstała, żeby się ubrać.

co

Śniadanie tego ranka było wyjątkowe. Cała jej rodzina, ku zasko-czeniu Lucii, była wesoła i bardzo rozmowna. Lucia była zdziwiona, ale nie zadowolona. Martwiło ją to. Byli zbyt niewinni. Dziś rano wy-dawali się ofiarami, żałośnie nie zdającymi sobie sprawy z nadciągają-ącego zła.

Ona widziała to zło teraz wyraźniej niż kiedykolwiek. Ojciec sto-jący pod murem.

„Moja droga — mawiał całe życie. — Nie lubię, kiedy się mnie po-pędza.”

Ale kiedy go oskarżą, będą go popędzać. Będą mu rzucać pytanie za pytaniem. Wyobraziła sobie, jak siedzi odrobinę zmieszany, obu-rzony. Jak ogarnia go wstyd na wieść o romansie Bee. Jego i Davida. Tom postąpiłby inaczej. Jemu byłoby żal Bee.

— Matka Owena chce cię odwiedzić — powiedział David.

— Owena? Owena? — zastanawiał się pan Harper. — O tak!

Tego miłego chłopaka.

— Ma dwadzieścia trzy lata — objaśnił David. — Przez dwa lata był w wojsku.

— Jego mama to straszna głuptaska — dodała Bee. —Ale jest na-wet miła. To miła rodzina.

— Tarzają się w pieniądzech — stwierdził z zadowoleniem Da-vid. — Naprawdę się tarzają. To ja ich pierwszy poznałem.

— Jesteś cudowny! — powiedziała Bee wesoło, ale z przekąsem.

— Mam talent do zawierania przyjaźni — odparł David. — Ma-mo, Lloydowie zaprosili mnie dziś na obiad. Zgadzasz się?

— Doskonale, kochanie — powiedziała Lucia. — A masz czystą koszulę?

Poszła do kuchni, żeby porozmawiać z Sibyl.

— Jak ten od lodówki dziś nie przyjdzie — orzekła Sibyl — nie

wiem, jak będziemy przechowywać rzeczy po niedzieli.

Przez chwilę stały w ponurej ciszy.

— Powinnam wcześniej iść na rynek — dodała w końcu Sibyl. —

Zostawię wszystko i złapię autobus o dziewiątej.

— Ja się zajmę zakupami, Sibyl.

— Nie, psze pani — powiedziała Sibyl. — Lepiej, jak ja to zrobię.

Pojadę zaraz i wrócę na czas, żeby wyprasować ubrania panny Bee. —

60

Zastanowiła się przez chwilę. — Powinna mi pani dać dwadzieścia dolarów.

— I poślę po taksówkę — postanowiła Lucia. — Potem ją przytrzymaj. Zapłacę za postój.

Bee też chciała pojechać do wsi, więc wsiadły z Sibyl do taksówki. David już poszedł, a stary pan Harper był na spacerze. Lucia założyła fartuch i zaczęła myć naczynia po śniadaniu, kiedy zadzwonił telefon. Wytarła dłonie i podniosła słuchawkę.

— Poproszę z panią Holley — usłyszała stłumiony głos.

— To ja — powiedziała Lucia.

— Mówi Donnelly. Chciałbym się z panią zobaczyć na chwilę jeszcze dziś rano. O której mogę przyjść?

— Och...! — krzyknęła. — Obawiam się... Nie powinien pan tu przychodzić.

— Więc musimy się spotkać gdzieś indziej.

— Nie wiem... Nie rozumiem...

— Może na stacji. Właśnie tam jestem.

— Nie mogę. Nie mogę się wyrwać.

— Przykro mi, że panią kłopotczę, ale... — powiedział.

- Nie może mi pan powiedzieć, o co chodzi, przez telefon?
- Niedobrze jest za dużo mówić przez telefon — odparł.
- Nie sądzę, żebym mogła się z panem spotkać gdziekolwiek.
- To ważne — ciągnął. — Inaczej bym do pani nie dzwonił.

Gdzie mogłaby pani ze mną chwilę porozmawiać?

— Proszę poczekać — powiedziała. — Niech pomyślę... Jest tu hangar na łodzie, z chatką. Jeśli pan wjedzie drogą od nabrzeża, a potem skręci w wąską dróżkę, może się pan tam dostać tak, by nikt pana nie zauważył.

— O której mam tam być?

— Och... Trudno mi powiedzieć... To znaczy, muszę się jakoś wy-  
mknąć.

— Pojadę tam od razu i poczekam.

— Niech pan poczeka tam na górze. Postaram się zaraz tam przyjść, ale może mnie coś zatrzymać.

— Niech się pani nie martwi — odparł. — Poczekam.

Odłożyła słuchawkę i stała zdenerwowana obok telefonu, nie wiedząc, co robić. Tyle rzeczy do zrobienia... pomyślała. A jacyś idioci

61

mówią, że jeśli się wyjdzie za męża, jest się panią samej siebie i ma się więcej wolności niż kobiety, które pracują.

Jeśli Bee wróci i znajdzie naczynia w zlewie... Nawet mało podejrzliwy tata pomyśli, że to dziwne... Jaki podam wszystkim powód nagłego wyjścia z domu?

— Och, nie wiem! — krzyknęła na głos ze złością. — To nie ich sprawa.

Postanowiła dokończyć mycie naczyń i zostawić je na suszarce. Potem, Idedy mnie ktoś o to zapyta, powiem, że chciałam być przez chwilę sama. Powiem, że chciałam pomyśleć. Dlaczego nie. Inni ludzie tak mogą...

Pobiegła na górę przypudrować twarz. Rozzłościła się jeszcze bardziej, Idedy zobaczyła, jaka jest czerwona i rozczochrana. Była wściekła na nich, na ojca, na dzieci, na Sibyl. Nie powinno ich obchodzić, że mam ochotę na chwilę wyjść z domu. Nawet jeśli łóżka nie są pościelone... Muszę pościelić łóżko taty. On jest taki porządny. Nie spodobałoby mu się, gdyby wrócił do pokoju z rozrzebanym łóżkiem.

Bee powinna sama ścielić łóżko. Och, Bee, moja kochana...! Na-geł, ten Donnelly i pewnie inni ludzie, straszni ludzie, czytali twoje niemądre listy. Teraz próbują za ich pomocą wyciągnąć pieniądze...

Dzisiaj po południu Bee wyjedzie, może na kilka tygodni. Może nie uda się tego wszystkiego przed nią ukryć. Muszę postać jej łóżko, pomyślała Lucia. Inaczej pomyśli, że jej nie Kocham.

Nie mogła przerwać sprzątanego. Pościeliła również łóżko Davida, podniosła porzucane ubrania i posprzątała łazienkę. David zostawił brudną wannę. Lucia wzięła proszek do czyszczenia i szmatkę. Nie, powiedziała sobie w duchu. Muszę zobaczyć się z panem Donnellym i dowiedzieć się, o co chodzi. To niemądre.

Ale musiała też umyć wannę. Zbiegła potem po schodach i o mało się nie rozplakała, bo tak bardzo chciała opróżnić popielniczki i posprzątać salon. Pobiegła przez trawnik do chatki za hangarem. Była spocona, wściekła i nieszczęśliwa.

Przeszła przez salonik na parterze i weszła po schodach na podest, gdzie stał Donnelly i czekał na nią.

— Przepraszam, że kazałam panu czekać — rzuciła pośpiesznie.

— Miałam pełne ręce roboty.

62

— Niepotrzebnie się pani śpieszyła — odparł. — Ledwie pani łapie oddech. Mogłem chwilę poczekać.

— Cóż... Wejdźmy do środka — powiedziała i wprowadziła go do jednej z dwóch sypialni. W sporym pokoju, do którego przez brudne okna wpadało niewiele światła, stały przy ścianach dwie zapadnięte kanapy, a wszystko przykrywała gruba warstwa kurzu.

Lucia usiadła w bujanym fotelu, przykrytym postrzępioną i spłowiałą narzutką, a Donnelly stanął naprzeciwko.

— Dlaczego damy nie noszą już przy sobie wachlarzy? — zastanawiał się.

— Cóż, ja nigdy nie nosiłam — odparła Lucia.

— Nie, jest pani za młoda. Pamiętam, dawno temu, kiedy byłem w Nowym Orleanie, poznałem tam dziewczynę, była Francuzką i miała ciemne włosy, jak pani. Miała mały, chyba fioletowy wachlarzyk.

Nie znam nazw tych różnych kolorów.

Dał jej czas, żeby ochłonęła, a ona grzecznie odpowiedziała:

— Jest wrzosowy, lawendowy i śliwkowy.

— Piękne nazwy.

Nastąpiła cisza. Lucia bujała się w fotelu, a deski podłogi skrzypiały pod nią. Donnelly stał naprzeciw niej, z rękoma po bokach, odwróconą głową, nieskazitelnie elegancki w tym ciemnym garniturze i pięknym, oliwkowym krawacie.

— Przykro mi, że to się w ogóle zaczęło — powiedział. — Gdyby to tylko ode mnie zależało, oddałbym pani listy i już by pani o mnie nie słyszała.

— Cóż... — westchnęła.

— Mówiłem Nagelowi, że da nam pani pieniądze w poniedziałek, ale mu się to nie spodobało. Mogłem jedynie powstrzymać go, żeby tu dziś nie przychodził.

— Nic by mu to nie dało. Tylko by pogorszyło sprawę.

— Tego właśnie chce. On będzie za panią chodził, póki nie będzie pani na tyle zdesperowana, by dać mu te pieniądze.

— Ale, oczywiście, pan taki nie jest! — krzyknęła.

— Nie.

Rosta w niej wielka złość na Donnelly'ego. To oszust, pomyślała. Na dodatek bardzo sprytny. Osacza mnie w ten sposób. Próbuje mnie

zmylić. On... och, nie wiem, co on próbuje zrobić, ale to na pewno coś straszego.

— Więc tylko pana Nagela należy za to wszystko winić? — zapytała z bladym uśmiechem.

— Cóż, nie... — przyznał Donnelly. — Nie, tego nie mogę powiedzieć. Kiedy po raz pierwszy o tym wspomniał, nie sprzeciwiłem się.

— Ale teraz pan zmienił zdanie. Zastanowił się pan nad tym.

— Teraz, naprawdę, wolałbym to wszystko odwołać — rzekł. — Ale nie mogę. Nagel to człowiek, którego trudno powstrzymać. Niedługo dostaniemy pieniądze z innego interesu, ale teraz mamy się obaj dość kiepsko, a on się denerwuje. Lubi mieć przy sobie trochę gotówki, w razie gdyby coś poszło nie tak.

— A pan nie? Pan nie chce tych pieniędzy z szantażu?

— Nie chcę — odparł — ale nie jestem w stanie powstrzymać Nagela dłużej niż do poniedziałku. Jest pani pewna, że do tego czasu zdobędzie pani pieniądze?

— Tak — orzekła niedbale, nie przejmując się niczym.

Bee dziś po południu wyjedzie i będę miała całą niedzielę na to, żeby wszystko przemyśleć, przygotować jakiś plan.

— Mam tu po nie przyjechać? — dociekał. — Czy może woli pani, żebyśmy się spotkali w Nowym Jorku?

— Tak, spotkajmy się w Nowym Jorku — odparła.

— Kiedy by pani odpowiadało?

— Przed Sternem na Czterdziestej Drugiej ulicy w południe — powiedziała i wstała.

— Jeszcze tylko jedno... — przypomniał sobie. — Musi pani

przynieść tylko cztery i pół tysiąca.

— Och, jak to miło ze strony pana Nagela! — krzyknęła. — Jak to miło i uprzejmie z jego strony, że obniżył cenę o pięćset dolarów!

— Dałem mu pięćset — objaśnił Donnelly. — Powiedziałem, że to pani przysłała. Nie chciałem, żeby panią nachodził w domu.

Spojrzała na jego twarz, wciąż taką samą, przystojną, z ładnymi rysami, ale niewyraźną, jakby ją coś przestaniało.

— Nie wierzę panu — rzekła. — W ogóle panu nie wierzę.

Nic nie powiedział, a ona przeszła obok niego, wyszła z pokoju i ruszyła w dół po schodach. Kłamca! — pomyślała. Kłamca! Nienawidzę go!

64

Jeszcze nigdy nie czuła takiego zawirowania w sercu, takiej zło-ści. To on tu przyniósł listy. To jemu mam zapłacić za nie, a on twierdzi, że zrobił to dla mnie. Kłamca. Szantażysta. Godny pożałowania przestępca. Nienawidzę go tak...

Weszła z powrotem do domu, myśląc jedynie o rosnącej wściekło-ści. Pójdę na policję, pomyślała. Wymyślę coś, żeby tata nie był w to wplątany. Policja postara się, żeby nikt nie dowiedział się o listach Bee. Aresztują tych ludzi. Tego mężczyznę!

Otworzyła drzwi, a z salonu wyszła Bee. Na widok dziecka przez głowę Lucii jak fala przyptęwu przelały się inne problemy. Trzeba przygotować i spakować jej rzeczy. Czuła znajomą potrzebę wykonania czynności, które musiały być zrobione.

— Och, wróciłaś, moja droga? — powiedziała. — Kupiłaś to, co chciałaś?

— Nie — odparła Bee. — Ale to nie ma znaczenia. Nie jadę na obóz, mam. Wysłałam telegram ciotce Gracie.

— Bee! Dlaczego?

Bee stała naprzeciwko niej, szczupła, śliczna i z poważną miną, cała w bieli.

— Martwię się i denerwuję z twojego powodu — powiedziała. — Jestem oburzona.



- O czym ty mówisz? — zdziwiła się Lucia.
- O tym mężczyźnie — odparła Bee. — O tym, co robisz z tym mężczyzną...

#### Rozdział dziesiąty

Od czasu do czasu, niezbyt często, dzieci denerwowały Lucie i bywała rozdrażniona. Tym razem czuła złość.

- Nie mów tak — ucięła.
- Jak ci się zdaje, jak ja się czuję? Jak my się czujemy, ja i David?
- David nie zachowywałby się tak napastliwie i niemądrze.
- On czuje to samo, co ja. Kiedy się dowiedzieliśmy, że wymknęłaś się z domu, żeby się spotkać z tym osobnikiem...

- Nie wymknęłam się!

65

- Owszem! Kiedy tylko wyszliśmy...
- Miałam coś do omówienia z panem Donnellym i będę go widywała, kiedy uznam to za słuszne.
- Co miałaś z nim do omówienia?
- Na pewno nie muszę się przed tobą tłumaczyć — powiedziała Lucia. — Nie będę tego słuchała. Pojedziesz na obóz, jak było zaplanowane...
- Nie pojedę, chyba że przyrzekniesz, że więcej się z tym człowiekiem nie spotkasz. Nigdy.
- Jak śmiesz tak mówić? — krzyknęła Lucia. — Jakbyś nie wierzyła w uczciwość własnej matki.
- Spotkałam Davida w wiosce — ciągnęła Bee chłodnym, spo-

kojnym głosem. — Podrzucił nas ten chłopak, Halford. Nie było cię w domu, więc David pomyślał, że wzięłaś łódź. Poszliśmy sprawdzić. Zdawało nam się, że słyszeliśmy głosy w hangarze i otworzyliśmy drzwi...

— Staliście tam i słuchaliście?

— Nie. Od razu wyszliśmy. Byliśmy oburzeni.

— Więc jesteście oboje niemądrzy... i napastliwi. Nie chcę już sły-  
szyć ani słowa na ten temat.

— David i ja sądzimy, że naszym obowiązkiem wobec taty...

— Zamknij się! — wrzasnęła Lucia i przeszła obok Bee do domu,  
a potem na górę do swego pokoju.

Nie powinnam była tego mówić, pomyślała. To było straszne i wulgarne. Ale nic mnie to nie obchodzi. Moje własne dzieci zwraca-ją się przeciwko mnie. Nie wierzę, że Davidowi przyszło coś takiego do głowy. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

Ale nie ruszyła się.

Nie mogę rozmawiać z Davidem o takich sprawach, pomyślała. O tym, że widuję obcego mężczyznę. To niemożliwe. Ale David nie mógł pomyśleć, że zachowuję się karygodnie. I co z tego, że wyszłam na chwilę do hangaru, żeby się spotkać z panem Donnellym i omówić z nim pewną kwestię...?

Przypomniała sobie, co miała do omówienia z panem Donnellym. Och, nie, nakazała sobie w myśli. Niech dzieci się oburzają, niech bę-dą rozgoryczone i wściełde. Niech sobie robią, co chcą. Wszystko jest lepsze od prawdy. David nigdy by się nie pozbierał, pomyślała, gdyby

66

wiedział, że jego siostra pisała takie listy do Teda Darby'ego. Bee też nie mogłaby z tym żyć, gdyby wiedziała, że ten Darby nigdy nic do niej nie czuł. Nie pogodziłaby się z tym, że chciał na niej tylko zarobić.

Powiedziałam, że dostarczę pieniądze na poniedziałek, pomyśla-ła. Ten Donnelly mówił, że jeśli mi się nie uda, nie utrzyma Nagela z dała od mego domu. Nie mogę pozwolić, żeby tu przyszedł.

Muszę więc zdobyć pieniądze. Cztery tysiące pięćset dolarów. Mam teraz około ośmiuset na koncie. W

przyszłym miesiącu przyjdzie żołąd i czek od pana Fullera, ale muszę opłacić czynsz i jedzenie, i pewnie jeszcze inne rzeczy. Ta moja biżuteria? Nie wiem, ile jest warta. Może tysiąc, może nie.

A ci ludzie, którzy udzielają pożyczek... To będzie to. Przypomniała sobie, że widziała ogłoszenie w gazecie i słyszała nawet w radiu. Mówili, że gwarantują dyskrecję. Wystarczy tylko jeden podpis.

Wiem, że niemądrze i nieodpowiedzialnie postępuję, płacąc szan-tażyście, ale tak właśnie zrobię. Potrzebuję czasu, żeby wywieźć Bee i na inne sprawy. Nie wiem, jakie. Tylko że jeśli uda mi się utrzymać tego Nagela z daleka od domu na jakiś czas, jest szansa, że coś się wydarzy. Może będzie musiał uciekać. Ten Donnelly tak mówił.

Ogarnęła ją gorączka. Zapomniała już, jak rozłościła ją Bee. Nie mogła się doczekać poniedziałku, żeby zdobyć pieniądze, zapłacić Nagelowi i mieć spokój. Na jakiś czas.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zawołała nadzwyczaj szorstko.

— To ja — usłyszała głos Davida.

— Czy to coś ważnego, Davidzie? — zapytała. — Boli mnie głowa.

— To ważne — powiedział, a ona otworzyła drzwi.

— Jeśli masz zamiar zanudzać mnie, Davidzie... — zaczęła.

— Nie — przerwał jej. — Sądzę, że robisz błąd, zadając się z tym człowiekiem, ale powiedziałem Bee, że jestem przekonany, iż nie ma w tym nic złego, że to tylko kaprys.

Niezwykły spokój Davida był równie gorzki i poniżający, co buntownicze oburzenie Bee.

— Nie pozwolę, by piętnastoletni chłopiec tak się do mnie zwracał — rzekła. — Wiem, co robię...

57

— Dobrze! Dobrze! — uspokajał ją. — Przyszedłem ci tylko powiedzieć, że pani Lloyd jest na dole.

— Kim jest ta pani Lloyd?

— To matka Owena. Ma jeszcze jednego syna w moim wieku i córkę. To mili ludzie. Mają dwa samochody i szofera. Mają też prawdziwy jacht.

— Czego ona chce?

— Chyba po prostu przyszła cię odwiedzić — odrzekł David.

— Nie mogę jej teraz przyjąć. Jest jeszcze wcześnie... i nie jestem ubrana.

— Wyglądasz dobrze — powiedział David. — Zresztą ona o to nie dba.

— Nie, nie mogę — odparła Lucia. — Powiedz... powiedz, że do niej wpadnę.

— Mamo, ona już tu jest! — podkreślił David. — Nie mogę jej powiedzieć, że nie zejdiesz na dół.

Teraz David był oburzony. Zresztą, nie mogła się mu dziwić. Zachowuję się bardzo dziwnie, pomyślała Lucia. W jednej chwili się pozbierała.

— Z przyjemnością zobaczę się z tą twoją panią Lłoyd, kochanie

— orzekła. — Za chwilę zejdem.

Pani Lłoyd była szczupłą kobietą z niedbale pomalowanymi różem zapadłymi policzkami, spiętymi bezładnie w gruby kok na karku jasnymi włosami. Miała na sobie białą, za dużą bluzkę, której rękawy zakrywały dłonie, bufiastą, szarą spódnicę i szmaragdowe czółenka. Ale miała miły głos i ujmujący, trójkątny uśmiech. Przypomina kota, pomyślała Lucia. A właściwie kotkę, po której przewalają się małe kociecieta.

— To strasznie nieodpowiednia pora na wizytę — tłumaczyła się

— ale Owen i Nick nie dawali mi spokoju. Chciałam nawet zadzwonić... ale jak zwykle nie mogłam się zebrać. — Zamilkła. — Naprawdę nie wiem, co właściwie robię cały dzień — powiedziała, jakby się zastanawiała.

— Dni tak szybko mijają — odparła Lucia.

— Nieprawdaż? — potwierdziła pani Lloyd. — Może by pani zjadła ze mną któregoś dnia obiad w Idubie jachtowym? Tam jest dość przyjemnie. Można siedzieć na dworze, jeśli nie pada, oczywiście.

68

Przynoszą wtedy także małe tacki z rybami. Znaczą, namalowanymi rybami. Maluje je przemiła dziewczyna. Utrzymuje matkę i ciotkę, które mieszkają w maleńkiej chatce. Maluje naprawdę wszystko. Można u niej coś zamówić albo przychodzi do domu. Nie miałam nic do zamówienia, więc zaprosiłam ją do domu i na werandzie namalowała nam śliczne małe rybki na stołach i na ścianach. Uwielbia też malować kwiaty, jeśli ktoś chce. I namalowała wielki, koński łeb dla pani Wynn. Według mnie, jest za duży, by wisiał nad kominkiem. Czy pani maluje, pani Holley?

— Ależ nie — odparła Lucia uspokojona i zadowolona z miłej wizyty.

— Ja też nie, ale chciałabym. Albo może grać na pianinie, albo coś takiego. Kiedy dzieci były małe, chodziły do szkoły przyrodniczej i grały w małej orkiestrze. Wszystkie dzieci tam grały. Byłoby miło, gdyby ciągle jeszcze grały w orkiestrze, tak przez całe życie, nie uważa pani? To jak, mogłaby pani przyjść na obiad do klubu?

— Z chęcią — odparła Lucia.

— Może jutro? Może zjadłybyśmy u nich niedzielny obiad? David mówił, że mieszka tu z panią jej ojciec. Jego również chętnie poznamy. .. a w klubie jest też bar. Pewnie by mu się spodobało, nie sądzi pani?

— Z pewnością — odparła Lucia.

— Więc może wstąpimy po panią jutro? Samochód pomieści nas wszystkich. O dwunastej będzie dobrze? Próbowałam się przyzwyczaić

czaić do długiego spania w niedzielne poranek, ale nie mogę. Zawsze jestem głodna. A poza tym uroczo jest krzątać się po domu, kiedy jeszcze wszyscy śpią. Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli zaproszę jeszcze tego miłego policjanta? Oczywiście, jeśli pani się zgodzi.

— Jakiego policjanta? — zapytała Lucia.

— Porucznika Leyy<sup>^</sup>go. Moim zdaniem jest bardzo uprzejmy.

Miło będzie mieć w towarzystwie jeszcze jednego mężczyznę. Cieszę się, że to straszne śledztwo zostało już zakończone, a pani? To znaczy, sprawa tego mężczyzny z wyspy Simma.

— Zakończone...? — zdziwiła się Lucia.

— Złapali mordercę. Cieszę się, bo moja Phyllis ma dopiero dwiętnaście lat i nie chciałabym, żeby w okolicy grasował morderca.

— A czy pani wie, kogo aresztowali?

69

— Wiem o tym dość sporo — odparła pani Lloyd. — Wczoraj porucznik Levy był u nas na drinku i nam opowiedział. To straszny człowiek, ten Murray. No wie pani, szara strefa. Był wrogiem tego biednego Darby'ego i przyjechali tutaj tym samym pociągiem. Wyobraża sobie pani, w taką ulewę! Nawet mnie to zaskoczyło, bo myślałam, że zabiła go kobieta.

— Och, naprawdę?

— Tak. Bo Nick pojechał na wyspę z drugim chłopcem. Chłopcy w pewnym wieku są okropni, nie sądzi pani? I Nick znalazł na bagnie listę.

— Listę?

— Tak, listę zakupów. Dość żalną, to znaczy tarty ser i takie tam. To musiała być porządna kobieta. Nie kupowała na czarnym rynku. Miała wypisane, ile się należy kartek za wszystko. Przyszło mi do głowy, że coś mogło ją sprowokować do tego...

— To bardzo ciekawe — powiedziała Lucia. — Chciałabym zobaczyć tę listę, jeśli mi pani pokaże.

— Ależ oddałam ją porucznikowi Ley/emu. To przecież był ważny ślad, nie sądzi pani?

— No tak! — odparła Lucia.

To musiała być moja lista, pomyślała. Jakaś stara. Widocznie wypadła mi z kieszeni, kiedy wyjmowałam chustkę. Teraz mają porucznik Levy. Znajdzie sposób, żeby odnaleźć właściciela i dowie się, że to ja tam byłam.

Ale aresztowali kogoś... po tym, jak dostarczono im listę. Sądzą pewnie, że ta lista nie jest szczególnie ważna.

— Ten Murray, którego aresztowali... — zaczęła. — Czy to kryminalista?

— O Boże, tak! — powiedziała pani Lloyd. — Dopiero co wyszedł z więzienia. Sprzedawał narkotyki. Rozumie pani, ile tacy wyrządzą ją zła, prawda?

— Tak, to prawda — przyznała szczerze Lucia.

— Trochę mnie to zaskoczyło — ciągnęła pani Lloyd — bo byłam prawie pewna, że to te dwie kobiety miały coś z tym wspólnego.

— Jakie dwie kobiety?

— Och, nie mówiłam pani? Bo ja tego ranka, kiedy zabito Darby'ego, wstałam przeraźliwie wcześnie rano. Chyba o wpół do szóstej.

Wysłałam na mój mały balkonik. Zobaczyłam niewielką motorówkę, całkiem małą, jak ta, która należy do pani. Stały w niej dwie kobiety. Biły się.

Niemożliwe, pomyślała Lucia. Gdyby była tam inna motorówka, na pewno bym ją zauważyła, a na pewno bym usłyszała. Nikogo tam nie było. Mogłabym przysiąc.

Pani Lloyd wstała. — Nie mogę się doczekać naszego jutrzejszego obiadu — powiedziała. — Tak więc pani, pani ojciec i pani dwoje dzieci. Zaprosić tego policjanta?

— Och, tak, moim zdaniem jest bardzo miły — odparła Lucia.

David nie jadł obiadu w domu, więc Lucia siedziała zamyślona

przy stole w towarzystwie ojca i Bee. Zdawało jej się, że świat nie może jej ofiarować nic lepszego niż niedzielny obiad z panią Lloyd. Wyobrażała go sobie dokładnie. Wszyscy będą siedzieli w cieniu na trawniku, trzymając w dłoniach tace z namalowanymi rybkami w kolorach czerwieni i złota. Bee będzie miała na sobie niebieską sukienkę, zamyśliła się, niebo będzie bezchmurne, a spokojne morze przybierze jeszcze głębszy odcień błękitu. Tacie też się będzie podobało, pomyślała. A Bee... Tego właśnie potrzeba Bee. Będą Oweni i dziewiętnastoletnia córka pani Lloyd, a może przyjdą jeszcze inni ludzie. Może to początek szczęśliwego lata.

— Co sądzisz o pani Lloyd? — zapytała Bee chłodno i oficjalnie.

— Bardzo mi się podoba — powiedziała Lucia. — Bardzo. Dawniej nie spotkałam kogoś, kogo bym tak polubiła.

— Mnie się nie wydaje taka cudowna! — obruszyła się Bee, odrobinię zaskoczona, ale wciąż spokojna. — Oczywiście, jest bardzo poczciwa i tak dalej, ale jest strasznie niemądra i nieodpowiedzialna.

— Nieodpowiedzialna? — powtórzył pan Harper. — To dość mocne słowo, moja droga.

— Chciałam powiedzieć niepozbita — sprostowała Bee. — Na przykład, kiedy spotkałam ją we wsi, zapytała mnie, czy widziałam „Życie z ojcem”. Odparłam, że nie, a ona powiedziała, że widziała tydzień temu i opowiadała mi o tym. Ale to nie było wcale „Życie z ojcem”, tylko jakaś krótka, nudna sztuka, na której byłam z Sam-



mym przed przyjazdem tutaj.

— Cóż — westchnął pan Harper — zważywszy na to, jakie teraz robią sztuki, nie można biedaczki za to winić.

71 —

— Ależ dziadku! — oburzyła się Bee.

Zawsze spierała się z nim o takie rzeczy. Zaczęła bronić teatru współczesnego, a pan Harper gotów był już opowiadać i wychwalać sztuki, które widział w Londynie, kiedy był chłopcem. Lucia cierpliwie poczekała na chwilę ciszy.

— Pani Lloyd zaprosiła nas jutro na obiad do klubu jachtowego

— oznajmiła. — Zależy jej, żebyś ty też był, tato.

— Ja? — zapytał i zaśmiał się. Był zadowolony.

— Myślę, że będzie naprawdę miło — dodała Lucia.

— Oni wiedzą, jak się bawić, cała rodzina — powiedziała Bee. —

Są bardzo popularni. W ich domu ciągle coś się dzieje, ludzie wcho-  
dzą i wychodzą, telefon dzwoni.

— Ha... mnie by się to nie spodobało — orzekł pan Harper.

— A mnie tak. W naszym domu jest jak na cmentarzu.

To była uwaga skierowana do mnie, pomyślała Lucia. Dobrze, wiem, że nie jestem osobą popularną.

— Przyjadą po nas o dwunastej — powiedziała.

I stało się. Pozwoliła, by Murray został w więzieniu. Ale tylko przez weekend, postanowiła. Chcę, żeby Bee trochę się zżyła z Lloydami. Chcę, żeby ją dobrze poznali. Potem, kiedy usłyszą o niej coś... coś o Tedzie Darbym albo coś innego, będą wiedzieli... tylko ten obiad, a potem powiem porucznikowi Levy"emu.

Ten Murray już był w więzieniu. Kilka dni nie będzie dla niego aż takie straszne. Zresztą, i tak jest kryminalistą. Sprzedawanie narkotyków jest równie złe, co zamordowanie kogoś. Tak się przecież zabija ludzkie dusze.

Nie mogę mówić do siebie słowami z taniego filmu. Nie wiem nic o tym Murrayu, oprócz tego, co powiedziała o nim pani Lloyd. A może ona naprawdę jest... nieodpowiedzialna. Wiem tylko, że on jest

w więzieniu za coś, czego nie zrobił. Mogłabym go wyciągnąć, a pozwalam, by tam pozostał. To grzech, pomyślała.

Samochód wjechał na podjazd, a potem ktoś wszedł po schodach na ganek. To policja, uznała. Odkryli, kto napisał tę listę.

— Ja pójdę, Sibyl! — zawołała i odsunęła krzesło od stołu.

Niewielki wóz dostawczy stał przed domem, a na ganku opierał się o kolumnę jego kierowca, tęgi mężczyzna w koszulce trykotowej.

— Pani Holley? — zapytał.

72

— Tak.

— Paczka — powiedział i poszedł do samochodu. Powrócił z dużym, niezdarnie zapakowanym w brązowy papier tobołkiem.

— Ale skąd? — zapytała.

— Nie wiem — odparł. — Kazano mi to tylko dostarczyć pani Holley.

Wyciągnął paczkę przed siebie, a ona wzięła ją i potrząsnęła. Za-skoczył ją ciężar tobołka. Kierowca odwrócił się, wsiadł do samochodu i odjechał.

— Co to, mamó? — zapytała Bee, stojąc obok niej.

— To pewnie coś, co zamówiła Sibyl — odparła. — Wezmę to do kuchni. Idź, zjedz obiad.

Ale Bee podążyła za nią do kuchni. Zaczęła rozwiązywać sznurki, gdy tylko Lucia postawiła paczkę na stole.

— Czemu jesteś taka ciekawska? — krzyknęła Lucia. — Wracaj do stołu, Bee!

Sibyl bez słowa stała pod oknem.

— Dobry Boże! — krzyknęła Bee. — To szynka. To po prostu

wielka szynka!

— Dostawa od mojego kuzyna — powiedziała Sibyl. — Obiecał, że przyśle, kiedy tylko będzie mógł.

— Bez czerwonych kartek? — zapytała Bee.

— Przecież ja mam mnóstwo czerwonych kartek, panienko Bee

— odparła spokojnie Sibyl.

Bee poszła za matką na korytarz. — Mam nadzieję, że Sibyl nie jest zamieszana w jakieś interesy na czarnym rynku. Nie podoba mi się to.

— Wiesz dobrze, że Sibyl nie jest taka — odrzekła Lucia.

— Tak czy siak, dla mnie to dość podejrzane — ciągnęła Bee. —

Dostarczono wielką szynkę, a nikt nie prosi o czerwone kartki ani

o pieniądze.

Lucia usiadła z powrotem przy stole. Nie wiem, skąd przyjechała ta szynka, pomyślała, i nie będę się nad tym zastanawiała. Nigdy.

73

Rozdział jedenasty

„Drogi Tomie,

Poznaliśmy miłych ludzi o nazwisku Lloyd. Oczywiście, to David ich znalazł. Podobnie jak ty, szybko zawiera przyjaźnie. Pani Lloyd zaprosiła nas wszystkich na jutro na obiad w klubie jach-towym. Na pewno będzie miło. Pani Lloyd mówiła mi, że podają tam obiad na małych tackach pomalowanych w rybki przez dziewczynę...”

To głupie, pomyślała. Jak mogę pisać do Toma takie dyrdymały? On jest na wojnie. Ale nie wiem, o czym mam mu pisać. Gdyby wiedział, co zrobiłam... co teraz robię. Pozwalam, by niewinny człowiek siedział w więzieniu.

To grzech. To, co robiłam z ciałem Teda Darby'ego, jest wbrew prawu. Powiedziałabym nawet, że to było lekkomyślne. Ale teraz to już na pewno grzech. To jak dawanie fałszywego świadectwa prze-ciwko bliźniemu, zwłaszcza kiedy zna się prawdę. A jeśli pani Lloyd się myli i Murray nie jest kryminalistą ani sprzedawcą narkotyków? A co, jeśli to zupełnie niewinny człowiek?

Musiła skończyć ten list. Napisać cokolwiek. Męczyła ją niezna-na dotąd wizja. Wyobraziła sobie Toma stojącego na pokładzie statku, płynącego po wzburzonych wodach. Widziała jego twarz o prostych rysach wzniesioną ku rozgwieżdżonemu niebu. Czuła, że nie myślał o niej, ale nie była sobie w stanie wyobrazić, o czym myśli człowiek, który ma przed sobą i za sobą walkę i śmierć. Nigdy wcześniej nie czuła się tak zupełnie od niego oddalona.

To z powodu tego, co zrobiłam, pomyślała. Od tego się wszystko zaczęło.

Wzięła pióro i skończyła list płynnie, szybko i bezbłędnie. Było późno. Wykąpała się, położyła do łóżka i zgasiła światło. Nagle wyobraziła sobie Murraya. Szarpał kraty swojej celi i krzyczał. Na Boga, jestem niewinny! Jestem niewinny! Miał ogoloną głowę, a na sobie bezkształtny, szary strój więzienny. Krzyczał, że jest niewinny, ale nikt mu nie wierzył.

74

A jeśli się zabije? Usiadła w łóżku, zastanawiając się. Czuła niepokój. Więzień powiesił się wczoraj w celi. Więzień podciął sobie żyły. Więzień zupełnie zwariował.

Muszę powiedzieć o tym porucznikowi Levy'emu, pomyślała. Ale najpierw muszę powiedzieć ojcu. Potem zadzwonimy do porucznika Levy'ego. Jeszcze dziś wypuszczą Murraya.

Ruszyła zaraz korytarzem w stronę pokoju ojca. Stanęła przed drzwiami, bosa, w piżamie, z czarnymi włosami rozpuszczonymi na ramiona. Usłyszała, jak zakaszał. Jak staruszek, jak osoba samotna. Leżał w nocy sam w łóżku, myśląc pewnie o żonie, która spała obok niego przez dwadzieścia lat. A może myślał o czasach, kiedy jego życie było pełne wigoru i ciekawe, a nie takie samotne?

To nie ma sensu, powiedziała do siebie w myślach. Nie o tej porze. To nie ma sensu.

Kiedy wróciła do łóżka, postanowiła, że zrobi to dopiero po ju-trzejszym obiedzie. No cóż, pomyślała. Zaryzykuję. Zaryzykuję, że Murray nie zrobi nic głupiego. Szafuję ludzkim życiem. To brzmi jak fragment filmu, ale to prawda.

W niedzielę po południu powiem porucznikowi Levy'emu. Nie, w poniedziałek rano. W poniedziałek rano pojedę do firmy pożyczko-wej. Jeśli nie dadzą mi wystarczającego kredytu, zastawię biżuterię. Muszę dostać te listy, zanim dobiegnie do nich policja. I tak będzie strasznie. Tata będzie taki zaskoczony i nieszczęśliwy. Ale Bee nie zostanie zhańbiona. Przykro mi z powodu Murraya. Przykro mi.

Wyobrazona postać Murraya dręczyła ją tak bardzo, że nie mogła zasnąć. Wstała i wzięła dwie aspiryny. Teraz wiem, jak ludzie zaczy-nają brać narkotyki, pomyślała. To nie ze smutku. Jakoś zniosłam wy-jazd Toma, a nawet śmierć mamy. To poczucie winy jest takie straszne, wstyd i niepokój też.

Obudziła się później niż zwykle. Ubrała się i zeszła na dół do kuchni.

— Obgotowuję szynkę — oznajmiła jej Sibyl. — Około dziesiątej

wstawię ją do piekarnika. Zostały jeszcze goździki w tym małym  
słoiczku i brązowy cukier. Może pani odlać trochę sherry?

— Tak, oczywiście — odparła Lucia.

Stała zaspana w drzwiach, opierając się o framugę. Chyba powin-nam się dowiedzieć... pomyślała.  
Tchórzostwem byłoby nie zapytać.

75

— Sibyl — zaczęła. — Czy to naprawdę twój kuzyn przysłał nam  
tę szynkę?

— Nie, psze pani — odparła Sibyl krótko.

Lucia pomyślała, że trzeba dowiedzieć się więcej.

— Masz może jakiś pomysł, kto nam to przysłał?

— Nie warto zaglądać darowanemu koniowi w zęby, psze pani —  
powiedziała tylko Sibyl.

— Chyba nie... — odparła i poszła do jadalni.

W niedzielę przynoszono im trzy gazety. Jedna była dla pana Har-pera, jedną zamawiał David z powodu  
komiksu, który czytał, a trzecia była dla wszystkich. Lucia pośpiesznie przejrzała trzecią i znalazła to,  
czego szukała.

„Policja hrabstwa Horton aresztowała Josepha Murraya vel „Mia-mi" w związku z morderstwem  
Theodore'a Darby'ego na wyspie Simma... Pięć lat temu w prasie ukazała się wzmianka na temat  
Darby'ego, który handlował sztuką pornograficzną... „Miami" Murray był dwukrotnie skazany za handel  
narkotykami..."

To zupełnie jak jeden z komiksów Davida, pomyślała. Tam jest ty-le przestępstw. Dlaczego ludzie tacy  
jak ojciec i Bee mają cierpieć, by oczyścić człowieka takiego jak Murray?

Już jako dziesięciolatka poznała odpowiedź na to pytanie: Dlate-go, że należy mówić prawdę. Nie należy  
jej ukrywać. Nie wolno po-zwolić na to, by niesprawiedliwie kogoś obwiniano. To było proste. Nie  
będziesz dawał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swe-mu.

Sprzedawca narkotyków nie jest moim bliźnim, pomyślała. Poza tym nie daję przeciw niemu świadectwa.

Nie mogła nic przelknąć. Wypiła dwie filiżanki kawy, które naląa sobie z maleńkiego czajniczka przyniesionego przez Sibyl, a potem wróciła do kuchni.

— Sibyl — powiedziała. — Napitabym się jeszcze kawy.

— Jeszcze nigdy nie wypiła pani trzech.

To prawda, pomyślała Lucia. Nigdy nie chciałam. Ale dzisiaj chcę być... miła. Chcę być wesóła i ożywiona. Chcę, żeby Lloydowie pomyśleli, że jesteśmy miłą rodziną.

76

Miła rodzina, zastanawiała się. Ojciec zabił Darby'ego, Bee napiła te listy, ja zabrałam ciało Teda na tę wyspę, a teraz zapłacę szan-tażycie. Jeśli ktoś się o tym dowie, będziemy... wyrzutkami społeczeństwa.

Nikt się nie dowie, postanowiła. Dziś już nie będę myślała o tym Murrayu. Podjęłam decyzję i tak pozostanie. Nie wolno mi już o tym myśleć.

Była dziwnie niezdecydowana co do tego, w co się ubrać na obiad. Zwykle takie problemy jej nie dotyczyły, tylko że teraz nie mogła się na nic zdecydować. Nie czuła się nawet jak pani Holley.

Chcę wyglądać ładnie, pomyślała, ale nie za bardzo oficjalnie. Myśląc o tym, wspominała fotkę z żurnala. Tak chciaaby wyglądać. Ubrała czarną bluzkę z niewielkim dekoltem i białą spódnicę. Spojrzała w lustro i poczuła zadowolenie. Wyglądała dobrodusznie, ale trochę w wojskowym stylu.

Pan Harper czekał na nią w salonie.

— Sądzę, że skoro ci ludzie mnie zaprosili, to chyba powinienem iść, ale jestem już za stary na obiadki na świeżym powietrzu. — Roześmiał się. — Wolę herbatkę bez mrówek.

Lucia też się zaśmiała. Och, kochany tato, pomyślała z bólem. Bardzo chcesz tam pójść. Jesteś dziś taki przystojny, porządnie ubrany i zadowolony z siebie.

— Jak sądzisz, dzieci już gotowe? — zapytała.

— Tak, tak. Są na werandzie. Czytają gazety—powiedział. — To będzie rodzinna wycieczka, co?

Jest z nas dumny, pomyślała Lucia i poczuła niewysłowione wzruszenie. Wszystko dziś było dla niej bolesne, a jednocześnie miała poczucie triumfu. To ona zaaranżowała dla nich ten dzień. Ona kupiła im trochę czasu za cenę, której nie potrafiła nawet obliczyć. Już nigdy nie będzie takiego dnia jak ten. Dla niej miało to wydzwięk wzruszającej rodzinnej scenki, która już nigdy się nie powtórzy.

Lloydowie czekali przed swoim domem skąpani w promieniach słońca. Pani Lloyd, z włosami rozwianymi wokół chudej twarzy, po-liczkami pomalowanymi różem, usiadła potem między dziećmi, ze słodkim uśmiechem kotki. Jej dzieci były dla niej bardzo miłe. Był Owen, ładna, żwawa córka i sprytny chłopiec, chyba czternastoletni, wszyscy ładni, uroczy i swobodni, spokojniejsi, grzeczniejsi i swobod-

77

niejsi niż Bee i David. Cóż, widocznie ich lepiej wychowała, pomyślała Lucia. Ale dla mnie David i Bee są wyjątkowi.

Obiad był uroczysty. Nakryto dla nich stół na płaskim trawniku przed domem, z widokiem na błękitną wodę. Szofer przyniósł im w termosie napoje.

— Bar otwierają dopiero o pierwszej — wyjaśniła pani Lloyd. —

Zresztą, kiedy się przygotowuje cocktail w domu, zwykle jest smaczniejszy, nieprawdaż?

— W tym przypadku — orzekł pan Harper — muszę się z panią zgodzić. Jest bardzo smaczny.

— Bardzo się cieszę! — powiedziała pani Lloyd. — Nie ma jeszcze chyba porucznika Levy'ego. Ale mówił, że nie wie, czy będzie mógł przyjść.

— Los policjantów nie należy do najszcześniejszych — stwierdził pan Harper i razem z panią Lloyd roześmiali się głośno.

Lucia mogła ich tak słuchać i obserwować godzinami. To najpiękniejszy dzień... mówiła do siebie w myślach. David z łagodną protekcjonalnością tłumaczył coś młodszemu synowi pani Lloyd. Bee i Phyllis rozgadały się. Rozmarzenie i radość Lucii przerwał Owen, który usiadł obok niej i zaczął mówić z wyraźnym przejęciem.

Mówił o sobie. Wyjaśniał, że wraca do Harvardu, na ostatni rok, a potem będzie na niego czekała praca w Nowym Jorku.

— To świetna praca — opowiadał. — Na początek tylko trzy tygodnie, ale możliwości są praktycznie nieograniczone.

— Och, to miło! — wtrąciła Lucia.

Chłopak mówił i mówił, zadziwiająco nudno jak na osobę w tym wieku. Opowiadał o przyjaźniach zawartych w wojsku, osiągnięciach i medalach zdobytych w zawodach żeglarskich. To straszny egocentryk, pomyślała Lucia. Potem przyszło jej do głowy, że on to jej opowiada z jaldegoś powodu. Chyba chciał jej przedstawić swoje zalety, bo zamierzał zalecać się do Bee. Och, nie, pomyślała Lucia w panice. Ona ma dopiero siedemnaście lat. Jest na to jeszcze za młoda. Nie! Nie wolno mu...

— Oto i porucznik! — obwieściła wtedy Phyllis Lloyd.

Posprzątano już ze stołu, więc wszyscy ruszyli na plażę. Stanowili bardzo zgraną grupę. Rozproszyli się szybko. Młodzież poszła w swoją stronę, pani Lloyd zajęła się rozmową z panem Harperem,

78

a Levy usiadł na piasku obok Lucii. Nie była zachwycona. Jego obecność sprawiła, że przypomniała sobie wszystko, o czym chciała zapomnieć. Chciała, by ten dzień był odpoczynkiem, słonecznym i pogodnym, a Levy przyczynił się do tego, że przypomniała sobie o uwięzionym Murrayu.

Mówił łagodnym, spokojnym tonem o mewach, bekasach i brodziecach.

— Ależ pan dużo wie o ptakach! — wtrąciła grzecznie.

— Zacząłem się nimi interesować, kiedy tu przyjechałem. Studiuję życie ptaków przybrzeżnych, fotografuję je i tak dalej.

To ciekawe zajęcie, pomyślała Lucia. Bardzo miłe jak na policjanta.

— A lubi pan pracę w policji? — zapytała.

— Nie zawsze — odparł. — Zacząłem jako prawnik, przyjęto mnie do palestry, ale bardziej ciekawiła mnie praca w policji.

— Mnie się to wydaje okropne — powiedziała. — To ściganie ludzi i doprowadzanie do ukarania ich.

— Zadaniem policji jest ochrona obywateli, pani Holley, a nie karanie. Nie mam nic wspólnego z karaniem przestępców. Ja tylko wymuszam przestrzeganie prawa. To wszystko.

— Nie przepadam za prawem — rzekła. — Według mnie jest często niemądre i niesprawiedliwe.



— Ale jest, pani Holley — odparł. — To jedyna rzecz, jaka utrzymuje w równowadze cywilizację. Nieważne, czy to przykazania religii, czy prawo cywilne, ważne, że są to zasady, na które wszyscy się zgodziliśmy, jakie wszyscy rozumiemy... w zamian...

— Nie rozumiem prawa — przerwała mu Lucia.

— To pani je tworzy — przekonywał Levy. — Jeśli istnieją jakieś przepisy, których pani nie popiera, ma pani prawo starać się je zmienić.

— Tak, wiem — rzekła, nie okazując wzburzenia.

— Zwłaszcza kobiety powinny cenić prawa naszego kraju — ciągnął. — To jedyna obrona, jaką pani i pani rodzina ma przeciwko agresywnym, złym ludziom.

— Och, tak, na pewno ma pan rację — powiedziała.

Nie podobało jej się, jak mówił o tym swoim ukochanym prawie. Przestała go słuchać. Odchyliła się do tyłu, podpierając się rękoma na

79

piasku. Odprężyla się. Daleko na plaży widziała swoje dzieci z młodymi Lloydami i innymi napotkanymi po drodze młodymi ludźmi. Słyszała głos ojca, mówiącego z zadowoleniem do pani Lloyd. To dobra znajomość. Cieszę się, że ich poznaliśmy. Największym pocieszeniem był dla niej ten cudowny, spokojny dzień, pełen przyjaciół i odrobiny luksusu. Nieważne, co ze mną będzie, pomyślała. Jestem pewna, że Lloydowie staną po stronie Bee, Davida i ojca.

Miała przekonanie, że coś jej się przydarzy. Nie ukształtowała się jeszcze w jej głowie myśl, co to będzie, ale czuła, że w ciągu kilku godzin będzie musiała wyjść z tego słonecznego świata w ciemność. Nie bała się. Była po prostu zrezygnowana i zmęczona.

Miło jest słuchać mamrotania porucznika Levy'ego, pomyślała. On mnie chyba lubi. Nie podejrzewa na pewno, że kiedykolwiek zła-małam jego ukochane prawo. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to on... mówi jak David, z tą różnicą, że jest dorosły. Może mój syn zostanie prawnikiem albo policjantem.

Potem zorientowała się, że porucznik milczy już od dłuższej chwili, a jak większość nieśmiały osób

bała się milczenia. Spojrzała na niego. Przesypywał piasek w dłoni. Miał ładne, wąskie dłonie. Pochylił głowę. Z jego twarzy biło skupienie, jakby nawet melancholia.

— Chciałabym kiedyś zobaczyć flaminga — powiedziała nagle.

— Na pewno są piękne.

— Tak — odparł, podnosząc głowę. — Widziałem je na Florydzie.

— Och, był pan na Florydzie?

— Pojechałem tam za pewnym człowiekiem — wyjaśnił. — Ale bardziej podobają mi się nasze ptaki. Brodźce... Często pani jeździ na wyspę Simma, pani Holley?

— Nie — odparła. — Tylko... raz.

Miała nadzieję, że nie zwrócił uwagi na to, że się zawahała.

— Popłynęłam tam na piknik — ciągnęła — ale nie podobało nam się za bardzo.

— Tam jest mnóstwo brodźców — wyjaśnił. — Znalazła tam pani ładne miejsce na piknik, pani Holley?

— Niewielką plażę.

— Bo prawie cała wyspa to bagna — zauważył Levy.

— Tak, to prawda — przyznała.

80

I

— Jednak jest tam sporo zatoczek. Nie byłoby trudno wpłynąć łodzią wprost na bagna.

Bała się na niego spojrzeć. To pułapka, pomyślała.

- Ale po co? — zapytała.
- Żeby oglądać ptaki — wyjaśnił.
- Ach tak. Oczywiście.

Chyba jednak o nic konkretnego mu nie chodzi, pomyślała. To zbyt miły człowiek, żeby tak zastawiać sidła, zwłaszcza na takim małym, prywatnym przyjęciu jak to. Przyszedł tu dla rozrywki i odprężenia, a nie jako policjant.

Ale był policjantem.

Poczęstował ją papierosem, podał ogień i sam zapalił.

- Moja gosposia mnie wykorzystuje — oznajmił ze smutkiem.
- Zmusza mnie, żebym robił za nią zakupy na targu.
- To niedobrze — odparła Lucia.
- Sądzi, że mnie wszyscy traktują lepiej — powiedział. — Mówi, że kiedy ja idę na targ, zawsze kupuję te rzeczy z listy, których jej nie udało się kupić.
- Cóż, to całkiem możliwe — potwierdziła Lucia. — Ktoś, kto pracuje w policji...
- Ona twierdzi, choć to wielka nieprawda, że sprzedawcy biorą ode mnie mniej kartek. To by było przecież nieuczciwe.
- Chyba tak.
- Na przykład, ile kartek powinienem dać za pół funta sera Royal Grenadier?
- Dwanaście czerwonych — odparła Lucia.
- To dobry ser?
- Och, tak! My najbardziej lubimy właśnie ten.

Odwrócił szybko głowę.

— Rozumiem! — rzekł.

Ale nie spojrział jej prosto w oczy. Zupełnie jakby mu wystarczyło to, co usłyszał.

Jednak chodziło mu o coś konkretnego. Coś, co powiedziała, sprawiło, że zastrzygł uszami.

81

Rozdział dwunasty

Muszę dziś jechać do Nowego Jorku — oznajmiła Lucia przy śniadaniu.

Nastąpiła cisza, a jej rodzina siedziała jak zaczarowana.

— Ależ mam! Nie powiedziałaś nawet słowa...! — zaprotestowała Bee.

— A powinnam, moja droga? — zapytała Lucia. — Po prostu muszę jechać w pewnej sprawie.

— Sprawie? — zainteresował się ojciec. — Sam powinienem pojechać tam pod koniec tygodnia, więc może ja to za ciebie załatwię, moja droga.

— Nie, tato, dziękuję. To drobiazg.

Znów nastąpiła cisza. Denerwowało ją to. Inni jeżdżą do Nowego Jorku i nikt im się nie dziwi, pomyślała. Założę się, że pani Lloyd jeździ tam, kiedy jej się spodoba. Wyobraziła ją sobie przy śniadaniu. „Dzieci”, powiedziałyby, „Wybieram się dziś do Nowego Jorku.” „Tak, mam”, odpartyby dzieci.

— Którym pociągiem wrócisz? — zapytał David.

— Jeszcze nie wiem. Chyba wczesnym popołudniem.

— Jeśli się teraz zdecydujesz, przyjadę po ciebie samochodem — powiedział.

— Davidzie, nie ma sensu marnować benzyny, kiedy mamy jej tak mało. Wezmę taksówkę.

- Jak sobie chcesz — odparł sztywno.
- Mamo — zaczęła wtedy Bee — chyba wybiorę się z tobą.
- Ale nie dzisiaj, moja droga.
- Chciałabym obejrzeć płaszcze, krótkie płaszczyki. Możesz załatwić tę swoją sprawę, cokolwiek to jest. Spotkamy się na obiedzie.
- Będę jadła obiad z panią Polk.
- Na litość boską! Po co chcesz się znów spotykać z tą starą harpią?

Lucia żałowała, że wybrała panią Polk, afektowaną, siwowłosą i bardzo kulturalną panią, dyrektorkę biblioteki w Nowym Jorku, której czasem pomagali.

- A mówiłaś, że wyjechała do Waszyngtonu — rzekła Bee.

82

Och, dajcie mi spokój, chciała powiedzieć. Przestańcie mi zadawać pytania, a ja nie będę musiała kłamać.

- Ale nie będę ci przeszkadzać, skoro to tylko pani Polk — dodała Bee.
- Powiedziała, że chce ze mną porozmawiać o czymś ważnym
- skłamała Lucia. — Niedługo pojedziemy razem, Bee.
- Ale o czym pani Polk mogłaby chcieć z tobą rozmawiać? — zapytała Bee. — Ledwie ją znasz.
- Wolalabym, żebyś przestała mnie nękać! — krzyknęła Lucia.
- Nie mam ani odrobiny wolności. Nie mogę zrobić prostej rzeczy bez ciągłego jęczenia...

Urwała, zdawszy sobie sprawę, że zaskoczyła ich wszystkich, ojca i dzieci. Moje zachowanie stało się nieznośne, pomyślała. Cóż, przykro mi, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Mógłbyś zadzwonić po taksówkę, Davidzie? — zwróciła się do

niego chłodno i dystygowanie.

Całą drogę na stację myślała tylko o tym, jaka jest wściekła. Dobry Boże! Nie mogę nawet pojechać do miasta bez tego niemądrego przedstawienia. Nie jestem dzieckiem ani idiotką. Nie jestem też nie-wolnicą. Mogę jechać do Nowego Jorku, kiedy uważam za słuszne, i nie zamierzam z tego powodu być przesłuchiwana przez własne dzieci. Powinny mi ufać. Tata też. Ufać bezgranicznie.

Jednak kiedy znalazła się w pociągu, z lekkim zdziwieniem przy-pomniała sobie, że musi zaplanować dzień, który ją czeka. Najpierw pójdę do banku, pomyślała, i zabiorę moją biżuterię ze skrytki. Potem pójdę do tej firmy pożyczkowej. Jeśli nie dostanę od nich dość pieniędzy, to zastawię biżuterię. Potem spotkam się z panem Donnellym i dam mu pieniądze. Potem zadzwonię do porucznika Ley/ego. Nie, najpierw muszę ostrzec ojca. Och, ale jak? Jak mam mu powiedzieć, że zabił Teda Darby'ego? Będą go przesłuchiwali. Może nie uwierzą w to, co im powie?

Zapytają: „Dlaczego poszedł pan do hangaru? Żeby spotkać się z denatem?” Będę mu musiała powiedzieć, żeby nie wspominał o Bee. Powiem, że widziałam tam światło i sądziłam, że to włóczęga. To dość wykrętne słowo, ale wszyscy go używają. Włóczęga ukradł kosiarkę. W okolicy kręcą się włóczędzy. Ciekawe, czy policja używa tego słowa

83

w protokołach? NN, skazany za włóczęgostwo. Ciekawe, czy istnieją kobiety włóczęgi...

Pomyśl o tym, co ważne, idiotko. Pamiętaj, jakie to istotne. Mogła-bym poprosić ojca, żeby nie wspominał o Bee, ale nigdy, przenigdy nie zmuszę go do skłamania. Po prostu będzie milczał. „Panie Harper, po co poszedł pan do hangaru? Zupełnie sam, w czasie ulewy?” „Odmawiam odpowiedzi na to pytanie.” „Więc będziemy tu pana trzymać, póki pan nie odpowie.”

A jeśli mnie też zamkną? Za to, że zabrałam ciało. Dzieci zostaną same. Wiem, że Sibyl się nimi zajmie, ale jak pomyślę o tej hańbie...

Och, to nie może być prawda! Takie rzeczy nie przydarzają się ta-kim ludziom jak my. Nie mogę powiedzieć wszystkiemu porucznikowi Ley/emu, ale nie mogę też pozwolić, by Murray został w więzieniu choćby jeszcze jedną noc. Zabrałam Teda i złamałam chyba jakieś pra-wo, ale fakt, że pozwalałam, by Murray siedział w więzieniu, kiedy znam prawdę, to prawdziwe zło. To grzech.

To przypominało gorączkę. Myśli pędziły tak szybko, że wpadały jedna na drugą w chaotycznej gonitwie. To nic nie da, powiedziała so-bie. Wszystko po kolei. Najpierw muszę zdobyć pieniądze, żebym mogła wykupić listy biednej Bee. To najważniejsza rzecz. Najpierw trzeba zrobić to, co najważniejsze. Nie mogę być taka rozdygotana.

Kiedy pociąg wjechał do tunelu, spojrzała na siebie w lustrze i zdziwiła się. Bardzo starannie się ubierała: czarny kostium, czarny kapelusz z woalką, biała bluzka, białe rękawiczki. Myślała, że wyglą-da

dystygowanie, jak kobieta interesu. Ale osoba, którą ujrzła w oknie, wyglądała idiotycznie. Biała twarz, sterczący jak falbanka klauna kołnierz bluzki, mały kapelusik zbyt wysoko osadzony. Głupia, powiedziała w duchu. Gdybym nie była taka głupia, nie znalazłabym się w takiej sytuacji.

Wzięła taksówkę do banku. Niestety, dalej czuła się niemądrze, jak klaun. Miała wrażenie, że mężczyzna, który z nią rozmawiał, naśmiewa się z niej i z jej prośby. Potem inny człowiek poszedł z nią dalej do dziwnego, mrocznego skarbcza. Strażnik z pistoletem w kaburze otworzył jej drzwi i czekał na zewnątrz, podczas gdy ona sama we-  
szła, by wy dostać swoją biżuterię. Była w szarej kopercie, na której widniało pismo Toma: „Biżuteria Lucii”.

84

Och, Tom! Och, Tom! Przygotowałeś wszystko tak dokładnie na wypadek, gdybyś nie wrócił, że bym nie miała kłopotów... Westchnęła głośno i nagle poczuła płynące po policzku łzy. Walczyła z nimi z wściekłością. Otarła oczy i wyszła.

Dystygowany starszy pan, który szedł z nią do skarbcza, dał jej do podpisania formularz.

— Dziękuję! — powiedziała i pośpiesznie wyszła.

Wzięła drugą taksówkę do biura Stowarzyszenia Kredytodawców Osób Prywatnych i tutaj nie miała już żadnych złudzeń, czy wygląda dystygowanie, jak kobieta interesu.

— Chce pani spłacić pożyczkę? — zapytał ospały, ciemnowłosy chłopak.

— Chcę wziąć pożyczkę — powiedziała. — Chodzi mi o kredyt.

— Jasne! — odparł i wyszedł, zostawiając ją w imponującym hallu z wysokim sufitem i meblami w stylu renesansowym. Po chwili podeszła młoda kobieta i zaprowadziła ją do stołu. Miała okrągłe, pokryte różem policzki i modnie zakręcone jasne włosy.

— Jaką sumę życzy sobie pani pożyczyć? — zapytała.

— Och... pięć tysięcy dolarów — odparła Lucia.

— To dość sporo pieniędzy — powiedziała jasnowłosa kobieta.

— Gdzie pani pracuje, pani...?

— Holley — odparła Lucia. — Nigdzie nie pracuję w obecnej

chwili.

- Jaki jest cel pożyczki, pani Holley?
- Cóż, potrzebuję pieniędzy — odrzekła Lucia.
- Na lekarza, rachunki, spłatę hipoteki?
- Wasze ogłoszenie mówi, że nie pytacie o szczegóły.
- Musimy się zabezpieczać, pani Holley. Zwłaszcza w przypadku takich dużych sum. Ma pani dochód tygodniowy, a może miesięczny?

- Tak.
- Skąd to dochód?
- Od mojego męża.
- Mogłaby pani podać nazwisko i zawód męża, pani Holley?
- Wolalabym nie — odparła Lucia. — Z waszej reklamy wynika, że wystarczy podpisać, a wy pożyczycie pieniądze. Dobrze więc, podpiszę weksel.

- Ile wynosi pani dochód, pani Holley?
- Hm, około pięciuset dolarów miesięcznie.
- Jak pani sądzi, ile będzie pani mogła zapłacić co miesiąc?
- Cóż... jakieś pięćdziesiąt dolarów.
- Czy zdaje sobie pani sprawę, jak długo będzie pani w takim tempie spłacała pięć tysięcy dolarów, pani Holley?
- Tak — powiedziała głośno Lucia.
- Obawiam się, że to nam nie odpowiada. Chyba że ma pani jakiś zastaw. Co pani posiada, pani Holley, może samochód?



— Mam samochód.

— Na pani nazwisko?

Tom to załatwił. Powiedział, że samochód jest na jej nazwisko, że-by, jeśli będzie potrzebowała go sprzedać albo zamienić, nie miała żadnych kłopotów. Żeby, jeśli on nie wróci...

— Jaka to marka samochodu, pani Holley? Ile ma lat?

Musiła to dalej ciągnąć, ale nie miała już nadziei.

— Więc może zrobi pani tak — rzekła w końcu kobieta z jasnymi włosami. — Podjedzie tu pani któregoś dnia samochodem, a my znajdziemy kogoś, kto go obejrzy. I proszę wtedy pytać o mnie, pannę Poser.

— W ogłoszeniu było napisane „bez zwłoki”.

— Ale my musimy się zabezpieczyć, pani Holley — powtórzyła panna Poser.

Przede mną? Jakbym była przestępcą?

— Jak pani sądzi, ile dostanę na samochód? — zapytała.

Panna Poser odparła, że to zależy od stanu samochodu i innych rzeczy.

— Ale ile najwięcej mogłabym dostać? — zapytała Lucia.

— Jeśli wszystko będzie odpowiednio przygotowane — odpowiedziała panna Poser — może około pięciuset dolarów.

— Pięćset? — oburzyła się Lucia.

Panna Poser wstała. — Proszę kiedyś podjechać samochodem — rzuciła dość uprzejmie.

To była odmowa. Po raz pierwszy w życiu Lucia była osobą, której chciano się pozbyć, dziwaczną, kłopotliwą, podejrzaną osobą. Przychodzi tutaj i próbuje wyciągnąć pięć tysięcy dolarów. Coś podobnego!

— A chciałaby pani obejrzyć biżuterię? — zapytała Lucia.

— Och, nie, dziękuję — odparła panna Poser.

Wyglądała na przestraszoną i spiętą.

— Nie pożyczamy pieniędzy pod zastaw rzeczy osobistych — do-  
dała.

— Rozumiem! — rzuciła Lucia. — No cóż, dziękuję!

Wyszła na Madison Avenue i szła do centrum w poszukiwaniu lombardu. Robi się późno, pomyślała. Pan Donnelly nie będzie czekał. Pójdzie sobie. Machnęła na taksówkę i wsiadła do niej.

— Wie pan, gdzie jest lombard? — zapytała kierowcę. — Jakiś  
porządny.

— Oczywiście — odparł mężczyzna.

Cieszyła się, że nie okazał zdziwienia, nawet zainteresowania. Je-mu to się pewnie nie wydaje dziwne, pomyślała. Pewnie widział wie-le kobiet z towarzystwa, nawet księżne, które zastawiały swoją biżu-terię. Tylko że tacie byłoby strasznie przykro. Opowiada ciągle te dowcipy o angielskich lombardach, o zastawianiu niedzielnego ubra-nia w poniedziałek, żeby je potem w sobotę odebrać. Nie spodobałoby mu się to, co robię.

Mnie samej się nie podoba, ale nic mnie to nie obchodzi. Gdyby tylko nie byli dla mnie nieuprzejmi. Nie wiedziałam, że jestem taka wrażliwa. To obrzydliwe, być takim wrażliwym. Sądziłam, że jestem twardsza. Ale nie jestem, nie w obcym miejscu. Gdyby mnie zaczepił tutaj jeden z tych reporterów i zapytał, co sądzę o Rosjanach czy coś podobnego, przedstawiłby mnie jako panią Lucie Holley, gospodynię domową.

Kim jest gospodyni domowa? Za kogo bym się podała, gdybyśmy mieszkali w hotelu? Nikt nie przedstawia się jako po prostu żona albo matka. Jeśli nie masz pracy albo nie zajmujesz się domem, najwyraż-niej jesteś nikim. Chciałabym być kimś innym. To znaczy, nie zajmo-wać się jedynie domem. Chciałabym być na przykład projektantką. Dzieci szanowałyby mnie bardziej, gdybym była projektantką. Może Tom też.

Nie! Tom lubi mnie taką, jaka jestem. Tylko chyba powinnam się trochę zmienić do jego powrotu. Nie chodzi o to, żebym wychodziła codziennie rano do pracy w biurze. To by mu się nie spodobało. Ale mogłabym od czasu do czasu wyjść do biura albo do sldepu i spotykać

innych ludzi. Miałabym wtedy coś ciekawego do opowiedzenia przy kolacji. Nie byłabym tylko sobą, rok po roku, taką samą....

— No i jesteśmy! — powiedział kierowca, zatrzymując się przed budynkiem przy Szóstej Alei.

— Mógłby pan poczekać? — poprosiła.

— Dobrze — odparł.

Bała się. To był dziwny, mały sklepik z metalową kratą na oknie wystawy, na której umieszczono wiele dziwacznych rzeczy, mandolinę, zegary, świeczniki, etolę, staromodną spinkę do krawata z perłą, w pudełku wyściełanym fioletowym pluszem. Wszystko kładą na wystawę? — pomyślała. Nie chciałabym, żeby moje rzeczy tu leżały, perły mamy i pierścionek, który dał mi Tom. Nie podoba mi się to! Niena-widzę tego wszystkiego! To gorsze niż przewiezienie Teda na wyspę.

Sklepik był słabo oświetlony i jakiś dziwny. Ciemnowłosa młody mężczyzna w zaręczawkach, z twarzą jak księżyc, stanął za kontuarzem. Pomyślała, że ma kpiący wyraz twarzy, więc przybrała pozę osoby chłodnej i powściągliwej.

— Chciałabym pożyczyć pieniądze pod zastaw biżuterii — powiedziała.

Nie odezwał się. Otworzyła torebkę i wyjęła długą kopertę. Podała mu małe pudełeczka, a on rozkładał ich zawartość na kontuarze.

— Ile pani chce? — zapytał.

— Tyle, ile się da — odparła.

Pierścionki, bransoletki, broszki i naszyjniki leżały na ladzie. Wyglądają, pomyślała, jak śmieci, bezwartościowe i nieciekawe. Zebrał je wszystkie na mały stolik przy olmie. Zważył je, obejrzał przez lupę, a ona stała przed kontuarem, czując chłodny strach. Cokolwiek mi da, tylko tyle będę mogła zapłacić Nagelowi, a to na pewno będzie za mało. Może powie dziesięć dolarów? Może będzie chciał mnie oszukać? Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

Przyniósł rzeczy z powrotem na ladę.

— Są bardzo ładne — rzekł. — Mają ładną oprawę.

Przestraszyły ją jego słowa i ten ton, spokojny i uprzejmy.

— Te dwa są dość stare — zauważył. — Pewnie jest pani do nich przywiązana.

łzy napłynęły jej do oczu. Mogła je tylko zignorować i nie odwracać wzroku.

— Może wolałaby pani mniejszą pożyczkę? — zapytał. — Łatwiej będzie je wtedy odzyskać.

Potrząsnęła głową. — Nie, dziękuję — odparła niepewnie. — Ty-le, ile się da, proszę.

— Za to wszystko mogę pani pożyczyć jakieś sześćset dwadzieścia pięć — powiedział.

— Dobrze — rzuciła gwałtownie i wyraźnie.

— Może mi się uda zaokrąglić do sześciuset pięćdziesięciu — poprawił się, oglądając jeszcze raz rzeczy na ladzie.

— Dziękuję — wykrztusiła Lucia. — Mogę dostać pieniądze jeszcze dziś?

— Od razu — odparł.

— Czy pan... ma pan zamiar umieścić je na wystawie? — zapytała, nie zwracając uwagi na łzy płynące po policzkach.

— Och, nie! — zaprzeczył. — Tam są tylko rzeczy na sprzedaż. — Spojrzał na nią. — Wie pani, jeśli ich pani nie odkupi lub nie wpłaci pani odsetek przez pewien okres czasu, wolno nam je będzie sprzedać.

— Rozumiem! — powiedziała. — To chyba dość... żałosne, prawda? Ludzie robią dziwne rzeczy.

— Czasem to naprawdę żałosne, ale przeważnie to po prostu usługa — wyjaśnił. — Jeśli ktoś potrzebuje pieniędzy, i to szybko, właśnie tu może je uzyskać. Słyszałem o takich przypadkach, kiedy

ktoś popełniłby samobójstwo, gdyby nie dostał szybko czterystu pięćdziesięciu dolarów. Przychodzą czasem ludzie, których wyrzuciliby na bruk, gdyby nie mogli zapłacić czynszu. Cóż, właściciel kamienicy nie chce wziąć w zastaw pięknego zegarka. On oczywiście nie zna wartości tego drobiazgu. Potem, powiedzmy tydzień później, mężczyzna dostaje pracę. Kiedy otrzymuje pierwszą wypłatę, wraca tutaj, odbiera zegarek i wszystko dobrze się kończy.

Lucia była wzruszona. Jest miły, pomyślała. Próbuje przekonać mnie, że praca właściciela lombardu nie jest wcale taka straszna. Chce, by wyglądało to trochę romantycznie.

Chciała mu w tym pomóc. Chciała okazać zainteresowanie jego pracą.

O7

— Dostaje pan czasem obrączki ślubne? — zapytała.

— Cóż, niezbyt wiele — odparł. — Ludzie darzą wielkim sentymentem obrączki, a nie mają one przeważnie naprawdę wielkiej wartości. Ale zdziwiłaby się pani, ile kobiet wyrzuca swoje.

— Ale dlaczego?

— Cóż, rozwodzą się albo są wściekłe na mężów. Tak czy owak, wyrzucają obrączki.

— Widziałam dziecięcy srebrny kubeczek na wystawie.

— Ojciec jest pijakiem — powiedział mężczyzna. — To niemiła sprawa... No, to przyniosę pieniądze.

Przyniósł wszystko w banknotach.

— Powodzenia! — rzucił na koniec.

Taksówkarz siedział w samochodzie i palił papierosa.

— Nie wie pan, gdzie mogę dostać papierosy? — zapytała Lucy.

— Paniusiu, gdybym to wiedział, byłbym bogaty. Ale mogę panią poczęstować.

— Dziękuję! — powiedziała. — A teraz chciałabym pojechać do Sterna, na Czterdziestej Drugiej ulicy.

Podał jej papierosa, zapalił zapałkę i trzymał w wyciągniętej dłoni. Oparła się na siedzeniu, odprężyła i cieszyła się smakiem papierosa, czując błogostan. Już po wszystkim, pomyślała. Nie mam pieniędzy i ich nie zdobędę. Nigdy.

Ciekawa jestem, czy to jest trochę tak, jak wtedy gdy człowiek umiera, zastanawiała się. Kiedy lekarz mówi, że nie ma już nadziei i nie można nic zrobić, tylko się poddać. To byłaby dobra śmierć, gdy się nie walczy, nie męczy, ale ulega.

Wyobraziła sobie siebie w domu, leżącą sztywno w łóżku. Wszystko już ma za sobą. Nic nie trzeba zrobić, w żadnej sprawie.

Ale dzieci, pomyślała. I ojciec... Musieliby wysłać telegram do To-ma... Och, nie! Nigdy nie można przestać zmagać się i walczyć.

Taksówka skręciła w ulicę Czterdziestą Drugą. Spojrzała na zegarek. Spóźniła się ponad pół godziny. Może pana Donnelly'ego już nie ma, pomyślała. Nie można go za to winić...

Ale on tam był, stał przed wejściem, wysoki, niezwykle zadbany, w ciemnoniebieskim, dwurzędowym garniturze i szarym, filcowym kapeluszu. Nie palił, nie kręcił się, nie rozglądał dokoła. Po prostu

90

czekał. Nie wygląda na przestępcę, pomyślała. Jest bardzo dystyngowany. Nawet przystojny.

Poszedł z kapeluszem w dłoni, kiedy wysiadła z taksówki.

— Możemy zatrzymać taksówkę — powiedział. — Na Pięćdziesiątej jest takie miejsce, które się pani spodoba.

Wsiadła z powrotem do taksówki, a kiedy on usiadł obok, podał kierowcy adres.

— Nie mam pieniędzy — wyznała natychmiast. — Nigdy ich nie zdobędę.

Milczał, a ona odwróciła się, by na niego spojrzeć. On też na nią patrzył, dziwnie zamglonymi, niebieskimi

oczyrna.

— Spokojnie — odrzekł. — Proszę się uspokoić.

Rozdział trzynasty

Nie powinna czuć się uspokojona jego słowami, ale tak się właśnie czuła.

— W lokalu, do którego jedziemy, jest mały pokój, który możemy wziąć tylko dla siebie — powiedział. — Chyba że woli pani jeść na sa-

li z innymi ludźmi?

— Może lepiej, jeśli porozmawiamy na osobności — odparła.

— Tak właśnie myślałem.

To dziwne, zastanawiała się, że nie mam obaw, by zjeść z nim obiad sam na sam w miejscu, które on wybrał. Przypomniało jej się, co czytała w staromodnych powieściach o jądaniu w osobnym pokoju. Odbwały się tam zawsze sceny przygód miłosnych i uwiedzeń z winem, do którego dosypano narkotyków, a uczestniczył w tym podstępny kelner. Ale pan Donnelly taki nie jest, pomyślała.

Taksówka zatrzymała się przed niewielką restauracją o dość eleganckim wyglądzie. Nad wejściem widniał napis „Cafe Colorado”. Odzwierny w mundurze wyszedł, by otworzyć im drzwi taksówki. Donnelly wyjął z portfela banknot i podał go kierowcy.

— Reszty nie trzeba — powiedział.

— Co? — zdziwił się taksówkarz. — Och, dziękuję. Bardzo dziękuję.

91 \_\_\_\_\_

Weszli po niewielkich schodkach, potem po wyłożonym dywanem prosto do restauracji. Na małych stolikach stały zapalone lampki. Na końcu znajdował się bar z lustrem obwiedzionym lampą fluorescencyjną. W środku było sporo osób. Nie było tam nic podejrzanego. Wiekowy kelner podszedł pośpiesznie do Donnelr/ego.

— Bonjour, maÅame, monsieur!

— Powiedz szefowi, że jestem — powiedział Donnelly.

— Mais oui, monsieur! — odparł kelner i oddalił się.

Bardzo szybko z drugiego końca sali podszedł do nich inny czło-wiek, krępy i śniady, z czarnymi wąsami i

smutnymi oczyma.

— Ach...! — westchnął. — Pokój, Marty?

— Parfaitement — odparł Donnelly.

— Tędy, madame!

Przeszli za nim przez całą restaurację. Zatrzymali się przy barze. Mężczyzna otworzył drzwi wiodące do ciemnego, małego korytarzyka, na którego końcu znajdowały się jeszcze jedne drzwi.

— Voild! — powiedział z nutką dumy w głosie.

— Cest assez bien — rzekł Donnelly i mówił dalej po francusku.

Lucia знаła ten język tylko ze szkoły. Zrozumiała jednak, że mówią na temat obiadu i że ten drugi mężczyzna nazywa się Gogo.

Kiedy obejrzała pokój, miała ochotę się roześmiać. Był dokładnie taki, jak w jednej z tych staromodnych książek, niewielki pokoik bez okien, z okrągłym stolikiem pośrodku, zastawionym na dwie osoby i bukietem czerwonych róż wazonie. Była tam nawet kanapa pokryta błękitno-złotym brokatem.

— Alors... — powiedział Gogo, uklonił się, uśmiechnął i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Nie przedstawiałem go — zwrócił się do niej Donnelly — ponieważ nie sądziłem, że chciałaby go pani poznać.

— Tak, a dlaczego? Czy on jest... — Zabrakło jej słów. — Czy to podejrzany typ?

— Jest moim dobrym znajomym — odparł Donnelly. — Ale nie należy do klasy ludzi, do jakiej pani przywykła.

Klasy, pomyślała. Jakiej klasy? Według tego, co sam powiedział, pochodził z płebsu, nie był wykształcony, był szantażystą i Bóg raczy wiedzieć lam jeszcze. Jednak jego sposób bycia był naturalny, swo-

92

bodny, wymowa poprawna, płynna, jak u dobrze wyuczonego obco-krajowca. Nie wiem, kim on właściwie jest, pomyślała. Odsunął dla niej krzesło.



— Zmówiłem dla pani martini — powiedział. — Będzie odpo-  
wiała?

— Och, tak, dziękuję!

— Zapali pani? — zapytał. — Zanim podadzą.

Zapalił jej papierosa, a potem swojego i przysunął popielniczkę bliżej niej, po czym usiadł po przeciwnej stronie stołu.

— Mówi pan płynnie po francusku, prawda? — zapytała.

— Dość dobrze — odparł — ale nie wiem, czy poprawnie. Nau-  
czyłem się w Quebecu.

— Mieszkał pan tam?

— W klasztorze, prawie rok.

— W klasztorze?

— Wtedy ubzdurało mi się, że powinienem zostać księdzem.

— Och! I zmienił pan zdanie?

— Nie miałem powołania — powiedział po chwili. — Za bardzo  
byłem ciekaw świata.

Lucii zdało się, że ten wielki, krzepki mężczyzna z ogromnym doświadczeniem był istotą zdecydowanie bardziej wrażliwą i delikatną niż ona sama. Często myślała tak o Davidzie, ojcu, Tomie. Sądziła, że jest od nich twardsza, bardziej elastyczna, że lepiej potrafi znieść to, co nieuniknione.

— A był pan żonaty? — zapytała.

— Chciałem się ożenić, ale nigdy nie znalazłem dziewczyny,  
która by mi odpowiadała.

Poczuła oburzenie na ten przejaw męskiej arogancji.

— Nie znalazł pan dość dobrej kandydatki? — dociekała.

— Nie — odparł po prostu.

Przyszedł kelner z cocktailem na tacy.

— A pan nie pije? — zdziwiła się.

— Nigdy nie piję przed piątą.

— Dlaczego? — zapytała trochę zbyt otwarcie.

— Był taki czas, kiedy piłem zbyt dużo — odparł. — Przez trzy lata piłem na umór, póki nie znalazłem się na odwyku. To straszna rzecz. Nigdy się tego nie zapomina. Zabrali mnie do Bellevue, a tam

93 —

zobaczyłem innych pijaków. Starzy ludzie, niektórzy zmarnowali całe życie na pijaństwie... — Przerwał.

— Teraz piję umiarkowanie.

— Ma pan spore doświadczenie... — rzekła delikatnie.

— Tak, to prawda — odparł.

Upiła łyk martini i poczuła napływające nowe siły, moc, której ni-gdy wcześniej nie czuła. Poradzę sobie z nim, pomyślała.

— Wygląda pani czarująco — zauważył. — Ten mały kapelusik i białe rękawiczki, to wszystko.

Przypomniało jej się.

— Nie czuję się czarująca — powiedziała gorzko. — Nie udało mi się. Nie zdobyłam pieniędzy.

— Próbowала pani?

— Poszłam do firmy pożyczkowej, której ogłoszenie widziałam — objaśniła. — W ogłoszeniu napisali, że nie będą zadawać pytań, ale zadawali. — Zamilkła na chwilę, przypominając sobie pannę Poser.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej szarą kopertę, do której włożyła pieniądze. — Sześćset pięćdziesiąt dolarów — powiedziała. — To wszystko. Wszystko.

— Wyplaciła je pani z konta?

— Nie. Nie mam w banku nic prócz pieniędzy na życie. Nie. Zastawiłam moją biżuterię.

— Niech pani da mi kwit — powiedział.

— Ale... dlaczego?

— Niech mi pani da kwit — powtórzył głośniej.

— Ale dlaczego? Nie chcę.

— Niech mi go pani da! — krzyknął, wstając.

— Nie! Nie oddam!

Stanął nad nią z wyciągniętą ręką. Przestraszyła się. Zaczęła się bać silnego, stanowczego mężczyzny. Jego twarz nie była już bez wyrazu. Szczęki rysowały się wydatnie, oczy miały zdecydowany, chłodny kolor.

— Niech mi go pani da! Niech go pani wyjmie z torebki.

Wyjęła kwit niechętnie i ze złością.

— Dlaczego? — zapytała.

— Odbiorę te rzeczy — powiedział. — Każdy pani drobiazg.

— Nie są ważne. Nie dbam o nie.

Zaczął chodzić po pokoju.

94

— Odbiorę je dla pani — rzekł.

— Nie dbam o nie! — krzyknęła. — Chcę tylko powstrzymać Nagela.

— To też zrobię — powiedział.

— Och, potrafi pan?

— Nie wiedziałem, jak to... — zaczął, kiedy wszedł kelner z sałatką z krewetek.

— Przynieś pani następne martini — powiedział Donnelly, a ona nie zaprotestowała.

Usiadł przy stole.

— Nie wiedziałem, że będzie pani tak ciężko — rzekł. — Carlie... to znaczy Nagel powiedział, że was sprawdził. Powiedział, że ma pani mnóstwo pieniędzy i pani ojciec też.

— Nie mam pieniędzy — odparła. — Tylko to, co na życie.

— Dziwne, że nic pani nie dają.

— Ależ tak! Ojciec i mąż zawsze dawali mi wszystko, czego chciałam.

— To nie wystarczy — powiedział.

— Chce pan powiedzieć, że powinni założyć mi-niewielki fundusz... na płacenie szantażystom?

Zauważyła, że go to dotknęło, i ucieszyła się.

— Nie zależy mi na tych drobiazgach — dodała. — Chcę tylko uratować córkę od paskudnego skandalu.

— O pani córkę się nie martwię. Ona przetrwa skandal...

Przyszedł kelner z drugim martini, które postawił przed Lucią.

— Będę musiał porozmawiać z Nagelem. Spróbuję go namówić, żeby poczekał na pieniądze z innego interesu. Zapłaciłbym mu za panią, ale obaj kiepsko stoimy, bo włożyliśmy wszystko, co mieliśmy, w pewien interes. Problem w tym, że Nagel zawsze był nerwowy, jeśli nie miał dość pieniędzy w banku. Niech pani wypije swój cocktail.

— Nie chcę.

— Więc niech pani zje obiad.

— Nie mogę.

— Niech pani posłucha — powiedział. — Jeśli nie uda mi się powstrzymać Nagela, niech robi, co chce. Zaniesie listy pani ojcu...

— Nie! Nie wolno mu! Nie może!

— Z tego, co widziałem, pani ojciec jest wspaniałym starszym panem. Nie będzie miał dziewczynie za złe.

— Nie! Nie! — krzychała. — Ojciec nie może się dowiedzieć.

— Za bardzo się pani tym przejmujesz. Niech Nagel mu powie. Niedługo będzie po wszystkim...

— Nie! — znów krzyknęła. — Nie rozumie pan. Ojciec nie może się dowiedzieć o Tedzie Darbym...

Odsunęła krzesło, ale nie wstała. Siedziała sztywno, myśląc intensywnie. Jeśli powiem porucznikowi Levy'emu, ojciec i tak się dowie. Dowie się o Bee i Tedzie, o tym, że go zabił. Poza tym nie mogę pozwolić, by Murray został w więzieniu. Muszę powiedzieć porucznikowi Leyyemu, chyba że...

Chyba że Murray mógłby wyjść z więzienia bez powiadamiania policji.

— O co chodzi? — zapytał Donnelly. — Co panią martwi?

Spojrzała na niego szybko, a jego wyraz twarzy był oczywisty. Nie

musiała tego ubierać w słowa, wiedziała po prostu, że może mu zafać we wszystkim. Wiedziała, że może wykorzystać jego siłę i stanowczość.

— Ojciec poszedłby na policję, gdyby pan Nagel z nim porozmawiał. Gdyby policja dowiedziała się o mojej córce i Tedzie Darbym...

— Nie obchodziłoby ich to — powiedział. — Kiedy mają do czynienia z ludźmi takimi jak wy, starają się utrzymać w tajemnicy nazwisko dziewczyny. Jej listy nie mają nic wspólnego z zabójstwem Darb^ego.

— A jeśli mają?

— Nie mają.

Serce biło jej tak szybko i gwałtownie, że zaczęła głośno dyszeć.

— A jeśli to nie Murray zabił Teda? — zapytała.

— Dobrze wiem, że to nie Murray — odpowiedział. — Wrobiono go-

— Ale siedzi za to w więzieniu. Będzie za to sądzony.

— I pójdzie na krzesło elektryczne — dodał Donnelly. — Nie będzie mi to spędzało snu z powiek. On i Darby byli wrednymi, oszukań-  
czymi... — opanował się. — To wstrętne szczury.

— Murray nie może być ukarany... zabity... za coś, czego nie zro-  
bił.

96

— Niech się pani o niego nie martwi. Nie jest tego wart.

— A mógłby pan sprawić, że Murray wyjdzie z więzienia?

— Nie chcę tego.

— Ale mógłby pan, gdyby pan spróbował? Proszę odpowiedzieć!

— Mógłbym — odparł. — Dlaczego to panią obchodzi?

Wszedł kelner i zawahał się, widząc nietknięte krewetki.

— Proszę poczekać — powiedział Donnelly. — Jest tu gdzieś dzwonek? No więc proszę poczekać, aż po pana zadzwonimy.

Mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Więc mógłby pan wyciągnąć Murraya z więzienia? — zapy-  
tała znowu.

— Może. Ale nie ruszę palcem, żeby to zrobić.

Przypomniała sobie wczorajszy obiad, niebieską wodę, zielone

drzewa, słoneczny spokój, uśmiech pani Lloyd, Owena obserwujące-go Bee, Davida i ojca, i Toma przebywającego gdzieś daleko. Wszyscy byli tacy niewinni, a groziło im nadejście strasznych chmur z innego świata, świata Teda Darby'ego, Nagela, kryminalistów, wszystkich tych okrutnych, niebezpiecznych bestii.

— Co panią martwi? — zapytał Donnelly.

— Cóż... A gdybym to ja zabiła Teda Darby'ego? — zapytała.

Rozdział czternasty

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

— Nie — zaprzeczył — nie mogłaby pani nikogo zabić.

— To był wypadek. On był... Ja byłam na niego wściekła o te listy.

Popchnęłam go, a on upadł. To było w hangarze. Wpadł do łodzi, na kotwicę. To go zabiło.

Spojrzał na nią znów uważnie, z niepokojem.

— Niech pani się napije — powiedział. — To pani dobrze zrobi.

Potrząsnęła głową.

— Dopiero rano zorientowałam się, że nie żyje — mówiła. —

Znalazłam go tam. Zabrałam na wyspę. To było... Takie.... — Przerwała na chwilę. — Musiałam go zdjąć z kotwicy. Tak to było... a potem musiałam go wynieść z łodzi.

97

Głos jej się łamał, a usta drżały. Wspomnienie tego było gorsze niż to, co się tam stało.

— Musi mi pan uwierzyć.

Spojrzała na niego i przez chwilę nie spuszczała z siebie wzroku.

— Wierzę pani — powiedział. — Żaden święty w niebie nie zrobiłby tyle, ile pani zrobiła dla swojej rodziny.

— Ja... nie miałam zamiaru nikomu o tym opowiadać — rzekła.

— Ale... nie mogę pozwolić, żeby Murray za to płacił.

— Może pani. Murray to zły człowiek.

— To nie ma znaczenia. Nie mogę pozwolić mu cierpieć za coś, co sama zrobiłam.

— Może pani.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie zrobię tego. To grzech.

— Grzech? — powtórzył jakby przestraszony. — Teraz trudno stwierdzić, co jest grzechem, a co nie.

— To nigdy nie jest trudne — powiedziała. — W głębi serca zawsze wiadomo, co jest dobre, a co złe.

— Och... — westchnął. — To nie takie proste. Trzeba poznać wszystkie aspekty sprawy. Jest jeszcze pani rodzina. To dobrzy ludzie. Wartościowi dla świata. Jaki ma sens poświęcenie ich dla takiego szczonego jak Murray? Musi pani wybrać to, co jest najlepsze dla nich.

— Nie — oburzyła się. — Muszę zrobić to, co trzeba, nie oglądając się na konsekwencje.

— Wiele osób by się z tym nie zgodziło — powiedział. — Wielu ludzi uważa, że trzeba najpierw sprawdzić, co w ostateczności będzie najlepszym wyjściem.

— To... — zaczęła i powstrzymała się. To poglądy jezuickie, chciała powiedzieć, ale powstrzymała się, bo może on właśnie w to wierzył. — Ja tego tak nie widzę — odparła. — Nie mogę pozwolić Murrayowi zostać w więzieniu. Nieważne, co się z nami stanie. Wolałabym raczej sama iść do więzienia.



— Nie pójdzie pani do więzienia — powiedział. — Niech pani posłucha. Może pani jednak coś zje? Zamówiłem stek, ale jeśli woli pani coś innego...

— Ten człowiek jest teraz w więzieniu... a ja tu siedzę.

— Niech pani posłucha. Więzienie nie ma na niego takiego wpływu, jaki miałyby na panią. On tam już był.

98

— Och, nie rozumie pan, jak ja się czuję? — krzyknęła. — Nie mogę tu siedzieć i jeść... Nie wiem, co robić. Nie wiem, do kogo się zwrócić.

— Niech się pani zwróci do mnie.

Spojrzała na niego. Odsunął krzesło i wstał. Znow zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Był wysokim, ciężkim mężczyzną, ale stąpał z palców na pięty tak lekko, że jego lśniące buty wydawały się bardziej giętkie niż inne.

— To moja kara — ciągnął. — Postępowałem głupio z pieniędzmi, a teraz, kiedy ich potrzebuję, nie mam. Dałbym teraz sobie wydubać oczy, żeby spłacić Nagela. Albo gdybym miał pieniądze, mógłbym zapłacić Isaacsowi albo Jimmmy'emu Downeyowi, żeby wyciągnęli Murraya. — Doszedł do końca pokoju i odwrócił się w jej stronę. — Tylko proszę się nie martwić. Ja to załatwię.

— Jak?

— Popracuję nad Nagelem — powiedział. — On wie, że w końcu dostanie pieniądze z tego interesu, więc wypłacę mu za listy z mojej działki.

— Ale dlaczego? — zapytała ze złością. — Dlaczego miałby pan

płacić temu straszemu mężczyźnie, szantażyście, skoro to pański partner, czy jak go pan tam nazywa?

— Cóż, to jest tak — odrzekł. — To Nagel dostał te listy od Darby'ego. On wszystko wymyślił. Ma prawo...

— Niech pan tak nie mówi! Niech pan nie mówi o tym jak o normalnym interesie. To przecież... czy pan tego nie rozumie... to przestępstwo.

Wielki mężczyzna podszedł do niej, stąpając lekko. W pozbawionych wcześniej wyrazu oczach była groźba. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

— Tak... — powiedział. — Ma pani rację. Niech mnie Bóg broni, bo naprawdę już nie potrafię odróżnić dobra od zła.

— Każdy to potrafi.

— Tak — przyznał — ale teraz nie mogę zawieść Nagela.

— Ale przecież pan wie, że to zwykły przestępca.

— Ja też jestem przestępcą — powiedział.

— Nie jest pan — zaprzeczyła. — Nie tak naprawdę.

gg

— Złamałem prawo — ciągnął. — Wyrządziłem wiele zła, ale niech mnie Bóg pokara, nigdy nikogo nie zabiłem. — Stał teraz z dala od niej, odwrócony plecami. — Tylko na wojnie — przypomniał sobie. — Na pierwszej wojnie, a przecież zabijanie na wojnie nie liczy się jako grzech. — Milczał przez chwilę. — Ale to nie było mi obojętne — dodał. Byłem młody i kiedy zobaczyłem jakiegoś Szwaba, tak ich nazywaliśmy, ledy zobaczyłem ciało, zastanawiałem się, czy to nie ja go zabiłem. A teraz, ledy widzę, jak młodzi chłopcy znów tam

idą... Zdaje mi się czasem, że diabeł rządzi światem.

Podszedł do niej.

— No i jest pani — powiedział. — Taka dobra... i proszę zobaczyć, co panią spotkało. Aleja panią z tego wypłaczę. Przekonam Nagela, spotkam się z Isaacsem albo Downeyem i pogadam, jak wyciągnąć Murraya.

— Ale jak oni to zrobią? Policja musiałaby znaleźć kogoś innego.

— Issacs może każdego wyciągnąć — stwierdzi Donnelly.

— Ale co mu pan powie? Powie mu pan, że pan wie, kto naprawdę to zrobił?

— Nic mu nie powiem. Pójdzie zobaczyć się z Murrayem i razem to jakoś zaplanują. — Przerwał na chwilę. — Zaufa mi pani? — zapytał.

— Tak... — odparła.

— Zrobiłbym dla pani wszystko — orzekł. — Wszystko.

Spuściła wzrok, żeby nie widzieć wyrazu jego twarzy.

— Moglibyśmy zamówić stek? — zapytała po chwili. — Muszę niedługo jechać do domu.

Natychmiast zadzwonił po kelnera.

— A dostała pani tę szynkę? — zapytał.

— Och, tak. Dziękuję.

— Wysłałem też już wołowinę i trzy funty bekonu.

— Panie Donnelly...

— Tak?

— Wolalabym, żeby mi pan nie przysyłał już nic. Trudno jest mi

to wyjaśnić, no i... Są kupione na czarnym rynku, prawda?

— Chyba tak to można nazwać — przyznał. — Ale to nie spadnie na pani sumienie. To przecież tylko prezenty.

100

— Dziękuję bardzo, ale proszę, żeby pan ich nie przysyłał. Niech pan już nic nie przysyła.

— Obawiam się, że są w drodze, jeśli już nie dotarły na miejsce. Kelner przyniósł stek, obsmażane ziemniaki, groszek, sałatę, przesunął solniczkę, opróżnił popielniczkę i wyszedł.

— Ta Sibyl to dobra kobieta — powiedział Donnelly.

— Ależ pan jej nie zna!

— Porozmawiałem sobie z nią chwilę wczoraj, kiedy pani nie było w domu — objaśnił. — To dobra kobieta.

— Tak, to prawda.

— Prosiłem, żeby mnie powiadomiła, jeśli kiedykolwiek będę przydatny. Dałem jej mój numer telefonu.

Jak możesz być mi przydatny? — zastanawiała się Lucia, ale nic nie powiedziała.

— Zje pani, prawda? — zapytał z przejęciem. — Jest pani blada.

Proszę zjeść trochę czerwonego mięsa. Niech się pani nie martwi. Dla pani wydostanę z więzienia Murraya i utrzymam Nagela z daleka od waszego domu. Oddam pani listy. Ufa mi pani, prawda?

— Rzeczywiście panu ufam — odparła.

Westchnął, jakby kamień spadł mu z serca, ale nie jadł. Ona też nie mogła. Ten pokój bez okien był cichy, zbyt cichy. Czuła nieznośny niepokój. Zrobiła coś, co było do niej niepodobne. Otworzyła torebkę, wyjęła

z niej małe lustерko i przejrzała się.

Nie była już czerwona i przestraszona. Naprawdę była blada, włosy miała trochę potargane, ale w twarzy miała coś, czego wcześniej nigdy nie zauważyła, pewne smutne, dyskretne piękno. Tak właśnie on mnie widzi.

Rozdział piętnasty

Nie chcieli deseru. Odprawili kelnera. Nie przyniesiono im rachunku. Donnelly zostawił banknoty na stole i wyszli z pokoju. Przeszli przez restaurację na zewnątrz. Zatrzymali taksówkę, która zabrała ich na dworzec.

101

— Odezwę się — powiedział. — I proszę się nie denerwować, do-  
brze? Zajmę się wszystkim.

Stała, milcząc, ze spuszczonym wzrokiem. Wiedziała, że na nią patrzy. Wiedziała, że wygląda uroczo, szczupła, ciemnowłosa. Wiedziała, że on czeka na jej spojrzenie, więc podniosła oczy.

— Dziękuję — powiedziała.

— Mógłbym przyjść do pani? — zapytał. — Jeszcze tylko raz? Na chwilę, przyniosę butelkę szkockiej dla pani ojca.

— Przykro mi — zaczęła. — Przykro mi, ale... to niemożliwe.

— A mogę się z panią jeszcze raz spotkać? Kiedy to wszystko za-  
łatwię, zje pani ze mną obiad, tak jak dzisiaj?

Nie odpowiedziała.

— Tylko ten jeden raz, kiedy wszystko załatwię? — nalegał. —

Rozumiem pani obawy. Ma pani rodzinę i pozycję społeczną, ale gdy-  
bym mógł choć jeszcze raz panią zobaczyć...

Wokół w pośpiechu chodzili ludzie. Przyjemny głos zapowiadał pociągi, ale im wydawało się, że są sami. Nie nalegał więcej, tylko czekał w straszliwym upokorzeniu. Otworzono bramkę na jej peron, ale ona wciąż stała ze spuszczonym wzrokiem.

Nagle podniosła dłoń w białej rękawiczce i spojrzała na niego.

— Tak—odparła. — Z przyjemnością zjem z panem obiad które-  
goś dnia.

Nie uśmiechnęła się. Nigdy się do siebie nie uśmiechnęli. Delikatnie ujął jej dłoń i przytrzymał.

— Proszę się nie martwić.

Szła przez ciemny peron wśród milczących, poruszających się szybko osób. Wsiadła do wagonu. To był przedział dla palących, ale postanowiła tam zostać i zapalić papierosa. Usiadła obok jakiegoś mężczyzny i otworzyła torebkę. Wyjęła paczkę, ale była pusta. Przeszukała całą torebkę, a potem odwróciła ją do góry nogami.

— Proszę, niech pani weźmie! — Mężczyzna obok zaproponował jej papierosa.

— Ależ nie...! Tak trudno je teraz dostać...

— Trudno, ale nie mnie — powiedział. — Niech pani weźmie!

Niech pani weźmie!

Tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy i jasnoniebieskich, małych oczach zapalił jej papierosa.

102

— Ten kryzys minie za jakiś tydzień lub dwa — dodał. — Ale na razie mnie to i tak nie dotyczy. Mam znajomości w każdej branży, jaka mogłaby pani przyjść do głowy. Niedawno mój znajomy narzekał, że nie ma budzika. Nigdzie nie mógł dostać. Powiedziałem, że mu załatwię budzik jeszcze po południu tego samego dnia. „Ale ja nie kupuję na czarnym rynku”, oburzył się ten gość. A ja powiedziałem mu: „Ja też nie korzystam z czarnego rynku, tylko z tego.”

Popukał środkowym palcem w skroń i uniósł brwi. Uśmiechnął się, nie pokazując zębów. Próbował zrobić na niej wrażenie. Małe, jasne oczka oglądały ją uważnie, ale nie natarczywie, tylko z podziwem.

— Proszę! — powiedział. — Zamieńmy się miejscami. Młode damy zawsze wolą siedzieć przy oknie.

Kiedy wstał, włożył dłoń do kieszeni i wyjął z niej dwie paczki pa-pierosów, ulubiony gatunek pana Harpera.

- Proszę schować to do torebki — powiedział.
- Och, nie mogę!
- Mam ich znacznie więcej — rzekł. — Niech pani weźmie. Zrobi mi pani przyjemność.

Usiadł wygodnie obok niej.

- Niestety — zaczął — nigdy się nie ożeniłem. Widzę, że pani nosi znak przynależności. — Roześmiał się. — Tak to już jest. Kiedy spotykam atrakcyjną, młodą damę, ma już męża. Nie czekają na mnie...

Potem zaczął zadawać pytania. Nie miała nic przeciwko temu, że-by powiedzieć mu o mężu na morzu i dzieciach. Zupełnie jak w opo-wiadaniach z gazety, pomyślała.

- Trudno — westchnął. — Naprawdę trudno jest znaleźć atrakcyjną, młodą damę.

To wilk, pomyślała, ale nie taki straszny. Trochę żałosny. Wiedziała, do czego zmierzał.

- Może moglibyśmy się spotkać... — powiedział. — Zjedlibyśmy razem kolację i poszli gdzieś na tańce. To by pani dobrze zrobiło...

- Nie mogę zostawić dzieci — odparła. — Nigdy nie wychodzę z domu wieczorami.

- To błąd — rzekł. — Wielki błąd. Mogłaby pani zatrudnić jakiego ucznia ze średniej szkoły, żeby posiedział z dziećmi.

i nrs

—^— 1UJ

Najwyraźniej wyobrażał sobie dwójkę małych dzieci. Niech sobie tak myśli, stwierdziła Lucia. Zaskoczyła ją kojąca radość, jaką czuła, rozmawiając z tym człowiekiem. Postanowiła jednak nie podawać mu

nazwiska.

— Nie — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. — Naprawdę nie mogę.

— Dam pani moją wizytówkę — powiedział — i jeśli zmieni pani zdanie...

Pan Richard Hoopendyke, pracownik Shilley Mfg. Co.

— Proszę zmienić zdanie — powiedział, wstając, kiedy ona podniosła się z miejsca.

— Cóż, może...

Kiedy wysiadła na znajomej stacji, czuła się dziwnie w to słoneczne, ciche popołudnie. Wydawało jej się, że nie było jej tu tak długo. Miała tremę przed pójściem do domu, jakby w pewien sposób się zmieniła. Wsiadła do taksówki z jakąś kobietą i mężczyzną. Jechali w ponurej ciszy. Nie podobam im się, pomyślała. Mają mnie za dziwa-dło. To dla nich niepożądana znajomość. Może tak właśnie jest.

Czuła się dziwnie. Wysiadła pierwsza. Kazała kierowcy zatrzymać się na rogu. Szła drogą do domu, czując się dziwnie samotnie. To był taki długi dzień, pomyślała. Tyle się wydarzyło.

Ale tak naprawdę, co się właściwie wydarzyło? Próbowwała zaciągnąć pożyczkę, nie udało jej się. Zastawiła biżuterię, a potem zjadła obiad... Nie ma w tym nic niezwykłego. Ale nigdy nikomu nie mogę o tym powiedzieć. Na pewno nie ojcu i dzieciom, i nie Tomowi. On wiedziałby, że nie zrobiła nic złego, ale by mu się to nie spodobało. Obiad w osobnym pokoju z przestępcą. Tomowi nie spodobałby się nawet ten mężczyzna w przedziale dla palących. Dzieci i ojciec też zresztą by tego nie pochwaili. Oni są przekonani, że ja nie jestem taka.

Dom wydawał się nieprzyjazny w to słoneczne popołudnie. Miło jest, gdy ktoś po ciebie wychodzi, pomyślała. Kiedy dzieci były małe, zawsze wybiegały mi naprzeciw. To było miłe. Ale przecież zawsze miałam dla nich małe prezenciki.

Teraz wracała z pustymi rękoma. Nic im nie przywiozła. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Otworzyła i weszła do środka.

104

— Luda? — odezwał się z salonu pan Harper.

— To ja, tato.



Siedział w fotelu z książką w dłoni. Na stole obok stała pusta filiżanka.

— Och... Sibyl zrobiła ci herbatę? — zapytała.

— Nigdy nie zapomina.

Podeszła do niego, ucałowała siwą głowę.

— Ha... — westchnął zadowolony. — Miałaś dobry dzień, moja droga?

— Tak, ojcze.

— I pewnie robiłaś zakupy. Twoja matka, kiedy była cały dzień na zakupach, wracała zmęczona. Kiedy ją pytałem, co kupiła, często mówiła, że zupełnie nic.

Zaśmiał się. Wzrok utkwiał w próżni, jakby oczyma wyobraźni widział ukochaną, trochę śmieszna postać. Lucia podała mu dwie paczki papierosów, które dał jej pan Hoopendyke.

— To bardzo miło — stwierdził. — Dziękuję bardzo, moja droga.

A propos, był tu ten chłopak od Lloydów. Poprosił o pozwolenie umieszczenia mojego nazwiska na liście w klubie jachtowym. Wyjaśniłem mu, że od dawna nie żeglowałem i niewiele będę korzystał z Idubu, ale nie chciałem odmawiać chłopcu. Miły młodzieniec. Składka jest niewielka. Powiedziałem mu więc, żeby mnie zapisał, jeśli ma ochotę.

Chce należeć do Idubu, pomyślała Lucia. Jest samotny. Ja nie za-pewniam mu towarzystwa. Nie mam czasu. Nie wiem sama, co właściwie robię, ale nigdy nie mam czasu.

— Za tydzień znajdziesz się w radzie klubu — powiedziała. —

Zawsze tak z tobą jest.

— Bzdura! — oburzył się. — W moim wieku...

— Sam mówisz bzdury — odparła. — Ludzie zawsze mają do ciebie zaufanie, tatku.

— Tatku... — powtórzył.

Od dawna go tak nie nazywała i obojgu wydało się to dziwne. Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugła, by je powstrzymać.

— Muszę iść do Sibyl — powiedziała.

Sibyl stała przy kredensie w smudze światła. Rozbijała jajka, białka wpadały do jednej, rowkowanej, niebieskiej miski, a złote żółtka

105 | —

do zielonej. To była fachowa robota. Rozbiła jajko, które miała w dłoni, i spojrzała w górę z łagodnym, powolnym uśmiechem.

— Wróciła pani?

— Tak, wróciłam. Dzisiaj jemy szynkę na zimno, prawda, Sibyl?

— Pomyślałam, że lepsza będzie wołowina.

— Wołowina...?

— Rostbef, który dzisiaj przystali — wyjaśniła. — Do tego zrobię

Yorkshire pudding, który pan Harper tak lubi.

Nie pytała o tę wołowinę. Nigdy o nic nie pytała. Ale co ona o tym sądzi? Lucia zastanawiała się nad tym. Najbardziej w świecie chciała wiedzieć, co o tym myśli Sibyl.

— To prezent — powiedziała.

— Tak, psze pani — odparła Sibyl.

— Na pewno się zdziwiłaś, kiedy przystali tę wołowinę — dodała

Lucia.

— Nie, psze pani.

— A to dlaczego?

— Pan Donnelly powiedział mi, że ją przyśle. Zapytał, co by pani

Holley chciała. Powiedział, że zdobyłby dla pani wszystko, czego by

pani chciała.

Słowa, wypowiedziane łagodnym głosem Sibyl, miały wydźwięk, który sprawił, że Lucia wstrzymała

oddech. Nikt tak nie powinien mówić. Nikt nie powinien o tym wiedzieć.

— Powiedziałam mu, żeby już więcej nic nie przysyłał — rzekła.

— Zakazałam mu tu kiedykolwiek przyjeżdżać.

— Tak, psze pani — odparła Sibyl.

Zostaw ten temat, nakazała sobie Lucy. Już to zostaw! Ale nie mogła.

— To nie jest osoba, którą można by tu przyjmować — powiedziała.

— To nieszczęśliwy człowiek — orzekła Sibyl.

— Nie rozumiem.

— Wdał się w złe towarzystwo.

— Jest wolnym człowiekiem. Może sam sobie wybierać towarzystwo, jak wszyscy.

— Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, co robimy, psze pani.

A potem jest już za późno.

106

"W™

— Nigdy nie jest za późno... żeby się zmienić — odpowiedziała Lucia.

— Tak mówi zawsze mój mąż, psze pani, aleja nie wierzę, że ludzie potrafią się bardzo zmienić.

— Nie wiedziałam, że jesteś mężatką, Sibyl.

— Jestem, psze pani. Mąż jest w więzieniu, w Georgii.

— Och, Sibyl!

— Jest tam od osiemnastu lat — objaśniła Sibyl. — Zostało mu jeszcze siedem. Chyba że dostanie zwolnienie warunkowe, ale on nie dostanie.

— I ty na niego czekasz? — dociekała Lucia.

— Powinnam — odparła posępnie Sibyl. — On mi nigdy nie zrobił nic złego, a przynajmniej nic, o czym by wiedział. Kiedy go zabrali, powiedziałam mu, że będę czekała, i czekam.

— Osiemnaście lat! To musi być dla ciebie straszny ciężar, Sibyl.

— Tak, psze pani — potwierdziła. — Na dodatek nie wiem, czy to rozsądne.

— Chcesz powiedzieć, że zmieniałś zdanie na jego temat?

— Moje poświęcenie wcale nie jest dla niego dobre — odparła Sibyl. — On wciąż ma nadzieję, że kiedy wyjdzie z więzienia, będzie miał pięćdziesiąt cztery lata i zaczniemy nowe życie. Coraz więcej fi-  
lozofuje.

— Cóż... — rzekła z troską Lucia. — To chyba dobrze, Sibyl.

— Może i tak, psze pani — odpowiedziała z uprzejmą uległością.

— Ale Bili jest zdania, że wszystko, co się mu przydarza, dobrze się skończy. On nie jest rozgoryczony niesprawiedliwością. Siedzi zamknięty tam w najlepszych latach swego życia za coś, co nie było wcale złem.

— A za co go zamknięto, Sibyl?

— Bili był marynarzem — zaczęła opowiadać Sibyl. — Chyba dlatego za niego wysłałam. Tak bardzo chciałam podróżować. Nie

wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale już jako mała dziewczynka chciałam zwiedzać świat. Może to przez te książki. Biali ludzie, dla których pracowała moja matka, pożyczali mi książki. Myślałam, że kiedyś mogłabym się obudzić i zobaczyć rozległe, ośnieżone pola i rozświetlone niebo... Albo Paryż. Bili mówił mi, że to prawda, że

107

w Paryżu kolorowi mogą wszędzie wchodzić, wszystko zwiedzać. Bili mówił też, że będziemy podróżowali...

— I podróżowałaś?

— Nie, psze pani. Zaraz po ślubie zaszłam w ciążę i on przestał pływać po morzu. Dostał pracę w młynie, bo chciał być blisko mnie, w razie gdyby były jakieś kłopoty. Straciłam dziecko, a on został. Odłożył trochę pieniędzy i wtedy orzekł, że pojedziemy w podróż. Poszedł do oficera na statku, żeby kupić bilet, a ten mu powiedział, że nie chce czarnuchów na swoim statku. Bili upierał się, że jeśli ma pieniądze, może kupić bilet, takie jest prawo. Ten człowiek go uderzył, a Bili mu oddał. Nazwali to napaścią z zamiarem zabójstwa. Ten człowiek nie umarł, a Bili nawet nie pomyślał, że chce go zabić. Po prostu oddał. Miał ze sobą nóż, ale zawsze go nosił, od czasów, kiedy pracował na morzu...

— Może pojedziecie w podróż, kiedy on wyjdzie z więzienia.

— Nie, psze pani — powiedziała Sibyl. — Bili będzie miał pięćdziesiąt cztery lata i nie wiem, czy sobie znajdzie porządną pracę. Zrobił się dziwny po tylu latach w więzieniu. Chyba będę go musiała utrzymywać. Poradzę sobie, jeśli tylko będę zdrowa.

— Cóż... — odparła Lucia. — Ale przynajmniej cały ten czas pomagaliśmy mu i wspieraliśmy go.

— No, nie wiem... — zastanawiała się Sibyl. — On ma takie filozoficzne nastawienie do życia... Gdybym mu powiedziała, że nie będę na niego czekać, znalazłby inne pocieszenie, a ja znalazłabym jakiś sposób, żeby zwiedzić świat.

Lucia milczała. Zafascynowało ją to krótkie wejrzenie w charakter Sibyl. Przez wszystkie te lata tak cicho i fachowo radziła sobie ze swoją pracą, że Lucia nie podejrzewała ją o to namiętne pragnienie zobaczenia świata. Ja nigdy tego nie pragnęłam, pomyślała Lucia. Nigdy nie myślałam o podróżowaniu. Nigdy o niczym takim nie marzyłam. A czego właściwie chciałam?

Pragnęła mieć męża i dzieci, i to właśnie miała. Odkąd pamięta, dawano jej zawsze wszystko, czego pragnęła. Jeśli chciała lalkę, rower albo nową suldenkę, rodzice jej to kupowali. Mąż, którego sobie wymarzyła, zjawił się, jeszcze kiedy była w szkole. Córka i syn pojawili się na świecie bez większego bólu i wysiłku.

108

Była więc istotą szczególnie lubianą przez Fortunę? Czy może nielubianą, pogardzaną i pozbawioną rzeczy, które mieli w życiu inni ludzie? Był więc David z głową pełną niejasnych nadziei i Bee z jej burzliwymi kapryсами, i Tom doświadczający właśnie rzeczy, którymi nie mógł się z nią podzielić. Nawet Sibyl. Nawet Donnelly...

Jestem jak lalka, pomyślała. Nieprawdziwa. Kiedy siedziała przy stole z rodziną, poczucie nierzeczywistości stało się przerażające. Mówili o rzeczach, które przydarzyły im się tego dnia. To było prawdziwe, czyste i jasne, zrozumiałe dla każdego. A jej dzień był jak sen. Gdyby próbowała go opisać, kto by jej uwierzył? Kto zrozumiałby, co czuła w skarbcu, w firmie pożyczkowej, w lombardzie, w osobnym pokoju w restauracji czy w przedziale dla palących z panem Hoopen-dykiem.

Zasiadła do pisania listu do Toma z tym samym poczuciem nie-realności. Kim była osoba, próbująca napisać ten list?

„Drogi Tomie,

Nie wiem, gdzie jesteś. Nie wiem, kim sama jestem. Mam takie kłopoty...”

„Proszę się nie martwić.” Przypomniała sobie słowa Donnelly'ego. Wydostanie Murraya z więzienia i

uciszy Nagela, obiecał. Ale ona nie mogła się nie martwić. Dostała się w wir, który znosił ją coraz dalej i dalej od brzegu.

Niespokojny sen przyniósł wizje morza. Śniło jej się, że płynęła, ścigając się z panią Lloyd, a wszyscy, których kochała, stali na brzegu. Obserwowali, jak pani Lloyd w jasnofioletowym, maleńkim kapelusiu-ku płynie w niezwykle szybkim tempie i z ogromną swobodą, a Lucia wlecze się za nią, rozczarowując całą rodzinę niezdatnym brodzie-niem.

Obudziła się, wstała w pośpiechu i Spojrzała na list, który napisa-ła do Toma, żeby upewnić się, czy nie było tam nic o kłopotach czy czymkolwiek, co mógłby wyczytać między wierszami. Chyba nie... pomyślała. Jest podobny do innych moich listów. Zwykły bełkot.

Poszła z powrotem spać i śniło jej się, że jest na łodzi, z ogromnym kamieniem umieszczonym na ławce. Przyciskała wiosła z całej siły, ale nie mogła ruszyć łodzi z tak wielkim ciężarem w środku, a musia-

109

ła ruszyć, i to szybko. Najpierw czuła, że coś za nią podąża, coś wynu-rzającego się z ciemnego hangaru, coś niebezpiecznego i straszego. Kiedy jednak mocowała się z wiosłami, zorientowała się, że to skała jest tak niebezpieczna. Jeśli się nie pośpieszy i nie dotrze na czas do bezpiecznego miejsca, skała zamieni się w coś innego.

Już zaczynała się zmieniać. Na górze zaczynały się kształtować szpiczaste uszy. Poruszyła się nieznacznie i zdawała się wzdychać. Po-tem potoczyła się w jej stronę, a Lucia obudziła się mokra ze strachu. Wiał mocny wiatr. Hałasował tak, jakby to noc ryczała głośno.

Wstała i zamknęła okno. Boso, w piżamie wyszła na korytarz do pokoju Bee. Wewnątrz było ciemno i wiał wiatr. Jej córka leżała w łóż-ku nieświadoma niczego i bezbronna. Zamknęła okno i poszła do po-koju Davida. On również spał, a deszcz, padający przez otwarte okno, moczył mu plecy. Zdjęła mokrą kołdrę i przykryła go kocem. Nawet się nie poruszył.

Łzy płynęły jej po twarzy, bolało ją serce, kiedy myślała o tym, że jej dzieci leżą bez okrycia na deszczu. Przeszła korytarzem do pokoju ojca. Pod drzwiami zauważyła światło. Zapukała.

— Wejdz! Proszę! — usłyszała starczy, mocny głos.

Stał przy oknie we flanelowej podomce i palił papierosa.

— „Och, sterniku, co za straszna noc”, co? — zacytował.

— Tak, to prawda! — wykrztusiła Lucia.

— Co to? Co to? Płaczesz, moja droga?

— To tylko deszcz. Zamykałam okna u dzieci.

— Usiądź, zapal papierosa — powiedział. — Mam jeszcze tę paczkę, którą mi przywiozłaś, kochanie. Proszę. Usiądź tutaj. To bardzo wygodne krzesło.

Rozdział szesnasty

Chciałabym, żebyś zaprosiła panią Lloyd na herbatę — powiedziała Bee z nutką żalu w głosie.

— Dobrze, zaproszę — odparła. — Zadzwonię do niej zaraz po śniadaniu...

— Listonosz! — zawołał David i podskoczył.

110

Podszedł do drzwi. Wracał powoli, przeglądając plik listów, które niósł w dłoni.

— Och, pośpiesz się — ponaglała go Bee. — Jest coś do mnie?

— Spokojnie! — rzucił David.

— Mamo, powiedz mu, żeby się pośpieszył! — nalegała Bee.

— Spokojnie! Spokojnie! — odparł David. — Mamo, cztery do ciebie, dwa wojskowe od taty. Jeden do ciebie, dziadku. Jeden do mnie od taty. Otóż i jest niezwykle ważny list do panny Beatrice Holley. List ze zrzeczenia studentów, list z Boothbay. To musi być od Edny. Och, rany! Jest i list od Jerry'ego. Bee, otwórz, dowiemy się, czy jest jeszcze w Chinach.

— Otworzę, kiedy będę chciała — odrzekła Bee.

Wszyscy usiedli przy stole i otworzyli swoje listy. Poczta od Toma była dość dziwna. Lucia pomyślała, że ostre, wyraźne pismo męża w tej zmniejszonej formie wydawało się obce. To nie były listy, które on pisał, nie był to papier, którego dotykała jego ręka, te lilipucie kartki otwierało i czytało Bóg wie ile osób.

„Napisałem do Davida, dziękując za zdjęcia. Ucieszyły mnie bardzo. Jestem szczęśliwy, że wyjechaliście za miasto. Nie martw się, staruszko, że Twoje listy są nudne. Są takie, jakich potrzebuję. Dzięki nim mam wrażenie, że nasze życie toczy się dalej normalnie, jak dawniej. Żyłem w niebie, ale o tym nie



wiedziałem. Końiec kartki. Pozdrowienia dla Ciebie, dzieci, dziadka. Najbardziej dla Ciebie."

W drugim liście napisał:

„Lubię czytać o tych wszystkich drobnych sprawach. Inni tu na-rzekają, że kobiety piszą o braku mięsa, masła i tak dalej. A jak Ty sobie radzisz? Nigdy na nic nie narzekasz, staruszko."

Radzę sobie... odpowiedziała mu w myśli. Tom... Uderzyła ją myśl, że gdyby wszedł w tej chwili do pokoju, nic więcej nie miałaby mu do powiedzenia. Tylko jego imię, tylko Tom.

— Mamo, zadzwonisz teraz do pani Lloyd? — odezwała się Bee.

— Jeśli teraz tego nie zrobisz, to całkiem zapomnisz.

111

— Nie o wszystkim zapominam — odparła Lucia.

— Och, mamo! — skwitowała ze śmiechem Bee.

— Nie sądzę, żeby z twojej mamy była zapominalska — powiedział pan Harper. — Wydaje mi się, że wręcz przeciwnie, pamięta o wszystkim. Musisz zrozumieć, młoda damo, że kobieta, która zajmuje się domem i rodziną, ma wiele rzeczy na głowie. Zupełnie jak kierownik w biurze.

— Tak, wiem, dziadku. Tylko się z nią droczyłam.

— Cóż... — odparł uspokojony nieco pan Harper. — Pewnego dnia, kiedy będziesz miała własny dom, sama to zrozumiesz, Beatrice.

— Mogę już odejść? — zapytał David. — Mam się spotkać z kolegą.

— Poczekaj! — rzuciła Bee i pobiegła za nim. Lucia zauważyła, że rozmawiają w korytarzu.

Bardzo ją cieszyła ich przyjaźń, ale jak zwykle ją to zaskoczyło. Przypomniała sobie, jak pewnego dnia, dawno temu, kiedy byli je-szcze bardzo mali, mieli jakieś trzy i pięć lat, pisała list w salonie. Dzieci były w

pokoju dzieciennym. Drzwi zostawiła otwarte. Zastana-wiała się, co napisać w liście, kiedy usłyszała ich rozmowę:

— Ty przynieś konika, a ja Lilacker — powiedziała Bee.

To była jej ulubiona lalka, którą trzymała w szufladzie. Do tej po-ry zawsze bawiła się nią sama. Dopiero teraz David został dopuszczony do zabawy. Cóż, kiedy umrę, oni sobie poradzą. Zamyśliła się nad tym z zadowoleniem.

„Dlaczego tyle mówisz o tym umieraniu? — zapytał ją kiedyś Tom. — Nie podoba mi się to.”

„Cóż... — odparła. — Właściwie to nie wiem. Może kiedy się ma dzieci, człowiek tak się czuje.”

„Ja się tak nie czuję — zaznaczył Tom. — Ubezpieczyłem się, że-byście nie zostali bez grosza, załatwiłem wszystkie sprawy formalne, ale nie myślę ciągle o umieraniu.”

To pewnie chorobliwe, uznała teraz Lucia. Może to jakaś niezwy- kła obsesja, ale nie mogę przestać. Kiedy były małe, sądziłam, że nikt inny nie zrozumie, ile dla Bee znaczy Lilacker. Sądziłam, że nikt nie będzie wiedział, czemu David nigdy nie potrafi poprawnie powie-dzieć pacierza. On po prostu nie potrafił powiedzieć: „...i racz przyjąć

112

moją duszę...” Mówił: „ ...i racz zostawić moją duszę...” Nie chciał, że-by ktokolwiek zabierał jego duszę. Ta myśl go przerażała. Nic się nie zmieniłam. Ciągle myślę, że jestem jedyną osobą... Zadzwoń do pani Lloyd.

— Z chęcią przyjdę! — ucieszyła się pani Lloyd. — Dziś po połu-dniu? Niestety, Phyllis nie będzie mogła przyjść. Ma lekcję tańca. Czy wpół do piątej nie będzie za wcześnie? Jeśli nie ma mnie w domu przynajmniej na godzinę przed kolacją, wszystko się strasznie kompli-kuje. Dlaczego, kiedy kolacja jest gotowa, wszyscy nagle zamykają się w łazience? Wiem, czytają. A jeśli nie, to godzinami rozmawiają przez telefon. To kwestia psychiki. Dlaczego wszyscy mają blokadę psychiczną przed zejściem na kolację, kiedy jest już na stole...?

Pani Lloyd działała na Lucie tak kojąco. Lubiała ją.

— Pani Lloyd przychodzi na herbatę — zwróciła się do Śibyl. —

Mogłabyś zrobić te maleńkie ciasteczka, Sibyl?

— Zrobimy babeczki, psze pani — podsunęła Sibyl. — Do nich nie trzeba tłuszczu. Albo możemy zrobić kanapeczki z szynką.

— To chyba nie — odparła Lucia.

Nie mogła zaproponować pani Lloyd kanapek z tą szynką. To by było niewłaściwe, nawet zdradliwe.

— Co do zakupów — dodała. — Pojadę jeszcze dziś rano.

— Niewiele trzeba dziś kupić — powiedziała z nutką satysfakcji Sibyl. — W domu jest mnóstwo mięsa. Teraz mamy więcej czerwonych kartek na masło.

Odczytała listę, którą napisała.

— A jeśli będzie pani jechała niedaleko biura gazowni, proszę wstąpić i zapytać, kiedy zjawi się ten człowiek od lodówki.

— Spróbuję — odparła Lucia.

Ku jej zaskoczeniu Bee chciała jechać z nią.

— Muszę coś kupić w sklepie — tłumaczyła. — Weźmy samochód.

— Nie — odparła Lucia. — Wolałabym oszczędzać benzynę do czasu, kiedy będzie nam naprawdę potrzebna.

Obie były już gotowe, kiedy przyjechała taksówka. Lucia miała na sobie sztywno nakrochmaloną, starą, Inianą sukienkę w czerwonej kratę. Bee włożyła szare spodnie i białą koszulę. Czasem wyglądała jak młody mężczyzna, zwłaszcza gdy miała włosy upięte i schowane

— 113

pod chustką. Lekko przyciemniła delikatne brwi. Wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Dopiero kiedy odwróciła głowę, Lucia widziała łagodny kontur policzków i dziecięcą szyję.

- Będziesz rozczarowana, mamó — usłyszała — ale nie chcę już uczyć się malowania.
- Nie będę rozczarowana, moja droga.
- Powiem ci, mamó, co chcę robić. Chcę iść do szkoły panny Kearney na dwuletni kurs dla sekretarek.
- Wszyscy mówią, że to dobra szkoła.
- Najlepsza — odpowiedziała Bee. — Kiedy się skończy szkołę Kearney, ma się pewność, że dostanie się pracę, nieważne, jak ciężkie są czasy.
- Cóż, kochanie, to chyba dobry pomysł.
- Tacie się to nie spodoba — ciągnęła Bee. — Wścieknie się.
- Jestem pewna, że nie — odparła Lucia.
- Mamó, mówię poważnie...! Wiesz, co ojciec myśli o robieniu kariery przez kobiety. Zawsze twierdzi, że umykają im najważniejsze rzeczy w życiu.
- Ale ty pewnie nie będziesz chciała robić kariery, kochanie.
- Będę — powiedziała. — Mam zamiar pracować nawet po ślubie.
- Ale jeśli będziesz miała dzieci...
- Wezmę dobrą opiekunkę do dzieci i, do cholery, będzie im nawet lepiej, niż gdybym ja siedziała z nimi w domu cały czas.
- Nie przeklinaj, moja droga — upomniała ją Lucia. — Nie rozumiem, dlaczego miałyby im być lepiej. Dlaczego matka nie jest tak dobra dla dzieci jak opiekunka?
- Ponieważ matka, która siedzi w domu i nie widuje ludzi, mu-

si być ograniczona — orzekła Bee.

— Cóż, wydaje mi się, że większość opiekunek to nie są światowe damy — przypomniała Lucia.

— Co więcej, moim zdaniem każda kobieta powinna móc utrzymać własne dzieci — powiedziała Bee. — Nikt nie wie, jaki będzie ten świat później, po wojnie. Jeśli się ryzykuje, wydając dzieci na ten świat, powinno się być w stanie zapewnić im opiekę niezależnie od biegu wydarzeń.

— No cóż, zgadza się...

114

Wszystko jest lepsze, niż być taką jak ja, pomyślała. Jestem okropnym przykładem.

Przez chwilę jechały w ciszy.

— Ten nowy szampon, który kupię, jest do suchych włosów — powiedziała Bee. — Moje włosy zrobiły się bardzo suche.

— Za często je myjesz — odparła Lucia.

To był dla nich wspólny temat.

— Przeczytałam w jakimś artykule, że niektóre kobiety myją włosy codziennie — dodała Bee. — Są znane z pięknych włosów.

— Ja nigdy nie myję włosów częściej niż raz w tygodniu — powiedziała Lucia — a czasem nawet rzadziej. A musisz przyznać, że wyglądają całkiem ładnie.

— To co innego — odrzekła Bee.

Jakbym była za stara na to, żeby mieć włosy, pomyślała Lucia.

— Nie widzę różnicy — odparła chłodno. — Właściwie mogę na-

wet powiedzieć, że mam wyjątkowo ładne włosy. Fryzjerka zawsze mi to mówi. Są gęste i bardzo zdrowe.

Bee spojrzała na nią.

— Wiem, mam — przyznała uprzejmie. — David i ja zawsze to powtarzamy.

Przyglądała się długo matce.

— Nie gap się tak, Bee! — rzuciła Lucia.

— Przepraszam, mam. — Bee speszyła się i odwróciła głowę.

Wysiadły z taksówki przed rynkiem.

— Pobiegnę do sklepu i zaraz wrócę — powiedziała Bee. — Ile tobie to zajmie, mam?

— Pewnie dużo więcej — westchnęła Lucia.

Nie był to sklep samoobsługowy z założenia, po prostu brakowało personelu, więc klienci nauczyli się sami znajdować sobie towar, ważyć owoce i warzywa. Potem trzeba było łokciami utorować sobie drogę do lady, a jeśli się nie było dość czujnym, można było po drodze zostać wypchniętym z kolejki i pozbawionym towaru, który chciało się kupić. Ludzie wpychali swój towar na ladę, a czasem ją przewracali. Nienawidzę tego, pomyślała Lucia. Szkoda, że nie jestem niezwykle bogatą arogantką. Wtedy ludzie byłiby dla mnie mili niezależnie od tego, co by o mnie myśleli.

11C

— Nie ma ręczników papierowych — tłumaczył sprzedawca. —

Proszę spróbować we wtorek. Nie ma dziś cukru. Jedyny ser, jaki mamy, to paprykowy. I tak ma pani szczęście, że w ogóle jakiś jest.

Zadzwoił telefon i sprzedawca pobiegł go odebrać. Lucia wciąż czekała na swoją kolej, kiedy przyszła do niej Bee.

Potem, w kampanii gazowej, dziewczyna tam pracująca, była roz-targniona i zrozumiiała.

— Och, jeszcze nie przyjechał? Zaraz sprawdzę...

— Nie przyjechał — przekonywała Lucia.

- Może nikogo nie było w domu.
- U nas zawsze ktoś jest.
- Więc może ma jakieś pilne wezwania — ciągnęła dziewczyna.
- Nasze wezwanie jest pilne.
- Nie — odparła prosto z mostu dziewczyna. — Wasze wezwanie nie było pilne. Sprawdzę to.
- Powie mi pani, kiedy mam się go spodziewać?
- Nie robimy tego — powiedziała. — Ludzie zawsze wtedy dzwonią z awanturą...

Taksówkarz był obcy i nieuprzejmy.

- Powinni nam pozwolić liczyć ekstra kurs za te wielkie torby z zakupami — powiedział. — Ciężarówkom płacą za towar, a nam dlaczego nie? A ludzie pchają do taksówki ciężkie torby, od których siadają sprężyny, a kiedy wysiadają, zostawiają dziesięć centów napiwku.
- Też daj mu dziesięć centów napiwku — szepnęła Bee.
- Nie! Może jeszcze będę musiała kiedyś z nim jechać — odparła Lucia.

Zatrzymał taksówkę przed domem, a Lucia pochyliła się, żeby zapłacić za kurs i dać mu ćwierć dolara napiwku. Nic nie powiedział.

- Nie mogę otworzyć drzwi! — powiedziała Bee.
- Niech pani pociągnie za klamkę! — odparł. — Mocno.
- Pewnie by panu spadła korona z głowy, gdyby pan wyszedł i otworzył — rzuciła.
- Nie — odparł — ale pani też nie spadnie.
- Cicho! — szepnęła Lucia.

Bee otworzyła drzwi i wysiadła. Zaniosły ciężkie torby do kuchni.

116

— Panicz David prosił, żeby obiad podać wcześniej — powiedziała Sibyl. — Chce gdzieś iść.

— No, dobrze — rzekła Lucia. — Wpół do pierwszej, Bee?

— Może być — odparła dziewczyna, znikając jej z oczu.

Lucia już chciała iść za nią, ale podeszła Sibyl.

— Jest tu pan Nagel, psze pani — powiedziała cicho.

Lucia spojrzała na nią.

— Psze pani...! — dodała Sibyl. — Niech pani usiądzie! O, tutaj!

Niech pani się napije zimnej wody.

— Gdzie on jest, Sibyl?

— Kazałam mu iść do hangaru, na górę. Nikt go nie widział. Powiedziałam, że może będzie musiał chwilę poczekać, żeby pani miała czas się wyrwać.

Lucia piła wodę, walcząc z obezwładniającą, straszną słabością. Nie mogę, powiedziała sobie. Nie mogę się z nim zobaczyć. Nie mogę z nim rozmawiać. Nie mogę... nie mogę nic zrobić. Ale jeśli tam nie pójdę, on nie odejdzie.

Nie odejdzie, była tego pewna. Jeśliby do niego nie poszła, on przyszedłby tutaj, do domu. Muszę się z nim zobaczyć, pomyślała. Muszę.

Wezbrała w niej wielka złość. Co właściwie robi pan Donnelly? Co on miał na myśli, mówiąc, żeby się nie martwiła i że on się wszystkim zajmie?

Co się z nim, do diabła, stało? — pomyślała.

Rozdział siedemnasty



Ta złość ją zmobilizowała.

— Pójdę się z nim zobaczyć — powiedziała, wstając.

Wtedy otworzyły się wahadłowe drzwi i do kuchni wszedł David.

— Mamo! — zawołał. — Mogłabyś na to spojrzeć?

— Co to takiego, kochanie?

— Spójrz — powiedział, wyciągając przed siebie plik kartek.

— Ale co to jest, Davidzie? — zapytała. — Nie mogę tego obejrzeć po obiedzie?

117

— Dobrze — odparł. — Nieważne. Po obiedzie pójdę to wysłać.

Był urażony.

— Och, w takim razie muszę to zobaczyć teraz! — powiedziała

Lucia. — Daj mi to, Davidzie!

Zawahał się, ale tylko na chwilę. Znów wyciągnął przed siebie rękę z kartkami spiętymi razem, równo pokrytymi pismem maszynowym.

„Ubu stanął przed wejściem do jaskini i pokiwał na boki kudłatą głową. Z ramion zwisało mu odzienie z surowej wilczej skóry, a w dłoni trzymał kamienną maczugę, ważącą około siedmiu kilo-gramów. Jaskinia znajdowała się u podnóża góry, u stóp której rozciągała się dżungla, gdzie szalał szablozęby tygrys i inne dzikie bestie, będące jego wrogami i czyhające na niego.”

— Czy to twoje opowiadanie, Davidzie? — zapytała, spoglądając na niego.

— Dobry początek, co? — zapytał. — To znaczy, człowiek zaczy-  
na być ciekaw, co to za jeden, ten Ubu.

— No tak, to prawda!

— Powiem ci, co to ma być — rzekł. — Pamiętasz ten program w radio, sponsorowany przez gumę Vigorex? Więc oni ogłosili kon-

kurs. Każdy, kto nie skończył szesnastu lat, może im przysłać opowiadanie do tysiąca słów na temat wynalazku, który zmienił życie ludzi. Pierwsza nagroda to bon wojenny wartości tysiąca dolarów. Założę się, że wszyscy napiszą opowiadania o wynalezieniu druku, telefonu i takich rzeczach. A ja napisałem o kole. Zobaczysz, jak to wymyśliłem.

— Davidzie, to naprawdę ciekawe! — przyznała Lucia. — Chodźmy do salonu, to skończę czytać.

Nagel może poczekać, pomyślała. Nawet gdybym była na tyle wredna, żeby nie przeczytać opowiadania Davida, i tak nie mogłabym się teraz wyrwać do hangaru. David chciałby pójść ze mną... i co bym mu powiedziała?

Pan Harper siedział w salonie i czytał.

— Kiedy skończysz, mam, może dziadek będzie chciał rzucić na to okiem...

118

— Oczywiście! Oczywiście! Co to jest? List?

— No, to jest w pewnym sensie opowiadanie — odparł David, śmiejąc się nieśmiało. — Nie martw się, dziadku. Nie próbuję zostać pisarzem czy kimś w tym stylu. Pomyślałem tylko, że może mógłbym zdobyć nagrodę.

Lucia usiadła i przeczytała opowiadanie.

— Rany, ale ty wolno czytasz! — niecierpliwił się David.

— Wiem — przyznała Lucia.

Próbowała opanować rozszalały umysł i skupić się na słowach, które czytała.

„Iłko wyszła z jaskini, niosąc w ramionach noworodka, owiniętego troskliwie w skórę wielkiego królika.

— Ikko! Spójrz! Skąła!

Kiedy Ubu stał tak u podnóża góry i obserwował świętą skąłę tocząca się w dół, w jego głowie powstała koncepcja koła. Zrozumiał, że okrągłe kamienie, takie jak ten, mogą służyć do przewożenia ciał upolowanych bestii..."

— Obiad gotowy, psze pani — powiedziała Sibyl.

— Za chwilę — odparła, po czym skończyła ostatnią stronę. — To naprawdę bardzo dobre, Davidzie.

— Chodzi mi o to, czy to ciekawe — dopytywał się.

— Bardzo ciekawe!

— Musi to do nich dotrzeć najpóźniej pojutrze — wyjaśnił David.

— Nie chcę wysłać na ostatnią chwilę, ale jakoś nie mogłem tego dobrze wyrazić. Teraz muszę to wysłać zaraz po obiedzie, ale chciałbym, żeby dziadek jeszcze zerknął.

— Przeczytam przy stole, jeśli twoja mama się zgodzi — zaproponował pan Harper.

Bee weszła do jadalni, z ręcznikiem upiętym na głowie, jak u pielęgniarki z Czerwonego Krzyża.

— Wypróbowałam ten szampon... — zaczęła.

— Poczekaj, skarbie! — przerwała jej Lucia. — Wiesz, że David napisał opowiadanie...?

— Czytałam je — powiedziała. — I muszę przyznać, że jest naprawdę dobre.

119

— Nadzwyczaj dobre — potwierdził pan Harper. — Tak... Chodzi tylko o to, mój chłopcze, czy sprawdzisz fakty? To znaczy te prehistoryczne zwierzęta... Czy one wszystkie istniały w tej samej epoce?

— Istniały — odparł David. — Sprawdziłem w bibliotece. Dość dużo czytałem przed napisaniem tego.

Chyba mam gorączkę, pomyślała Lucia. Tak mi gorąco. Czuję się tak... dziwnie. Muszę się zobaczyć z Nagelem. Bo jeśli mu się znudzi czekanie? Bo jeśli tu przyjdzie?

David wyszedł z domu, gdy tylko skończył jeść. Bee usiadła na werandzie, żeby wysuszyć włosy w słońcu. Będę musiała wyjść tylnym wyjściem, pomyślała Lucia i ruszyła do kuchni. Przez okno zauważyła ojca spacerującego wolno w tę i z powrotem. Chodził po trawniku ze splecionymi na plecach rękoma. Tą drogą też nie mogę wyjść, pomyślała. Na pewno mnie zapyta, dokąd idę.

Muszę wymyślić jakiś pretekst. Muszę iść do hangaru.

— Zniosłam panu Nagelowi obiad, psze pani — powiedziała Sibyl. — Dałam mu też trochę whisky pana Harpera.

— Och, Sibyl, świetny pomysł. Czy on był... jak się zachowywał?

— Już jest spokojny, psze pani — odpowiedziała Sibyl.

Zupełnie jakby był niebezpiecznym zwierzęciem, które udało jej się na chwilę obłąkać.

— Niech pani idzie na górę i się położy — dodała Sibyl. — Przyjdę panią zawiadomić, kiedy pan Harper przestanie chodzić.

Lucia poszła na górę do swego pokoju, ale nie mogła się położyć czy choćby usiąść. Stała przy oknie, skąd widziała hangar.

Donnelly... pomyślała. Kazał mi się nie martwić. Co się z nim, do diaska, dzieje? Niech go szlag. To on do tego dopuścił. Jest taki sam jak oni wszyscy. To tylko przestępca, kłamca. Nienawidzę go. Niech go szlag.

Spojrzała na zegarek i ogarnęła ją panika. Wpół do drugiej! Ojciec nie powinien w tym wieku tak długo chodzić.

Ale taki miał zwyczaj. W deszczowy dzień chodził w tę i z powrotem po pokoju przez godzinę lub więcej. Och, żeby tylko dziś tak długo nie chodził! I żeby Bee nie przyszła. Muszę się wydostać z domu.

Nie odrywała wzroku od zegarka. To błąd, pomyślała. Powinnam czytać... albo coś szyć. Kiedy się siedzi beczynnie, czas płynie dwa razy wolniej. Za dwadzieścia druga... Nie może tak długo chodzić...

120

Było za piętnaście druga, kiedy Sibyl zapukała do drzwi.

— Pan Harper wszedł do domu, psze pani — powiedziała.

Lucia przeszła obok niej, zbiegła po schodach, do kuchni, a stamtąd wyszła tylnymi drzwiami. Ojciec albo Bee mogą wyglądać przez okno. Nie mogą zobaczyć, jak biegnę. Zresztą, i tak nie chcę biec, po-myślała. Do diaska, Nagel może zaczekać.

Dotarła po trawniku do hangaru i weszła na niewielki ganek. Otworzyła drzwi i znalazła się w pachnącym pleśnią, słabo oświetlonym pomieszczeniu. W środku nie było nikogo. Nie usłyszała żadnego dźwięku. Zamknęła drzwi i stała, trzymając klamkę.

— Panie Nagel? — zawołała.

Nikt nie odpowiedział. Chowa się? Nie. Jest na górze. Tak po prostu tam siedzi? Gdy wejde, on pewnie będzie stał za drzwiami?

A jeśli będzie chciał mnie zamordować? — zastanawiała się.

To wydawało się jej nawet możliwe. Nagel był dla niej równie tajemniczy jak istoty z innych planet. Nie myślała o nim jak o człowieku, ale jak o czymś do głębi złym i niebezpiecznym. Przyszedł po pieniądze, więc oczywiście, jeśli ich nie dostanie, może spróbować mnie zabić.

A jeśli go tu wcale nie ma? Może zmęczył się czekaniem i sobie poszedł?

To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, pomyślała.

— Panie Nagel? — zawołała znów.

— Niech pani wejdzie — zawołał.

Pozostało jej tylko szybko iść, bez namyślenia się. Siedział w wiklinowym fotelu w saloniku, w koszuli i spodniach na lawendowych szelkach. Miękki kapelusz zsunął na tył głowy. Taca z naczyniami leżała na podłodze, a na stoliku obok stała butelka whisky i szklanka.

— Nie śpieszyła się pani — zauważył.

— Nic nie mogłam poradzić — odparła Lucia.

— Dobrze — powiedział. — Już się naczekałem. Teraz będzie

dziesięć tysięcy... od razu.

— Nie mogę tyle zdobyć.

— Może pani, od ojca. Sprawdziłem go.

— Nieprawda.

— Niech pani zapłaci... albo...

— Albo co?

121

— Zaniosę te listy znajomemu facetowi, który pracuje w gazecie.

— Proszę bardzo — powiedziała Lucia. — Gazeta nie wydrukuje takiego listu.

— Czekaj no chwilkę, damulko — odparł. — Zaraz, zaraz. Kto tu mówi o drukowaniu tych listów? Ja go tylko na was napuszczę. Powiem mu, że ładniutka blondynka była zamieszana w sprawę Darby'ego, a on już zrobi, co trzeba.

— I co według pana to da? — zapytała Lucia.

— Sporo, damulko. Sporo.

On po prostu chce mnie skrzywdzić, pomyślała. Chce tego bardziej niż pieniędzy. On mnie nienawidzi.

Dziwnym trafem to odsunęło od niej wszelki strach. Nie odważy się mnie zabić, pomyślała, spoglądając na niego z pogardą. Siedział z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, pijąc whisky ojca. Chciałabym go uderzyć, pomyślała. Chciałabym go zranić.

— Więc? — spytał. — Co będzie, damulko?

— Nic — odparła. — Nie mogę dać panu dziesięciu tysięcy. Nie mogę dać nawet tysiąca.

— Dobrze. W takim razie, pani i ta blondyneczka macie się wynieść z miasta pierwszym pociągiem i nie wracać.

— Cóż to za szalony pomysł! — wykrzyknęła Lucia.

— Wynoś się z miasta i nie wracaj albo pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś.

On blefuje, pomyślała Lucia zaskoczona i spojrzała nań z jeszcze większą pogardą. Chce mnie po prostu przestraszyć. Tak naprawdę nic nie może mi zrobić.

— Niech pan wyjdzie — rzekła. — Nic pan nie dostanie.

- Pójdę, kiedy będę chciał — odparł. — Teraz mi się nie chce.
- A jeśli wezwę policję?
- Proszę! Proszę bardzo, wezwij policję, damulko. Jestem przyjaciелеm Teda Darby'ego. Wiem, że kombinował z tą blondynką i przyjechałem, żeby się czegoś dowiedzieć. Dam gliniarzom jej listy, a oni ją zmuszą do gadania.

Cóż, tak właśnie mogłoby się zdarzyć, gdybym wezwała policję, pomyślała Lucia. To dziwne, kiedy o tym pomyśleć, że tak jak on nie chcę w to mieszać policji.

- Noi jak, damulko? — zawołał.

122

- Proszę przestać mnie tak nazywać! — krzyknęła ostro.
  - Nie podoba ci się, co? To szkoda, damulko. Ja tego błędu nigdy nie zrobiłem, nigdy nie zadałem się z żadną z tych przeklętych suk z towarzystwa...
  - Towarzystwa? — krzyknęła Lucia. — Sądzi pan, że jestem damą z towarzystwa? Jest pan głupcem.
  - O nie — zaprzeczył. — Nie jestem głupi. Znam ten typ. Wiedziałem, jak mój przyjaciel na taką poleciał. Wszystkie jesteście podłe. Każdy facet, który się z taką zada, jest skończony. Taki na przykład Darby...
  - Proszę przestać! — krzyknęła Lucia. — Niech się pan wynosi!
  - Kiedy mi się zachce, damulko, kiedy mi się zachce.
  - Ty... — zaczęła, ale przerwała ze strachem, kiedy usłyszała na schodach odgłosy kroków.
- Ojciec? — zastanawiała się. Nie, nie! Och, żeby to tylko nie był ta-ta!

To był Donnelly, wysoki, elegancki, w szarym garniturze w jodełkę, z chabrem w klapie marynarki.

— Co się dzieje? — zapytał. — Słyszeć was na dworze.

— On ma zamiar oddać te listy prasie... — powiedziała Lucia.

— Zamknij się! — przerwał jej Nagel.

— Zostaw ją — rzucił Donnelly. — Co ty tu w ogóle robisz, Carlie? Odstawiasz, świński numer. Przecież się umówiliśmy.

Mówił surowym tonem, ale nie ze złością.

— Dostałeś swoje pieniądze — przypomniał mu. — Dlaczego to ci nie wystarczyło? Nie masz prawa tu przychodzić.

— Nie, posłuchaj, Marty — powiedział Nagel, wstając. — Mieliśmy zrobić numer, więc musimy go skończyć. Przyszedłem tu, bo chciałem cię uwolnić od tej kobiety. Ty tego nie łapiesz, aleja tak. Ona cię zrujnuje.

— Zostaw ją w spokoju — odparł Donnelly bez złości. — Ty tego nie możesz zrozumieć.

— Akurat! — krzyknął Nagel. — Popatrz, co ona już z tobą zrobiła. Taki człowiek jak ty, naprawdę ktoś... a wczoraj żebrałeś, tu skombinowałeś lalka setek, tam następne kilka. Myślisz, że ja chcę tych pieniędzy, wiedząc, jak je zdobyłeś? Posłuchaj. Wymyśliliśmy to razem.

Mieliśmy się podzielić po połowie, a kiedy ona się pojawiła, co zrobi-

— 123

łeś? Żebrałeś... żeby mi zapłacić. Jakbym ci trzymał nóż na gardle. A to nieprawda. Nie chcę twoich pieniędzy.

— Ale je wzięłeś — powiedział Donnelly. — Obiecałeś, że ją zostawisz w spokoju. Jesteś kłamcą, Carlie.



— No to jestem kłamcą. Dobrze. Ale nie zostawię jej w spokoju.

— Będziesz musiał — rzekł Donnelly.

Lucia odsunęła się i oparła o ścianę. Obaj mężczyźni stali naprzeciw siebie. Nagel był niższy, miał nadwagę i wyglądał na starszego, ale z wojowniczo nastroszoną czupryną i bojową, pochyloną lekko postawą, z wypiętym zadkiem robił na Lucii wrażenie osoby bardzo silnej. Donnelly był nieodgadniony, niewyraźny i jakby pozbawiony energii. Posiadał tylko tę surową cierpliwość.

Ale on to załatwi, pomyślała. Tak czy siak. Oparła się bezwolnie

o ścianę. Nic nie musiała robić ani mówić. Przez chwilę o niczym nie musiała myśleć. Dwaj mężczyźni dalej rozmawiali, ale ona ich już nie słuchała. Czekwała i nabierała sił.

Dopiero jakaś nuta w głosie Donnelly'ego przestraszyła ją. Spojrzała na niego. Już nie zachowywał się tak zagadkowo jak wcześniej. Przyjął postawę wyczekującą, pochylił lekko głowę, jak nasłuchujące zwierzę.

— Coś ty powiedział? — zapytał.

— Słyszałeś — odparł Nagel.

Boją się siebie nawzajem, pomyślała Lucia. U Nagela zauważyła tę samą ostrożność, to samo napięcie mięśni. Jakby obawiali się obaj, że nawet niewielkie poruszenie może u drugiego sprowokować skok.

— Powiedziałeś, że Eddy i Moe o tym rozprawiali — rzucił Donnelly. — To znaczy, że ty im o tym powiedziałeś.

— Ja nie. Myślisz, że możesz sobie chodzić po Nowym Jorku jak niewidzialny? Zabrałeś ją do restauracji Gogo. Na szampana...

— Nie było żadnego szampana!

— Dobra, to nie było szampana. W porządku. To Pop cię tam widział.

— Pop? — zdziwił się Donnelly. — I to Pop powiedział Eddy'emu Moemu?

— Tak — odparł Nagel. — Dla mnie to oczywiste. To ta sama kobieta, którą widzieli z Darbym w hotelu, a Eddy i Moe to starzy przy-

jaciele Darby'ego. .

124

— Może dla ciebie to oczywiste — powiedział Donnelly. — Tylko że Pop jest w Buffalo.

Nagel poruszył się nieznacznie, przesunął stopy.

— Mógł im napisać w liście.

— Nie napisałby do nikogo listu i nie widział mnie w knajpie Gogo. Wyjechał do Buffalo w zeszły czwartek. Jesteś kłamcą, Carlie.

— Ale, posłuchaj, Marty...

— Jeśli Eddy i Moe o tym rozmawiali, to na pewno ty im o tym powiedziałaś, Carlie.

Coś się działo, coś zmieniało się w obu mężczyznach, którzy wciąż się nie poruszyli.

— Ja im nie powiedziałem — odparł Nagel.

— Jesteś kłamcą — powtórzył Donnelly. — Jeśli o tym rozmawiali, to ty ich na to naprowadziłaś. Nigdy ci nie wybaczę.

— Dobra. Nie rozmawiali o tym. Powiedziałem ci tak tylko, żeby ci uświadomić, co robisz. Nie utrzymasz tego w tajemnicy. Dowiedzą się i zaczną się martwić. Będziesz się zabawiał z tą suczką, a potem zaczniesz gadać. Aż któregoś dnia powiesz za dużo i ona się na ciebie wypnie. I wsypie nas wszystkich. Na litość boską, Marty, zostaw ją! Jeszcze nigdy kobieta nie powaliła cię na kolana. Na litość boską, pokaz, że nie straciłaś głowy!

— Masz zamiar innych na nią napuścić — powiedział Donnelly.

— Albo niech się stąd wynosi. My...

Donnelly uderzył bez ostrzeżenia. Wyprowadził cios ramieniem, pięść trafiła Nagela w szczękę. Zachwiał się i upadł w tył, drepzcząc przy tym niezdarnie. Runął na krzesło, złamał je, a potem spadł na podłogę z hukiem, który poruszył całym domem. Szybki jak kot Donnelly już klęczał obok niego.

— Coś mu się stało? — zapytała bezbarwnym głosem Lucia.

— Nic — odparł Donnelly. — Wracaj do domu.

Pochylał się nad Nagelem, a ona przesunęła się, żeby zobaczyć, co robił.

— Marty...! — krzyknęła. Próbowała krzyczeć, ale gardło miała ściśnięte. — Marty... — szepnęła.

— Cicho bądź! — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Idź do domu!

Złapała go za ramię, ale było jak stal, jak skała. Palce miał ciasno oplecione wokół gardła mężczyzny, a blade oczy Nagela wyłaziły na

125

wierzch. Łapczywie chwycił powietrze, ukazując co chwilę język, a twarz mu ciemniała.

— Marty... — powtórzyła, ciągnąc go za ramię obiema rękami. —

Przestań... Błagam cię... Błagam...

Sama się dusiła. Stała ze wzrokiem utkwionym w brzydkiej twarzy Nagela, dotykając rękoma szyi. Czula, jak się dusi, traci wzrok i zapada w ciemność.

Donnelly zaniósł ją na pokrzywioną kanapę. Uniósł jej głowę i przytknął szklankę do ust.

— Wypij trochę — powiedział. — To ci pomoże.

Whisky miała zjełczały, kwaśny zapach. Upiła kilka łyków i odepchnęła szklankę tak gwałtownie, że wypadła mu z ręki na podłogę.

— To jego szklanka... — wykrztusiła.

Leżała przez chwilę, a potem usiadła. Donnelly stał obok niej, palił papierosa.

— Kiedy tylko będziesz w stanie — rzekł — idź do domu.

Spróbuj, możesz wstać?

— A Nagel...? — zapytała z wielkim wysiłkiem.

- Ja się nim zajmę.
- Zabiłeś go — powiedziała. — Zabiłeś go. Udusiłeś go.
- Musiałem to zrobić — odparł.
- Zabiłeś go. Udusiłeś...
- Powinnaś już iść do domu — przerwał jej.
- Zabiłeś go. Udusiłeś go...
- Nie myśl już o tym, kochana — rzekł.
- Jak mogłeś? Jak mogłeś? — pytała z płaczem.
- Musiałem to zrobić. Miał zamiar nasłać na ciebie tych dwóch.

— To lepsze... Znacznie lepsze... — szlochała. — Wszystko było-  
by lepsze.... niż... to. Niż to.

— Posłuchaj — powiedział, siadając na kanapie obok niej. — To  
było dla ciebie bardzo trudne, ale musisz wziąć się w garść. Musisz  
przestać płakać. A gdyby ktoś cię teraz zawołał i musiałabyś zejść na  
dół?

— O Boże! — krzyknęła z rozpaczą.

Nieważne, co jej się przydarzyło, nieważne, co czuła, dla niej naj-ważniejsze zawsze będzie, jak stanie  
twarzą twarz ze światem, jej ma-łym światem, dziećmi, ojcem.

126

— Poproszę jeszcze whisky — rzekła. — Ale wolałabym wypić  
prosto z butelki.

— Oczywiście — odparł. — Tylko ostrożnie.

Przełknęła kilka łyków.

— Ma pan papierosa? — zapytała.

Podał jej papierosa i zapalił.

— Dziękuję.

— Proszę.

Niespodziewanie zaczęli znów rozmawiać oficjalnym tonem. Paliła przez chwilę, siedząc prosto i uspokajając się. Nabierała sił.

— Co pan zrobi... co z nim zrobisz?

— Zostaw go mnie — odparł. — Idź do domu, a kiedy zaczną ci zadawać pytania, powiedz im to. Powiedz, że zostałem zaproszony na herbatę przed wyjazdem do Montrealu. Potem, przed południem, kiedy byłaś akurat przed domem, przyszedł pan Nagel. Szukał mnie i wysłał go do hangaru. Po jakimś czasie zastanawiałaś się, czy jeszcze tam jest, i przysłaś sprawdzić. Usłyszałaś, jak się kłócimy. Oczekałaś chwilę i odeszłaś, zostawiając nas podczas kłótni.

— Dobrze — powiedziała, marszcząc brwi. — Ale co masz zamiar z nim zrobić?

— Powtórz jeszcze raz, dobrze? — poprosił. — To znaczy, powtórz, co masz powiedzieć, gdyby ktoś cię pytał.

— Nie. Zapamiętam.

— Powtórz, proszę.

— Och... Powiem, że zaprosiłam cię na herbatę, a pan Nagel przyszedł cię szukać. Kazałam mu czekać w hangarze i usłyszałam, jak się kłócicie. Teraz chcę wiedzieć, co z nim zrobisz.

— Wezmę go na twoją łódź i wywiozę.

— To absurdalny pomysł. Na wodzie jest o tej porze dnia bardzo dużo ludzi.

— Poradzę sobie — odparł.

— Ale nie tak. Nie masz go dokąd wywieźć.

— W takim razie, zostawię go tutaj, gdzie nikt go nie zobaczy, i przyjadę po niego później.

— Tutaj? Nie. Nie możesz wymyślić nic lepszego?

— Nie mogę — odparł.

127

— Więc ja wymyślę. Och... — Spojrzała na niego i z przerażeniem zauważyła ten niewyraźny, zamazany obraz. — Nie rozumiesz, w jakim jesteś niebezpieczeństwie?

— Poradzę sobie.

— Twój plan... jest... po prostu idiotyczny. Jeśli cię znajdą z nim, nie masz szans. Na pewno każdy lekarz zorientuje się, jak zginął.

Chcesz, żebym powiedziała ludziom, że odeszłam, kiedy się kłóciliśmy? Pewnie chcesz przysięgać, że zabiłeś go w samoobronie? Cóż, nikt w to nie uwierzy. Nie po tym, jak go udusiłeś.

— Poradzę sobie — powtórzył.

Stał tam, taki wysoki, powolny, niewyraźny.

— Jesteś zupełnym idiotą! — krzyknęła. — Musisz go zabrać.

Podjadę swoim samochodem do drzwi, a ty...

— Nie mogę prowadzić — odparł.

— Masz prawo jazdy. Przecież wiozłeś mnie...

— Teraz nie mogę prowadzić — powiedział. — Mam niesprawną rękę.

— Co to znaczy?

— Moja ręka — wyjaśnił. — Nie mogę nią ruszać.

Dopiero wtedy zauważyła, że ręka zwisa mu bezwładnie z boku.

— Musisz nią poruszać — rzekła. — To tylko blokada psychiczna.

— Nie rozumiem — zdziwił się.

— To tylko twoja wyobraźnia. Możesz nią poruszać.

— Wyciągasz pochopne wnioski — odparł.

— Co?! — krzyknęła. — Nie możesz być tak nieświadomy i głupi. Przyprowadzę tu samochód, a ty go do niego wniesiesz i wywieziesz ciało. Potem musisz go gdzieś zostawić i jechać do domu. Nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć, co się z nim stało. Nie bądź tchórzem! Nie masz dość odwagi, żeby walczyć o własne życie?

— Nie mogę poruszyć ręką — powiedział. — To nie przypadek, że nie mogę uniknąć kary. Idź teraz do domu...

— Ty głupcze! Ty idioto! Ty tchórze! — krzyczała. — Ocknij się wreszcie!

Nie odpowiedział.

— Więc ja cię z tego wyciągnę — postanowiła.

128

Rozdział osiemnasty

Posłuchaj mnie — powiedziała. — Przyprowadzę samochód i razem...

— Nie — przerwał stanowczo. — Nie pozwolę ci się w to wplątać.

— Jeśli mi nie pomożesz, zrobię to sama. Sama zniosę go po schodach i załaduję do samochodu.

— Wracaj do domu — rzekł Donnelly. — Daj mi się tym zająć po

swojemu.

— Nie. Masz jeszcze szansę i musisz ją wykorzystać. Ja pójdę po samochód, a ty znajdź coś, w co można by go było owinąć.

— Na litość boską, zostaw mnie samego! — krzyknął.

— Nie. Nie zostawię cię. Jeśli nie masz dość odwagi, by mi pomóc, zrobię to sama.

— Pomogę ci — rzekł z wysiłkiem. Westchnął bardzo, bardzo głęboko i uniósł głowę. — Nie masz tu jakiegoś kufra? — zapytał.

— Tutaj nie. Chociaż! Jest ta skrzynia.

Spojrzał na miejsce, które wskazała. Pod oknem, w wykuszu stała skrzynia z siedziskiem, obitym wyblakłym, pleśniejącym perkalem. Podeszedł do niej i uniósł wieko.

— Nada się — orzekł. — Ale w środku są jakieś rzeczy, narzędzia i takie tam.

— Wymij je — rzuciła. — Och, spróbuj poruszyć prawą ręką...!

Popatrzył!

Pochyliła się nad skrzynią i wyjęła kielnię, dwa puste opakowania po latarkach, splątany kłęb kabla i liny. Wyrzuciła wszystko na podłogę. Była taka szybka, a on taki wolny.

— Teraz możemy go tu włożyć — powiedziała.

— Ty nie możesz! — rzekł Donnelly z przerażeniem.

— Och tak, mogę!

— Nie wiesz...

— Przenosiłam Rexa, psa Davida. Niosłam go do domu, kiedy przejechał go samochód — powiedziała z dumą i pewnością siebie. — Mogę zrobić wszystko, co trzeba.

— Ale nie to — upierał się.



Odwróciła się, by spojrzeć w stronę Nagela. Był tylko wzgórkim na podłodze przykrytym ciemnozielonym, lnianym obrusem.

— Chodź! — ponaglała. — Musimy się pośpieszyć.

Donnelly odwrócił skrzynię na bok.

— Trzymaj tylko wieko otwarte — nakazał.

Używając jedynie lewej ręki, pociągnął Nagela do skrzyni, wepchnął do środka. Nagel leżał tam na plecach z podkurczonymi kolanami, bo skrzynia była za krótka. Przewrócił skrzynię wiekiem do góry, a ciało zadudniło w niej z łoskotem.

— Sprowadzę samochód — powiedziała Lucia. — Zrób coś z tą cą i butelką whisky. I schowaj narzędzia. Zrób tu porządek.

— Zrobię.

Zbiegła po schodach i otworzyła drzwi. Na dworze, w pełnym słońcu ogarnął ją strach. Ktoś mnie zobaczy, pomyślała. Co mam powiedzieć? Co mam powiedzieć?

Nie mogę biec. Nie mogę oglądać się za siebie. Myśl! Myśl, co im powiesz. Musisz myśleć.

Otworzyła drzwi garażu i wsiadła do samochodu. Myśl! Nie pójdzie ci tak łatwo. Ktoś cię zapyta, dokąd jedziesz. Ktoś przyjdzie do hangaru i zobaczy Marty'ego targającego skrzynię po schodach. Co im powiesz?

Podjechała pod hangar i nie wyłączając silnika, wysiadła. Wiedziałam, że powinnam oszczędzać benzynę, pomyślała. Wiedziałam, że coś się wydarzy...

Otworzyła drzwi i zobaczyła Donnelly'ego w połowie schodów. Owinął skrzynię w płócienny obrus, związał dwa końce jak chustę i trzymał je lewą ręką. Skrzynia zsuwała się przed nim, uderzając lekko o schody.

— To bardzo dobry pomysł! — orzekła zadowolona. — Teraz wsadzimy ją do samochodu.

Nie mogli. Skrzynia była dla niej stanowczo za ciężka, a z niego, bez prawej ręki, też był niewielki pożytek.

— Nie możesz się postarać? — denerwowała się.

— Bóg jeden wie, jak bardzo bym chciał — powiedział.

Stali na trawie przed hangarem ze skrzynią u stóp i nie mogli jej wnieść do samochodu.

— Poczekaj! — krzyknęła. — Sprowadzę Sibyl.

Sibyl siedziała w swojej porządnej, czystej kuchni, czytając gazetę. Słońce wpadało do wnętrza, a budzik z przydziału tykał głośno.

— Sibyl — zwróciła się do niej Lucia. — Pomóż mi, proszę. Muszę włożyć pudło do samochodu, ale jest za ciężkie.

— Tak, psze pani — odparła Sibyl.

— Pan Donnelly zwichnął sobie rękę, ale razem sobie poradzimy, Sibyl.

Było ciężko, ale udało im się. Skrzynia znalazła się na tylnym siedzeniu.

— Dziękuję, Sibyl — powiedziała Lucia. — Panie Donnelly, niech pan lepiej usiądzie ze mną z przodu.

— Mamo!

Stało się. Nagle była tu Bee. Stała przy samochodzie ze świeżo umyтыми włosami, błyszczącymi w słońcu jak srebro.

— Pan Donnelly chciałby pożyczyć ten stary silnik, który znalazłam w hangarze — powiedziała Lucia. — Wydaje mu się, że potrafi go naprawić.

Nie miała kłopotu z wypowiedzeniem tych słów. Nie musiała myśleć. Słowa przyszły same, kiedy ich potrzebowała.

— Ale, mamo, gdzie ty jedziesz?

— Na stację — odparła Lucia.

— Ależ mamo, przecież pani Lloyd zaraz tu będzie...

— Och, zdążę — powiedziała niedbale Lucia.

— Czemu tak, skoro możemy zamówić taksówkę dla pana... Donnelly/ego?...

— Nie, kochanie — ucięła krótko. Włączyła silnik i ruszyła pod-

jazdem w stronę głównej drogi.

— Matko Przenajświętsza! — krzyknął Donnelly. — Nie ma takiej drugiej jak ty na całym świecie.

— Znasz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy zostawić skrzynię?

— Nie znam wcale tej okolicy.

— Ja też nie — przyznała. — Niewiele jeździłam po tym terenie.

Chyba po prostu powinnam jechać przed siebie...

— Tak. A ja będę szukał jakiejś bocznej dróżki albo zatoczki.

Stało się, pomyślała. Wyrwałam go z tego. Jechała drogą powoli, spokojnie, bez zdenerwowania. Słodki wiatr wiał jej w twarz. Samo-

1 01

chody osobowe i ciężarowe toczyły się wolno jeden za drugim, we właściwej kolejności, zupełnie jak procesja.

Stało się. Wyrwałam tego idiotę z otępienia. Sibyl nigdy nic nie powie. Nawet gdyby wiedziała... A może wie. Nie mam pojęcia. Nie-ważne. Tak czy siak, on tu jest.

Był tuż obok, siedział w aucie jadącym w procesji innych samo-chodów. Jak na paradzie... stwierdziła w duchu. Wyrwałam go z tego.

— Powinieneś natychmiast wyjechać do Montrealu — zaczęła.

— Pojadę.

Spojrzała na niego. Nie ufała mu.

— Nie mówisz prawdy — rzekła. — Nie masz zamiaru jechać do Montrealu.

— Tak sobie jednak myślałem... — powiedział potulnie.

Rosło w niej uczucie litości. Był taki bezbronny, taki oddalony. Nie powinien się zamartwiać, pomyślała. Muszę go sprowokować do mówienia.

Była tylko jedna rzecz, o której mogli porozmawiać.

— Dlaczego tam dziś przyszedłeś? — zapytała.

— Sibyl do mnie zadzwoniła. Powiedziała, że jest u was Nagel.

— Dlaczego tak łatwo zaufałeś Sibyl? — zdziwiła się. — Prawie wcale jej nie znasz.

— Taki już jestem — powiedział równie potulnie. — Jest w niej pewien rodzaj mądrości. — Przerwał. — Jest realistką.

Dziwne, że użył tego właśnie słowa. Znów milczał, a jej się to nie spodobało.

— Gdybyś porozmawiał... — zaczęła. — Gdybyśmy o tym porozmawiali...

— Nie mogę rozmawiać — odparł. — Przykro mi, ale nie potrafię.

— Nie możemy tak dalej. Nie możemy udawać, że... tego nie było.

— Mam nadzieję, że o tym zapomnisz. Przynajmniej spróbujesz, dobrze?

— Zapomnieć? — rzuciła oprysdliwie. — Nie zapomnę do końca życia.

132

— Musiałem to zrobić. Zrozum — prosił. — Carlie był dziwnym człowiekiem. Był wielkim przyjacielem tych, których lubił, a nie było ich wielu. Jeśli ktoś kiedyś go skrzywdził, nigdy o tym nie zapominał. Jeszcze niedawno mówił o nauczycielce, którą znał jako chłopiec, kiedyś, w Brooldynie. Kobieta ma już ponad osiemdziesiąt lat, a on wciąż próbuje ją znaleźć, żeby się na niej odegrać. Nigdy by cię nie zostawił

w spokoju.

— Ale ja go przecież nie skrzywdziłam.

— Tak mu się wydawało. Sądził, że próbujesz zniszczyć naszą przyjaźń i stanąć między nim a mną.

Milczeli przez chwilę.

— Były jeszcze inne kwestie — ciągnął. — Pierwszy raz wrócił od was bardzo rozgoryczony. Był urażony.

— Urażony? Ten człowiek?

— Powiedział, że patrzyłaś na niego z pogardą, ty i twoja córka.

Powiedział, że byłyście dla niego opryskliwe. Traktowałyście go jak błoto, które wam się przyczepiło do butów. Tak mi powiedział.

— Bałam się go.

— Ale widocznie tego nie okazywałaś. Tak czy inaczej, on nienawidzi dam z towarzystwa.

— Wiesz dobrze, że nie jestem żadną damą z towarzystwa.

— To jedyne określenie, jakie znał — rzekł Donnelly ponuro, ze smutkiem. — W starym kraju nazywali takich dobrze urodzonymi.

O to mu chodziło. Dla niego kobieta ustawiona, z rodziną i nazwiskiem to dama. W jego mniemaniu taka kobieta zawsze sprzedałaby mężczyznę, żeby tylko nie pozbawiono jej pozycji.

— To był mściwy ignorant.

— Może — westchnął Donnelly. — Zawsze miał żal do rodziców, że nie dali mu odpowiedniego wykształcenia, nie posłali go do college<sup>^</sup>. Kiedy miał czternaście lat, kazali mu pracować z ojcem, który był rzeźnikiem. Przez to był taki zgorzkniały. Był inteligentny. Szkoda,

że nie udało mu się zdobyć wykształcenia.

— Lubieś go?

— Tak — odparł.

— Czemu więc...

— Musiałem to zrobić — przekonywał. — Kiedy już coś sobie ubzdurał, nigdy o tym nie zapominał. Wygadał się. Zrozumiałem, co

mu chodziło po głowie. Chciał nastać na ciebie Eddy"ego i Moe'a. To byłaby najgorsza rzecz, jaka mogłaby ci się w życiu przytrafić.

— Dlaczego? Co by zrobili?

— Nie rozumiałabyś. Nigdy nie spotkałaś się z talami ludźmi i nigdy nie spotkasz.

— Czy to zabójcy? — zapytała nieśmiało, bojąc się zranić jego uczucia, nie mogąc jednocześnie opanować ciekawości.

— Nie — zaprzeczył.

— Więc kim są?

— Nie rozumiałabyś — powtórzył.

— Mógłbyś mi wyjaśnić.

— Nie.

Po dłuższej chwili znów zaczął mówić:

— Po lewej stronie jest dróżka. Co na to powiesz?

Zwolniła i spojrzała na drogę wiodącą w dół, ładną aleję między drzewami stykającymi się koronami. Nie było w pobliżu żadnych bu-dynków ani samochodów.

— Możemy tam spróbować — zgodziła się.

— Nie ma co marnować czasu — zauważył.

— Dlaczego? Czemu tak mówisz?

— Powinnaś wracać do domu — przypomniał.

Dziwne, że to właśnie teraz powiedział, pomyślała przestraszona. Dziwne, że myśli o takich sprawach, kiedy...

Nagel jest tutaj, pomyślała z lękiem. W samochodzie. W skrzyni.

Jechała wzdłuż cichej alei z martwym mężczyzną w samochodzie. Zamordowanym mężczyzną. Jeśli cokolwiek pójdzie źle, to oznacza... Bóg jeden wie, co to oznacza. Nie możemy tego zrobić! To szaleństwo. To się nie uda.

Spojrzała na niego. Odwrócił głowę. Spoglądał na lasek grani-czący z aleją. Co mogłoby się z nim stać, gdyby...

— Donnelly... — powiedziała trochę zbyt głośno. — Musimy o tym porozmawiać. Musimy mieć jakiś plan, wymyślić jakąś historjkę. Powiemy, że to w obronie własnej.

— Och, ja już coś wymyślę — odparł.

— Musimy zeznawać to samo, nie rozumiesz?

— Ty nie musisz nic zeznawać — powiedział. — Nikt nie będzie cię wypytywał w tej sprawie.

1-34

— To niemądre. Coś może się zdarzyć w każdej chwili. Musimy to dokładnie przemyśleć.

— Ja to przemyślę.

— I to od razu! Porucznik Levy był już u mnie w sprawie Darby'ego. Może przyjdź jeszcze raz i znów zadawać pytania. On jest...

Wydaje mi się, że jest inteligentny.

— Porucznik Levy? Z policji?

— Z hrabstwa Horton. A jeśli wejdzie do hangaru? Może tam coś znajdzie... coś, o czym nie pomyśleliśmy...?

— Popatrz! — przerwał jej. — Tam jest maleńkie jeziorko, za zakrętem drogi. Widać je stąd.

Droga była teraz równa, jechali akurat przez niewielką dolinkę. Przyśpieszyła.

— Zwolnij! — powiedział spokojnie. — Przed nami zakręt.

Zza zakrętu wyjechał właśnie samochód terenowy z dwoma żołnierzami w środku.

— Zobaczyli nas! — krzyknęła. — Mogą nas rozpoznać!

— Nie denerwuj się — uspokajał Donnelly. — Cała się trzęsiesz.

— Musimy przyspieszyć!

Silnik się zadławił, a ona krzyknęła.

— Nie! Nie! — błagała zrozpaczona.

Znów się zadławił, zgasł i zapalił. Donnelly pochylił się do przodu.

— Masz zepsuty wskaźnik — stwierdził.

— Wiem.

Samochód zatrzymał się. Przekręciła kluczyk, ale nic się nie stało.

— Pójdę zakręcić korbą — powiedziała.

— To nic nie da — zauważył. — Nie masz paliwa.

— Niech to szlag! — krzyknęła.

— Nie mów tak! — uspokajał. — To do ciebie niepodobne.

— Co zrobimy? Co, na litość boską, możemy teraz zrobić?

— Wszystko w porządku — powiedział. — Nie mogliśmy znaleźć

lepszego miejsca. Teraz się uspokój. Proszę! Weź papierosa!

— Jedzie samochód!

— Niech sobie jedzie. Zobaczą tylko nas dwoje palących papierosy.

— A ta skrzynia?!



— W dzisiejszych czasach ludzie wożą dziwniejsze rzeczy w samochodach.

— Och, nie rozumiesz? Wszyscy ci ludzie mogą powiedzieć, że nas tu widzieli. Kiedy go znajdą...

— Nie znajdą. Zapal papierosa, a ja powiem ci, co zrobimy.

Trzęsę się, pomyślała. Wcześniej się nie trzęsłam. To jest najgorsze, tak tu siedzieć i czekać, aż ktoś nas przyłapie.

— Nie uda nam się — powiedziała.

— Zaraz, zaraz! — upomniał ją. — Posłuchaj, co mam do powiedzenia, dobrze? Uda nam się, jeśli swoją część zadania wykonasz do brze. Musisz się wziąć w garść.

— Co mogę zrobić? Co tu można...?

— Chodź! — rzekł. — Pójdziemy kawałek tą drogą.

— Zostawimy... to?

Wysiadł z samochodu, wyciągnął lewą dłoń w jej stronę. Przyjęła ją i też wysiadła. Wciąż trzymał ją za rękę, kiedy zaczęli iść.

— Posłuchaj teraz, co masz zrobić — powiedział. — Musisz do brze się spisać. Jeśli nie, oboje jesteśmy ugotowani. Musisz dostać się jak najszybciej do domu.

— I zostawić cię z tym? Nie.

— Posłuchaj mnie, dobrze? Twoja córka powiedziała, że ktoś przychodzi do was z wizytą. Pani... — zastanawiał się. — Lloyd.

— Pamiętasz jej nazwisko?

— Mam świetną pamięć. Jeśli nie wrócisz do domu, twoja rodzina będzie się o ciebie martwić. Gdy nie będzie cię zbyt długo, zadzwoni-

nią na policję, żeby cię szukali.

— Och...! — krzyknęła ze złością.

— Przecież tego nie chcesz — ciągnął. — Musisz jak najszybciej dotrzeć do domu. Musisz zrobić tak: Minęliśmy stację benzynową przy głównej drodze, tuż przed zakrętem w tę aleję. To niedaleko. Idź tam i poproś by wezwali taksówkę, która zabierze cię na stację kolejki. Nie mów tam nic o samochodzie. Możesz im tylko zasugerować, że mężczyzna, z którym jechałaś, dziwnie się zachowywał.

— Nie potrafię tak.

— Och, potrafisz — powiedział. — Przypomnij sobie, jak odpowiadałaś córce, szło ci jak z płatka. Dalej, kiedy dotrzesz do domu...

Słuchasz mnie?

136

— Tak.

— Zapomnij tę historyjkę o kłótni. Powiesz im coś innego. Słuchasz, kochanie?

— Tak.

— Sibyl powiedziała ci, że przyszedł Nagel i wysłała go do hangaru, żeby poczekał. Widziałaś już wcześniej Nagela i nie miałaś ochoty się z nim spotkać. Sądziłaś, że to człowiek związany z czarnym rynkiem, więc nie spieszyłaś się, żeby z nim porozmawiać. Miałaś nadzieję, że jeśli będzie długo czekał, znudzi się i sobie pójdzie. Rozumiesz wszystko?

— Tak.

— Teraz w mojej sprawie. Czy naprawdę w tym hangarze był stary silnik?

— Tak.

— Jak najszybciej się go pozbądź. Wyrzuć go do wody. Powiedziałas mi, że mogę zabrać silnik do naprawy. Tak więc po obiedzie, kiedy sądziłaś, że Nagela już nie ma, poszłaś do hangaru, żeby spojrzeć na ten silnik. I, oczywiście, Nagela już nie było. W ogóle się z nim nie widziałaś. Potem przyszedłem ja i zaproponowałaś, że podwiesz mnie na stację. Kiedy jechaliśmy, zapytałaś, gdzie zabieram silnik, a ja powiedziałam ci, że do przystani, a tam zajmie się nim mój przyjaciel. Zapamiętasz?

— Tak — odparła, opierając się w duchu każdemu słowu, które słyszała.

— Wtedy też zwichnąłem sobie rękę, a ty w dobroci serca zaofiarowałaś się zawieźć mnie do przystani. Wskaźnik paliwa w twoim samochodzie jest zepsuty i nie wiedziałaś, że nie masz już benzyny, póki samochód się nie zatrzymał. Kiedy to się stało, uświadomiłaś sobie, że musisz wracać do domu, bo wszyscy będą się o ciebie martwić. Zostałaś mi samochód, żebym zaprowadził go do przystani, i wsiadłaś do taksówki.

— A co z tobą?

— Poczekam chwilę, póki nie odjedziesz, potem pójdę na stację benzynową i zadzwonię do znajomego z Nowego Jorku. On tu przyjedzie i przywiezie mi benzynę. Pomoże mi z tą skrzynią i pojedziemy do Nowego Jorku. Potem wsiadę do wieczornego pociągu do Montre-

alu.

137

- Nie — powiedziała.
- Nie? O co ci chodzi? — zapytał.
- Nie potrafię tak... Jak twoja ręka?
- Lepiej.
- Możesz już nią ruszać?
- Trochę.
- Pokaż — zażądała.

Przestraszyła się, kiedy zaczął się śmiać.

- Co w tym śmiesznego? — oburzyła się.
- Sposób, w jaki do mnie mówisz.
- Przepraszam — odparła chłodno.

— Podoba mi się — przyznał. — Ale nie powinnaś się o mnie martwić. Daję sobie sam radę od bardzo dawna.

- Wiem — odparła.—Ale...

Przypomniała sobie, jaki był w hangarze, bezbronny, bezwolny. Wyciągasz pochopne wnioski, powiedział wtedy.

- Chciałabym zobaczyć, jak ruszasz ręką.
- Cóż, teraz nie mogę — powiedział. — Zdrętwienie czasem powraca, ale generalnie przechodzi.

— A jeśli tego twojego przyjaciela, do którego chcesz zadzwonić, nie ma w domu?

- Mam wielu innych przyjaciół.

— To może trwać wiele godzin, nim ktoś przyjedzie tutaj z Nowego Jorku.

— Cóż. Znajdę miłe, ocienione miejsce do czekania. Mam przy sobie papierosy i butelkę whisky w kieszeni.

— Nie wolno ci pić! — krzyknęła. — Przez to mógłbyś zrobić coś złego, coś głupiego. Nie wolno ci dotknąć whisky!

— Nie wypiję za dużo — uspokajał ją. — Ale kropla dobrej whisky... Pomyślałem, że sama mogłabyś się trochę napić. Jesteś blada. Z głównej drogi nadjeżdżał samochód.

— O Boże, przejedzie obok mojego samochodu! — krzyknęła.

— Niech przejedzie — powiedział Donnelly.

— Ale kiedy zobaczy, że nie ma tam nikogo w środku, może się zatrzymać. Może wysiąść i zajrzeć do skrzyni...

— Ale dlaczego miałby to zrobić, kochanie? Nie zatrzyma się w ogóle. Musisz pamiętać, że nikt inny na świecie nie wie, co jest w tej

skrzyni, i jeśli dobrze wykonasz swoje zadanie, nie ma powodu, by ktokolwiek się dowiedział.

Chciała przystanąć i poczekać, aż samochód przejedzie, ale wziął ją za rękę i prowadził dalej w kierunku głównej drogi. Kiedy samochód zniknął, puścił jej dłoń i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Tutaj mam coś, co może ci się przydać — powiedział i wyjął trzy małe, jasnożółte kapsułki.

— Co to jest?

— To pigułki nasenne — odparł. — Jedna wystarczy. Połknij i będziesz spała smacznie całą noc.

— Bierzesz takie rzeczy?

— Tak.

- To strasznie zły nawyk.
- Nie lubię bezsennych nocy — rzekł.

Włożyła kapsułki do kieszeni sukienki, a on wyjął portfel z drugiej kieszeni marynarki. Otworzył go i opierając o ldepę marynarki, wyjął ze środka kilka banknotów.

- Nie możesz poruszać prawą ręką! — zauważyła.
- Nie masz przy sobie pieniędzy — odparł. — Lepiej to weź.

Nie patrząc na banknoty, włożyła je do kieszeni. Byli już blisko głównej drogi.

- Przyślij mi telegram z Montrealu — powiedziała.
- Dobrze — rzekł. — Nie martw się. Nikt inny na świecie nie wie o Nagelu. Nikt o niego nie zapyta przez dzień lub dwa, bo często gdzieś jeździ. Znalezienie go zajmie jeszcze więcej czasu. Kiedy go znajdą, choć to może się nigdy nie zdarzyć, nie będzie go już w skrzyni. Nikt się nie domyśli, jak to się stało.

Teraz zauważyła wielką, zieloną ciężarówkę jadącą główną drogą-

- Stacja benzynowa jest niedaleko, po lewej stronie — dodał. — Jedź do domu i pamiętaj, co masz powiedzieć, dobrze?
- Nie mogę — orzekła, zatrzymując się nagle. — Po prostu nie mogę. Chyba jestem... zmęczona. Nie mogę dalej iść.

Z bocznej kieszeni wyjął butelkę whisky.

- Musisz jechać do domu — rozkazał. — Sama wiesz, że tak musisz być, prawda, kochanie?

- Tak... — odparła.
- Nie piłem z tej butelki — powiedział nerwowo. — Nikt jej nie

dotykał od czasu, kiedy ty z niej piłaś.

Upiła łyk. Whisky zdała jej się słaba, prawie bez smaku. Piła i piła jeden łyk za drugim.

— Nie powinnaś wypić za dużo — zauważył. — Zrobisz się sen-  
na. To dobra szkocka, prawdziwy McCoy. Wiesz, co kupować, praw-  
da?

— To mojego ojca — skwitowała.

Kiedy wymówiła to słowo, ogarnęło ją zdziwienie. Niemożliwe, żeby piła whisky taty... i to tutaj, pomyślała. To nie może być praw-da. Niemożliwe. Niemożliwe.

— Teraz pojedziesz do domu, tak? — zapytał.

— Tak...

— Uratowałaś mi dziś życie — przyznał. — Zupełnie straciłem  
głowę. Nigdy bym go nie wywiózł, gdyby nie ty.

A ty go dla mnie zabięś, pomyślała. Żeby mnie ratować.

— Po lewej stronie — przypomniał. — To niedaleko.

— Tak... — przytaknęła. — Do widzenia. Bądź... ostrożny, do-  
brze?

— Będę — odparł. — Do zobaczenia i niech cię Bóg błogosławi.

Rozdział dziewiętnasty

Przez okno taksówki widziała już dom. Wracała tak, jak wyjechała, bez kapelusza, w biało-czerwonej, Inianej sukience w kratę. Nie mia-ła ze sobą torebki, pudru, lusterka ani grzebienia. Nie wiedziała, jak dziwnie, okropnie może wyglądać.

Wejście po kilku schodkach na werandę było ponad jej siły. Tak-sówka odjechała, a ona nie poruszyła się.

Otworzyły się drzwi i wybiegła do niej Bee.

— Mamo! — krzyknęła niepewnym głosem. — Mało nie oszala-  
łam ze zmartwienia. Mamo, co ci przyszło do głowy? Pani Lloyd cze-  
kała prawie godzinę...

— Skończyła się nam benzyna — powiedziała Lucia.

— Ale dlaczego w ogóle pojechałaś? Dlaczego pojechałaś z tym mężczyzną?

— Nie mam zamiaru odpowiadać na żadne pytania — ucięła Lucia.

— Dobrze! Pomyśl tylko... jak ja się czułam! Podałam pani Lloyd herbatę... próbowałam z nią rozmawiać — płakała. — Powtarzałam jej, że za chwilę wrócisz. Mówiłam... że pewnie coś się musiało stać z samochodem... I cały czas myślałam, że miałaś wypadek...

— Przykro mi, że się o mnie martwiliście — rzekła Lucia, ruszając w stronę domu. — Teraz jestem zmęczona. Chcę się umyć...

— Mamo, pachniesz alkoholem! Mamo, ty jesteś pijana!

Stała naprzeciw matki z wytrzeszczonymi oczami i łzami na policzkach.

— Nie waż się tak mówić — powiedziała opanowanym tonem Lucia. — Jeśli chcę sobie od czasu do czasu wypić cocktail, to wypiję. Nie waż się mówić, że jestem pijana.

Piłam z butelki, na wiejskiej drodze, pomyślała. Muszę zostać sama.

— Przepuść mnie, proszę — rzuciła. — Chcę trochę odpocząć przed kolacją.

— Jest tu porucznik Levy!

Zostawcie mnie! Zostawcie mnie, powtarzała w myśli. Odczekała chwilę.

— Teraz jestem zbyt zmęczona — stwierdziła. — Poproś, żeby przyszedł jutro.

— Musisz się z nim zobaczyć, mamo — oburzyła się Bee. — To



policjant. Nie możesz go odprawić.

— Oczywiście, że mogę — odparła Lucia. — To nic ważnego.

— Mamo, to wszystko i tak już wygląda dość dziwnie. Kiedy porucznik Levy zapytał mnie, kiedy wrócisz do domu, nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Nie wiedziałam, gdzie jesteś!

— Dlaczego miałabyś zawsze wiedzieć, gdzie jestem?

— Mamo!

To słowo uderzyło w nią jak fala, jak nagły przyptływ. Mamo! Gdzie byłaś? Co ty wyprawiasz? Otwórz drzwi, kiedy pukam. Odpowiadaj, kiedy pytam. Bądź zawsze, w każdej chwili. To nieludzkie... pomyślała.

141

— Dobrze, zobaczę się z porucznikiem — odparła krótko. — Powiedz mu, że za chwilę zejdem.

Ojciec wyszedł na korytarz, kiedy wkroczyła do domu.

— No, moja droga — zaczął. — Trochę się denerwowaliśmy...

— Witaj, ojcze! — zawołała głośno, wesoło i przeszła obok niego.

Ruszyła schodami w górę do swojego pokoju.

Przekręciła Iducz w zamku i spojrzała w lustro.

Sądziła, że jest pognieciona, brudna, blada i jakaś dziwna, ale tak wcale nie było. Włosy miała trochę potargane i pobrudzone policzki, ale ogólnie wyglądała dość porządnie, jak wiejska gospodyni domowa w Inianie sukience.

Umyła się i uczesała. Przebrała się w brązową sukienkę ze sztucznego jedwabiu, z marszczonym dołem i rękawami. Dziwaczna sukienusia, mówił o niej David z niesmakiem. Sama też jej nie lubiła, ale jakie to miało znaczenie? Pomalowała usta mocniej niż zwykle i z jakiegoś niezrozumiałego powodu włożyła naszyjnik z zielonymi kamyczkami.

Chodzi pewnie znów o Teda Darb/ego, pomyślała. Muszę przez to przejść. Tylko że teraz cała sprawa z Darbym wydaje się taka odległa, taka nieważna. Gdyby nie kwestia ojca, pomyślała, od razu powiedziałabym porucznikowi Levy'emu prawdę. Nie było w tym nic na-prawdę strasznego, żadnego poważnego przestępstwa.

Levy wstał, kiedy weszła do salonu. Stał przed nią wysoki, trochę niezdarny, z wielkimi stopami, ogromnym nosem i uszami, ale i z tą łagodną, trochę dystygowaną melancholią na twarzy, która nigdy go nie opuszczała.

— Przykro mi, że panią niepokoję, pani Holley — powiedział. —

Taką mam pracę. Nikt nie lubi takich wizyt.

— Och, nie! — sprostowała szybko Lucia. — Nam pan nie przeszkadza! Proszę zapalić, jeśli ma pan ochotę, poruczniku.

— Nie, dziękuję — rzekł, poczekał, aż ona usiądzie, i sam usiadł.

— Moja gosposia często mi przypomina, jakie ciężkie czasy nastały dla was, kobiet. Większą część dnia zajmuje wam teraz zdobywanie zapasów.

— Cóż, wie pan, ja mam Sibyl — odparła Lucia. — Ona jest cudowna.

— Czy ona zawsze robi zakupy?

142

— Och, czasem jadę ja, ale ona to robi lepiej.

— Moja gosposia mawia, że jeśli chce się coś dostać, trzeba zaopatrywać się w jednym sklepie, gdzie cię już znają.

— Tak, to prawda.

Mógłby wreszcie przejść do sprawy, z którą przyszedł, pomyślała. To się robi nudne.

Doceniała jednak jego próbę wprowadzenia miłej, swobodnej atmosfery. To najbardziej rozsądna rzecz, jaką można zrobić, kiedy chce się kogoś zbić z tropu i skłonić do mówienia. On potrafi rozbroić czołowieka tym spokojnym, cichym głosem i grzecznym uśmiechem. A jak uprzejmie słucha każdego słowa, gdy ktoś mówi. Ale ona była czujna i taka miała zamiar pozostać. Musi zauważyć w jego głosie i sposobie mówienia każdą, nawet najmniejszą zmianę.

Mówił o swojej gosposi, która była Czeszką. Wspaniała kobieta. W wieku dwudziestu pięciu lat została wdową w obcym kraju, z trójką dzieci. Wychowała je i zapewniła dobrą edukację. Teraz dwóch jej synów jest w marynarce, a córka wyszła za mąż.

— Ale wciąż ciężko pracuje — powiedział. — Jedyne, która ją naprawdę denerwuje, to brak mydła. Bardzo mnie za to przepraszała i poprosiła, bym kupował płatki mydlane, kiedy tylko przytrafi mi się okazja. Niestety, nie udało mi się znaleźć żadnego z trzech rodzajów płatków, które wymieniła, mimo mojej ważnej pozycji społecznej. — Uśmiechnął się nieznacznie. — W sklepie zaproponowali mi tylko coś, co się nazywa Silvergło. Sądzi pani, że się nada?

— Cóż... — powiedziała Lucia. — To nie są prawdziwe płatki mydlane, ale piorą dobrze i oczywiście znacznie łatwiej je dostać.

— Silvergło... — powtórzył i sięgnął do kieszeni. Będzie robił notatki, pomyślała z rozbawieniem.

— Czy to pani, pani Holley? — zapytał, wyciągając mały, brudny skrawek papieru.

Nie chciała wziąć kartki w dłoń. Spojrzała na niego, ale nie potrafiła nic wyczytać z twarzy policjanta.

— Mogłaby pani na to spojrzeć, pani Holley? — dodał.

Nie chciała na to spojrzeć. Bała się. Ale to byłby największy z możliwych błędów, pomyślała, gdybym powiedziała, że nie chcę na to spojrzeć...

143

Wzięła kartkę, wciąż patrząc na jego twarz. Z ociąganiem rozłożyła papier. To była jej stara lista zakupów. Pani Lloyd powiedziała jej o liście zakupów, którą znaleziono przy zwłokach Darby'ego. Czy to ta?

A może to tylko pułapka? Może to skomplikowana, subtelna intryga, która ma ją zmusić do mówienia? Ależ on nie może mnie zmusić do mówienia. Kłamać też nie będę. On tego właśnie chce, żebym skłamała i całkiem się zaplątała.

— Och, tak! — powiedziała, udając zaskoczenie. — Gdzie pan to znalazł, poruczniku?

— Znalaziono to pod zwłokami Darby'ego — odparł.

To ma mnie zaskoczyć, pomyślała.

— Na Boga! Na wyspie? — zapytała. — Byliśmy tam na pikniku.

Pewnie mi wypadła.

— Nie sądzę, pani Holley. Wasz piknik miał miejsce prawie dwa tygodnie temu, a ta kartka nie była wypłukana przez deszcz.

— Wygląda, jakby była — orzekła. — Jest bardzo brudna.

— A może mi pani powiedzieć, co tamtego dnia wypisała pani na liście?

— Nie — odparła. — Niektóre rzeczy wpisuję na każdą listę. Pomarańcze, chleb z grubego przemiału...

— Na liście jest podane: „wypróbować Silverglo”. Czy to pani coś mówi, pani Holley?

— Nie, nic — odparła. — Często piszę różne rzeczy.

— Uzyskałem informację, że pierwsza reklama Silverglo ukazała się w gazecie szesnastego, czy to jest w stanie odświeżyć pani pamięć?

— Nie, przykro mi, ale nie.

Zrozumiała, co to znaczyło. Lista nie mogła być napisana wcześniej niż szesnastego, a ciało Teda Darb/ego znalaziono osiemnaste-go-

— Czy potrafi pani wyjaśnić, jak się ta kartka znalazła na wyspie, pani Holley?

— Cóż, niestety nie, poruczniku. Kiedy zrobię zakupy z listy, nie zajmuję się nią więcej, rzucam byle gdzie. Mógł ją zabrać wiatr.

Ponad milę przez wodę, prosto do ciała Darby'ego...

— Albo ktoś ją podniósł — zasugerowała.

— Mógł — odparł grzecznie i czekał, ale ona już nic nie powie-  
działa. — Pani Holley — zaczął po chwili. — Podobno pływała pani  
motorówką wcześniej rano, siedemnastego?

— Nie mam pamięci do dat, poruczniku. To możliwe. Często  
wstaję wcześniej rano. Lubię poranki.

— Czy widziała pani wtedy kogoś na wyspie?

— Nie patrzyłam na wyspę. Przepłynęłam tylko obok.

— Pani Lloyd zeznała, że wcześniej rano, siedemnastego, gdzieś  
między piątą a szóstą widziała dwie kobiety na łódce walczące ze so-  
bą, a przynajmniej tak jej się wydawało. Widziała pani tę łódź z dwie-  
ma kobietami, pani Holley?

Lucia milczała przez chwilę. Może powinnam powiedzieć, że wi-  
działam dwie kobiety w łodzi, pomyślała. To by mi pomogło.

Ale nie mogła tego zrobić. Jej zaskoczenie zmieniało się w zwy-  
czajną złość. Nie można pozwolić, by  
ludzie mówili takie rzeczy, po-  
myślała. Pani Lloyd mówi, co jej ślina na język przyniesie. Nie powin-  
na tak  
robić.

— Gdyby była na wodzie inna łódź — powiedziała — nie mogła-  
bym jej przeoczyć albo przynajmniej bym ją usłyszała. Ale nie było.

Pani Lloyd ma słaby wzrok. Ja zatrzymałam się na chwilę, żeby zapiąć  
ubranie. Może to właśnie zobaczyła.

— Wydaje się bardzo pewna tego, co mówi, pani Holley.

— Ale się myli — odparła Lucia. — Wiem, że nie było takiej łodzi  
z dwiema kobietami. Nie między piątą a szóstą rano. Jestem tego  
pewna.

Spojrzała na twarz Levy"ego i poczuła wyraźnie strach. Był za-  
myślony, cierpliwy, ale ani trochę  
przekonany. Czy on nie rozumie, ja-ka jest pani Lloyd? Jest miła, ale roztrzępana. To jasne, że nie

widziała żadnych kobiet w łodzi, chociaż jest przekonana, że tak było. Ja wiem, że nikogo nie widziała.

Przyszło jej do głowy, że czasem podczas procesu może się coś takiego zdarzyć. A gdyby komuś groziła kara śmierci, a ktoś inny złożyłby takie zeznanie? Gdyby ktoś powiedział... i naprawdę w to wierzył, że widział cię gdzieś, gdzie cię nie było. Może nie mógłbyś udowodnić, że byłeś gdzieś indziej? Może jedyne, co mógłbyś zrobić, to zaprzeczyć.

Przypomniała sobie, jak pewnego dnia, kiedy David był mały, przyszedł ze szkoły z pobladłą twarzą i zmrużonymi ze złości oczyma.

„Panna Jesser powiedziała, że popisałem książkę do geografii Pe-teya... A ja nie popisałem, ale nie chciała mi wierzyć. Nienawidzę jej. Stara skunksica!”

Lucia poszła do szkoły, ale nie zdołała jej przekonać.

„Nie chcę z tego robić wielkiej sprawy — powiedziała panna Jesser. — W końcu to nic poważnego. W wieku Davida dziecko prawie nie rozróżnia prawdy od kłamstwa.”

Lucia nie mogła uspokoić Davida. Falszywie go oskarżono i nigdy nie zdołał się oczyścić. Może już o tym zapomniał, a może nie. Może to przydarza się każdemu dziecku w pewnym wieku, a kiedy dorosnie, czuje się tak jak ona teraz, obawiając się bezpodstawnego oskarżenia z ust policjanta. Oskarżenia, którego nie jest się w stanie obalić.

— Nie było takiej łodzi — dodała.

— Pani Holley — powiedział — rozumie pani, że choćbym nie wiem jak tego nie chciał, moim obowiązkiem jest pilnować prawa...

— Wszystkich przepisów prawa? — zapytała. — Tych dobrych i złych?

— Prawa w tym kraju ustalane są przez ogół ludzi. Nie mogą być złe. Jeśli ludzie uznają, że coś jest dla nich właściwe, na mocy tej decyzji jest to dobre prawo.

Miała być z tego jakaś puenta. Czuła to. Wszystko, o czym mówili, miało dążyć do jakiegoś zakończenia. Ostatnie słowo miało należeć do niego, a Lucia w duszy się temu sprzeciwiała.

— Nieważne, jak bardzo to prawo będzie krzywdzące dla pojedynczego człowieka? — spytała kpiącym tonem.

— Prawo i sprawiedliwość to niekoniecznie to samo, pani Holley. W końcu, tak naprawdę, niewiele wiemy o sprawiedliwości. Potrzebowalibyśmy ludzi znacznie mądrzejszych niż mamy, by sprawiedliwość odpowiadała każdemu człowiekowi z osobna. Mamy tylko zasady, spisane na papierze, zasady dostępne dla wszystkich.

— I sądzi pan, że one są takie wspaniałe?

— Tak — odparł. — Przyzna pani sama, że nawet Bóg nie miałby prawa nagradzać i karać, gdyby nie ujawnił, jakie są jego prawa.

Te słowa ją przeraziły. Sprawżyły, że zamilkła.

146

— Pani Holley — rzeki — podejrzewam, że siedemnastego rano była z panią w łodzi pani córka.

— Moja córka...?

— Darby'ego nie zabito w tym miejscu, gdzie go znaleźliśmy. Tego jesteśmy pewni. Wiemy również, że Darby przebywał w pani hangarze przez jakiś czas. Znaleźliśmy tam jego odciski palców na kilku przedmiotach.

— Każdy tam może wejść. Każdy. No i jest ten Murray...

— Wypuściliśmy Murraya, pani Holley. Jeden z najlepszych adwokatów od spraw kryminalnych z Nowego Jorku przyjechał wczoraj, żeby wziąć jego sprawę. Nie mieliśmy, zresztą, wielu dowodów. Jest już na wolności.

— Ale moja córka? Dlaczego stara się pan ją w to wciągnąć?

— Pani córka próbuje panią chronić, pani Holley. To oczywiste.

Przesłuchałem ją i udzielała mi bardzo wykrętnych odpowiedzi.

— A przed czym miałyby mnie chronić? — zapytała Lucy.

— Pani Holley, moim obowiązkiem jest poinformować panią, że nie musi pani odpowiadać na żadne pytania. Co więcej, muszę panią poinformować, że wszystko, co pani powie, może...

— Niech pan tak nie mówi...! — krzyknęła.

Wstał i stanął przed nią, górując nad jej głową, niebotycznie wysoki, tak wysoki, że nie widziała jego twarzy.

— Pani Holley, mam dowody na to, że Darby był w pani hangarze. Mam również powody przypuszczać, że tam właśnie go zabito, a jego ciało później przewieziono na wyspę. Podejrzewam też, że dziś Donnelly pomagał pani w wywiezieniu z hangaru jakichś przedmiotów, które mogłyby stanowić dla nas dowód pani winy.

— Nie — zaprzeczyła Lucia. — To nieprawda.

— Złożyłem wniosek o nakaz, pani Holley...

— Nakaz? — zdziwiła się. — Dla mnie?

— Z pewnością uzasadnione jest zatrzymanie pani i pani córki na przesłuchanie. Obie ukrywacie informacje.

— Moja córka...?

— Pani córka najwyraźniej kłamie. Powiedziała nam, że Donnelly przyjechał tu zobaczyć się z nią. Dała mi do zrozumienia, że jest nią zauroczony i ma zamiar zdobyć pani przychylność z tego właśnie powodu. Ale dalsze pytania pozwoliły mi wyjaśnić, że ona nic nie wie

o tym mężczyźnie. Nie zna, chociażby, jego imienia ani adresu. Nie pamięta, kiedy i gdzie go poznała.



Potem opowiedziała mi tę historię o Darbym. Stwierdziła, że jeśli kiedykolwiek tu przyjeżdżał, choć nie przyznała, że tak było, to na pewno chciał się z nią zobaczyć. — Przerwał na chwilę. — Od jak dawna zna pani Donnelly'ego, pani Holley?

— Och, niedługo. To nie jest dobry znajomy.

— Ale jak go pani poznała, pani Holley?

— Chyba przedstawił mi go jakiś agent ubezpieczeniowy.

— Czy pani wie, czym on się zajmuje?

— Nie — powiedziała. — Nie wiem.

— Pięć razy był aresztowany za produkcję i handel alkoholem w czasie prohibicji. Obecnie interesuje się nim Wydział do Spraw Przestępstw Gospodarczych. Mamy powody wierzyć, że działa na czarnym rynku, handluje mięsem.

— Ale nie popełnił żadnego prawdziwego przestępstwa, prawda? To znaczy, napadu czy...

— Pani Holley, zaskakuje mnie pani podejście — przyznał Levy.

— Jeśli handel czarnorynkowy nie jest według pani przestępstwem, zwłaszcza podczas wojny...

— Och tak — sprostowała szybko. — Oczywiście, że jest.

— Pani Holley, proszę mi teraz odpowiedzieć, co Donnelly wywiózł z pani hangaru dziś po południu.

Siedziała bez ruchu. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, póki nie westchnęła.

— Silnik. Silnik do łodzi.

— Tak mi powiedziała pani córka — rzekł. — Kiedy ją zapytałem, gdzie pani jest, odpowiedziała, że odwozi pani na stację Donnelly'ego, który zabrał pani silnik do naprawy. Skorzystałem z okazji, żeby sprawdzić w hangarze. Silnik wciąż tam jest.

- Były dwa.
- A czy były właściciel domu zrobić spis inwentaryzacyjny hangaru, pani Holley?
- Tak, tak, ale nie wiem, gdzie on teraz jest. Jak pan chce, później go znajdę...
- Dlaczego zapakowała pani silnik do skrzyni?
- Cóż, tak było wygodniej.

148

To koniec sznura, powiedziała w myśli. Ucieka się tak szybko, jak się da, a potem sznur się zaciska i już nie można biec dalej.

- Gdzie zabrała pani tę skrzynię, pani Holley?
- Cóż, mieliśmy pojechać z nią na przystań, ale skończyła nam się benzyna i wróciłam do domu kolejką.
- Gdzie pani zostawiła Donnelr/ego?
- Na wsi. W jakiejś alei.
- Jak daleko stąd?
- Nie wiem dokładnie.
- Na jakiej stacji wsiadła pani do kolejki?
- To było chyba West Whitehills.
- Kiedy Donnelly ma pani zwrócić samochód?
- Jak najszybciej. To oczywiste.
- Będę musiał przesłuchać Donnelly'ego. Mogłaby mi pani podać jego adres?
- Cóż, nie mam adresu.
- Jak więc się pani z nim kontaktuje, pani Holley?

- Sam się zjawia.
- Czy ktokolwiek z pani rodziny ma jego adres?
- Nie, przykro mi.
- Pani Holley, jestem zdania, że pani i Donnelly usunęliście do-  
wód rzeczowy dotyczący śmierci Darby'ego.
- Nie! Naprawdę nie. Przyrzekam panu, że nie.  
Doszłam do końca sznura, ale nic się nie dzieje, nie pękł, ale też nie dusi mnie.
- Nie przyjmuję do wiadomości pani historyjki z silnikiem, pani  
Holley. Nie udzieliła mi pani też satysfakcjonującej odpowiedzi  
w sprawie listy zakupów znalezionej pod ciałem Darby"ego. Ani pani,  
ani pani córka nie udzieliłyście mi uczciwej odpowiedzi na pytania  
o obecność Darby'ego w waszym hangarze. Będę panią musiał popro-  
sić o udanie się ze mną do biura prokuratora okręgowego.
- Ale... kiedy?
- Natychmiast.
- Ależ przecież jest pora kolacji!
- Przykro mi.
- A... kiedy wrócę? To znaczy, muszę powiedzieć Sibyl, na którą  
przygotować kolację.

149

- Nie wiem, pani Holley.
- Za godzinę?
- Nie liczyłbym na to, pani Holley.
- To znaczy... Sądzi pan, że mogą... mnie zatrzymać.

— To możliwe, pani Holley.

— Myśli pan... że mnie aresztują?

— Możliwe, że prokurator okręgowy uzna za słuszne zatrzymać panią na dalsze przesłuchanie.

— Zatrzymać? W więzieniu?

— To możliwe, pani Holley.

— Nie mogę — rzuciła bezwiednie. — Nie mogę tak po prostu wyjść z domu i iść do więzienia. Nie rozumie pan... Mam dzieci i ojca... Może nie wie pan, że mój mąż jest na morzu, w marynarce?

— Tak, wiem o tym, pani Holley.

— Więc rozumie pan... Rozumie pan, co to by dla nich znaczyło?

Nie mogę... Nie rozumie pan? Nie mogę nie usiąść do kolacji...

Wstała. Splotła dłonie, żeby nie zacząć szarpać go za rękaw.

— Proszę! — powiedziała. — Zna się pan na ludziach, wie pan, że nie zabiłam Teda Darby'ego. Nie chce pan sprowadzić nieszczęścia i hańby... na nas wszystkich...

— Pani Holley, zadaje się pani ze znanym kryminalistą... — rzekł.

— Zadaje się? — powtórzyła, patrząc mu w twarz.

— Tak się mówi — odparł, nie odwracając wzroku.

On myśli, że jesteśmy kochankami, uświadomiła sobie. Wszyscy tak pomyślą. Policja dowie się o tym obiedzie na mieście, o wszystkim.

Ale nikt nie wie nic o Nagelu. Może nigdy się nie dowiedzą. Może jeśli powiem prawdę o Tedzie Darbym, wszystko się skończy. Tylko muszę ostrzec ojca.

— Poruczniku Levy — zaczęła — niech pan mnie zostawi w spokoju do jutra, błagam pana.

— To niemożliwe, pani Holley.

— Jestem... taka zmęczona. Nie mogę logicznie myśleć... Gdybym mogła spokojnie się przespać, jutro... powiedziałabym panu wszystko.

— Co by mi pani powiedziała, pani Holley?

150

— O Tedzie Darbym.

— Więc przyznaje pani, że zna okoliczności jego śmierci?

— Proszę, niech mi pan da czas do jutra rana — błagała.

— To niemożliwe, pani Holley.

— Ale tak musi być — rzekła.

Nie pozwolę, żeby to spadło na ojca jak grom, pomyślała. To i tak będzie dla niego trudne, nawet jeśli mu to przekażę bardzo łagodnie. On nawet nie wie, że ten człowiek, z którym spotkał się w hangarze, to ten straszny Ted Darby, o którym tyle czytał w gazecie. On...

— Pani Holley — ciągnął Levy. — Chyba nie rozumie pani swojego położenia. To bardzo poważna sprawa. Przyznała pani, że zna okoliczności zamordowania Teda Darby'ego...

— To nie było morderstwo.

— Śmierci Darby'ego. Przyznając się do tego, pani Holley, stała się pani podejrzaną.

— Niech pan posłucha! — rzuciła z desperacją i szczerością. — Poruczniku, porozmawiajmy jak ludzie. Wie pan, że nie jestem morderczynią. Powinnam była panu wszystko wcześniej opowiedzieć, ale miałam powód... przynajmniej tak mi się wydawało, żeby tego nie robić. Powiem panu wszystko rano. Bardzo wcześnie, jeśli pan chce.

— Dlaczego nie teraz?

— Potrzebuję snu. Jestem... naprawdę jestem bardzo zmęczona...

Odsunął się, splótł dłonie z tyłu.

— Pani Holley — powiedział po chwili — odłożę to przesłuchanie pani na jutro, jeśli sprowadzi tu pani jeszcze dziś wieczorem Donnell/ego...

Rozdział dwudziesty

Podeszła do okna i przestraszyła się na widok świata skąpanego jeszcze w promieniach słońca. Nawet zwykle wyleniały trawnik był zielony, a prześwitujące, zielone liście na drzewach drżały dziwacznie w nienaturalnym świetle.

Już go nie ma, pomyślała. Jest w pociągu do Montrealu.

151

Ale oczyma wyobraźni widziała go tylko w tej samej alei drzew, gdzie go zostawiła. Stał tam, wysoki, zadbany, z prawą ręką zwisającą bezwolnie wzdłuż boku. Taki jest warunek, pomyślała. Mam go wydać. Mam go tu sprowadzić i wydać policji.

Usłyszała nad sobą kroki, zamykanie drzwi. Ojciec, pomyślała. Bee jest pewnie też na górze. A David? Już prawie pora kolacji.

— Pani Holley? — zwrócił się do niej porucznik Levy grzecznie i spokojnie, zbyt spokojnie.

To śmieszne, że tak czeka, pomyślała z nagłą złością. Mógłby mnie zmusić do mówienia.

— Nie wiem, gdzie jest pan Donnelly — odparła bez emocji.

— Więc obawiam się, że musimy pojechać, pani Holley.

— Nie może pan poczekać, aż zjem kolację?

— Obawiam się, że nie.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. W pokoju robiło się coraz ciemniej. W cieniu twarz porucznika robiła się coraz bledsza, a włosy coraz ciemniejsze.

— Nie sądziłam, że tak się pan zachowa — powiedziała.

Nic nie odparł.

— Dlaczego pan sam nie poszuka pana Donnell<sup>ego</sup>? — zapytała. — Skoro panu tak pilno.

— Próbowałem, ale policja nowojorska straciła go z oczu. Oczywiście, w końcu go znajdą, ale chciałbym się z nim zobaczyć teraz.

— Aresztuje go pan, prawda?

— Chcę go przesłuchać, pani Holley. Jeśli odpowie satysfakcjonująco na moje pytania, nie będzie miał już ze mną problemów.

Był już pięć razy aresztowany, pomyślała Lucia. Nigdy go nie skazali. On wie, jak sobie poradzić. Nie zapytają go o Nagela. Bo niby dla-czego? Jeszcze nikt nie wie, co się stało z Nagelem. Pozostałe sprawy nie stanowią dla niego zagrożenia. Porucznik Levy zapyta go o Teda Darb<sup>ego</sup>, a on z łatwością się oczyści. Na pewno ma alibi na ten wie-czór. Przecież tu go nie było.

A co ze skrzynią? Na pewno już dawno się jej pozbył. Nikt jeszcze nie może wiedzieć o Nagelu. Nie. Marty powie to samo, co ja. To był silnik. On będzie umiał odpowiedzieć na pytania porucznika Le-vy'ego, i to lepiej niż ja. Aresztowano go już pięć razy, a nie udało im się go zatrzymać. On wie, jak sobie radzić.

152

Usłyszała, jak zewnętrzne drzwi do kuchni uderzają o futrynę, a potem głos Davida:

— Cześć, Sibyl! Co z kolacją? — rzucił głośno i wesoło.

— Porucznik Levy rozmawia teraz z twoją matką — odparła spokojnie Sibyl.

— Aha! — powiedział zadowolony. — To łebski facet. Na pewno już rozwiązał tę swoją sprawę... Jest zimna cola?

— Nie, paniczu Davidzie. Nie dostałam.

— No to... — zastanawiał się — może zrobię sobie napój czekoladowy.

- Nie jest dobry na apetyt!
- Mnie apetyt dopisuje zawsze — odparł David.
- Dobrze, zrobię zaraz sama ten napój — rzekła Sibyl.

Do uszu Lucii dobiegły stuknięcia miski stawianej na ladzie kuchennej, odgłos rozbijanego o brzeg miski jajka, wyjmowanie ubijaczki do piany i kręcenie, zacinięcie się i znów kręcenie. David, pomyślała, na pewno siedzi przy stole, zadowolony, że nareszcie jest w domu.

Nie mogę popsuć nastroju Davidowi. Ani żadnemu z nich. Nie mogę pojechać w Czasie kolacji do biura prokuratora okręgowego. A jeśli nie wrócę na noc albo przez kilka dni? Dowiedzą się... wszyscy się dowiedzą, że zadawałam się ze znanym kryminalistą...

Zrobię wszystko, żeby tak się nie stało.

On do tego nie dopuści, jeśli przyjedzie. Będzie wiedział, jak odpowiadać na pytania porucznika Levy'ego i prokuratora okręgowego. On będzie wiedział, jak mnie z tego wypłatać, jeśli przyjedzie. Dla niego to będzie najważniejsze.

- Pani Holley, muszę usłyszeć, co pani postanowiła — odezwał się Levy.

Ubijaczka do jajek przestała kołatać. Otworzyły się, a potem zamknęły drzwi do piekarnika.

- Tak... — powiedziała i wyszła z pokoju.

Przeszła przez korytarz do kuchni.

- David, witaj, kochany! — zawołała po chwili. — Sibyl, mogłabyś przyjść na chwilę do salonu?

- Teraz Sibyl będzie na widelcu? — zapytał David. — Uważaj, co mówisz, Sibyl!

Sibyl uśmiechnęła się ciepło i poszła za Lucią do salonu.

1 CO

- Sibyl — zwróciła się do niej Lucia — znasz może numer telefonu do pana Donnelh/ego?

Sibyl spojrzała jej w oczy. Jeśli powie nie, to będzie przeznaczenie.



— Tak, psze pani — odparła Sibyl.

— Niech pani do niego teraz zadzwoni — rzekł Levy. — I powie, że pani Holley chciałaby, żeby przyjechał dziś wieczorem, tak szybko, jak to możliwe. Niech pani o mnie nic nie wspomina.

— Dobrze, psze pana — zgodziła się Sibyl.

Telefon stał w korytarzu na małym stoliku, tuż przy drzwiach do salonu. Oboje widzieli, jak Sibyl siada na krześle i wykręca numer. Wyraz twarzy miała opanowany i smutny, a wzrok utkwiony w tarczy. Wykręca inny numer, pomyślała Lucia. Lubi Mart/ego i wie, że to pułapka.

— Halo? — zaczęła Sibyl. — Mogę mówić z panem Donnellym?

... A kiedy się go pan spodziewa? ... Więc proszę mu przekazać, że dzwoniła Sibyl, żeby się spotkał z naszą panią, dotarł tu jeszcze dziś wieczorem, jak najszybciej. Dziękuję panu.

— Nie ma go w domu, psze pani — powiedziała, wstając. — Zostawiłam wiadomość.

— Komu? — zapytał Levy.

— Nie wiem, kto to był, psze pana.

— Proszę mi podać ten numer — rozkazał Levy, a Sibyl powiedziała na głos liczby, które porucznik wpisał do notesu.

To jakiś inny numer, pomyślała Lucia. Sibyl nie zrobiłaby tego Mart/emu. Zresztą i tak już go nie ma. Jest już w pociągu do Montre-alu. Nie przyjedzie tu. Już wyjechał.

— Dziękuję — rzekł Levy, wkładając notes z powrotem do kieszeni. — Więc zobaczymy się jutro, pani Holley. Dobranoc!

— Dobranoc! — odparła Lucia.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Lucia popędziła do kuchni, ledwie łapiąc oddech z emocji. Chciała usłyszeć, co Sibyl ma do powiedzenia.

— Sibyl...?

— Tak, psze pani?

Napotkała na nieodgadnione, spokojne, ponure i smutne oczy Si-był. — Sibyl... sądzisz, że on przyjedzie?

154

— Zostawiłam mu wiadomość, psze pani.

Ale naprawdę? A może tylko udawałaś? Lubiłaś go, zastanawiała się Lucia. Naprawdę wydałabyś go... policji?

Stała, wpatrując się w Sibyl, ale ta nie odgadła jej pytania. Zresztą, jego i tak nie ma. Jest w pociągu do Montrealu.

— Mam zadzwonić na wszystkich, psze pani?

— Chyba tak — odparła Lucia.

Pomyślała, że Sibyl uwielbia dzwonić w gongi wiszące w przedpo-koju, cztery gongi związane razem czerwoną, jedwabną wstążką, sta-roć należącą jeszcze do matki Lucii. David i Bee uwielbiali je w dzie-ciństwie. Ich dźwięk stanowił część życia rodzinnego, więc przywie-ziono je do tego domu.

Zachodzące słońce odbijało się złotą poświatą od szyby fronto-wych drzwi, ale światło nie sięgało Sibyl. Ona stała w cieniu z maleń-kim patyczkiem owiniętym na końcu materiałem. Uderzyła w najniż-szy gong o najgłębszym dźwięku, a potem coraz wyżej, aż do czwar-tego i znów w dół. Potem znów w górę. Dźwięki gongów rozchodziły się po domu. Stary pan Harper, jakby usłyszał magiczną melodię, na-tychmiast wyszedł ze swego pokoju, potem otworzył drzwi David, a zanim zeszli na dół, na schodach pojawiła się też Bee.

Chciałabym, żeby był tu Tom, pomyślała, buntując się w myślach Lucia. Chcę, żebyśmy byli tu wszyscy, bezpieczni. Jej życzenie nie mo-gło się spełnić. Bunt przeciw niebiosom, samemu życiu był daremny. Wiedziała o tym. Ale chciała walczyć, próbować odwrócić falę przy-pływu, która obmywała już ich drzwi.

Czuła, że może zrobić wszystko. Mogła siedzieć przy stole, nawet zjeść odrobinę. Na tym musi się skończyć jej męka.

O dziewiątej, obiecywała sobie w duchu. Powiem, że jestem zmę-czona i pójdę na górę. Wezmę jedną z tych pigułek na sen.

Bee i David zachowywali się dziwnie. Zauważyła to od razu. Wy-raźnie mieli do niej pretensje. Niech sobie mają, pomyślała. Potem im przejdzie. Ojciec mówił, a ona odpowiadała. Jego chłodna uprzej-mość koła jej nerwy. Nigdy jej nie potępił. Na pewno zauważył jej dziwne zachowanie ostatnio, ale je ignorował. Była jego córką, ideal-ną żoną i matką, mądrą i zapobiegliwą gospodynią domu. Najgorsze, co mógł o niej powiedzieć, to że czasem nie potrafiła właściwie ocenić sytuacji.

-L \ J KJ

Ale jej mąż i dzieci nie uważały, że Lucia jest poza wszelką krytyką. Należała do nich i cokolwiek zrobiła, dotyczyło wszystkich, ich du-my, dobrego imienia. To wszystko było w jej rękach. Ofiarowali jej miłość i poczucie bezpieczeństwa, wikt i opierunek, ale w zamian musiała być taka, jaką chcieli ją widzieć.

Po kolacji wszyscy poszli do salonu. Bee usiadła przy biurku, żeby napisać list. David wziął tygodnik naukowy, a pan Harper zaproponował grę w karty. Było dopiero chwilę po ósmej, ale Lucia nie mogła już wytrzymać wyznaczonego samej sobie limitu czasu do dziewiątej.

— Tato — zwróciła się do ojca — jeśli nie masz nic przeciwko, napiszę tylko do Toma i położę się spać.

— Bardzo dobry pomysł! — odparł. — Chcesz coś do czytania, moja droga? Mam tę książkę z biblioteki, bardzo wesołą, naprawdę ciekawą. Jest o pewnej rodzinie ze starego miasteczka w Anglii...

— Na pewno mi się spodoba, tato, ale chyba dziś wieczorem nie będę czytać. Położę się spać. Dobranoc, tato. Dobranoc, dzieci.

David wstał i pocałował ją w policzek, trochę oschle, ale przynajmniej on ją akceptował.

— Dobranoc, mamó — burknęła Bee, nie wstając nawet od biurka.

Jesteś nieuprzejma, pomyślała Lucia, ale to chyba dlatego, że tobie jest trudniej, znacznie trudniej niż Davidowi. On pewnie tylko sądzi, że zachowuję się niemądrze i szamoczę się, ale ty rozumiesz, że jest w tym coś więcej, coś strasznego, i boisz się. Przykro mi...

Musiała jak najszybciej, póki jeszcze może, napisać list do Toma. W pokoju było cicho, świeciła lampa, a przez otwarte okno wpadał lekki, słony wiatr.

„Drogi Tomie!”

Miała wrażenie, że coś poruszyło się za zasłoną.

Drogi Tomie! Teraz o pogodzie... Drogi Tomie. Och, Tomie, przybądź! Bądź tu ze mną. Przypomnij mi, jaki jesteś, niech na ciebie popatrzę. Niech cię poczuję. Choć na chwilę. Nie powinieneś, nie wolno ci być tak daleko, że wydajesz mi się nierealny.

Nie było w niej już uczuć, do nikogo. Chciała tylko zasnąć, jak najszybciej. W głębi sekretarzyka znalazła

złożony stary list do Toma, który kiedyś wydawał jej się nieodpowiedni i nie wysłała go. Przepisała go prawie bez zmian. Były w nim szczegóły dnia codziennego,

156

wspomnienia z dnia, który dawno temu spędzili w Jones Beach, kiedy dzieci były jeszcze małe. To był szczególny dzień, bardzo szczęśliwy, ale teraz wspomnienia nie wzbudziły w niej żadnych uczuć. Ci szczęśliwi, młodzi ludzie, Tom i Lucia, byli teraz jedynie kolorowymi, małymi laleczkami.

Zaadresowała kopertę i postawiła przy zdjęciu Toma, gdzie co wieczór stawiała kolejna koperta. Wcześniej już owinęła żółte kapsułki w papierową chustkę i włożyła je do szuflady biurka. Wyjęła teraz jedną i połknęła, popijając szklanką wody. Nawet nie wiem, co to jest, pomyślała. Nie wiem, jak to na mnie podziała.

Ale to nie mogło jej zaszkodzić. Nie bała się czegoś, co dostała od niego. Rozebrała się, wykąpała w pośpiechu, bojąc się, że sen może ją w każdej chwili zmorzyć. Może spaść na mnie nagle. Mogę zasnąć by-le gdzie, a rano znajdą mnie na podłodze. Ciekawe, jak to długo potrwa. Może będą mieli kłopot z obudzeniem mnie rano?

Martwiła się tym, że będzie dziwnie otumaniona nad ranem. Zwłaszcza że trzeba opowiedzieć tacie o Tedzie. Ale teraz tak naprawdę nic nie miało znaczenia, prócz przetrwania tej nocy, przespania jej bez świadomości. Nie ma powodu, bym leżała, nie mogąc zasnąć. Nic już teraz nie mogę zrobić. Pozwoliłam Sibyl przekazać tę wiadomość. Ale on nie przyjedzie. Jest w drodze do Montrealu.

Weszła do łóżka i położyła się, ułożyła na dwóch poduszkach i nie zgasiła lampy. Wzięła książkę, ale to nic nie pomogło. Co jest z tą pi-gułką? Niecierpliwiła się. Dlaczego nie działa? Dam jej jeszcze dwa-dzieścia minut, a potem, jeśli nic nie poczuje, wezmę drugą.

Zamknęła oczy, a w jej głowie zaczął powstawać obraz twarzy. Przyglądała jej się z zaciekawieniem. To była znajoma twarz, koścista, z binoklami i afektowanym uśmiechem. Kto to jest? Powinam wiedzieć, pomyślała. Ależ, tak, tak. To panna Priest, nasza nauczycielka angielskiego. Nie słyszałam, żeby zmarła. Cóż, może pojawiła się, żeby mi przekazać wiadomość?

— Panno Priest? — zapytała potulnie.

Nikt nie odpowiedział. Lucia westchnęła i zsunęła płasko poduszki, wyciągnęła nogi, odprężyła się. Panna Priest, pomyślała, próbując sobie coś przypomnieć. Chyba coś o szkole. Nieważne, czy już śpię, czy nie, pomyślała. Jestem odprężona i niczym się nie martwię.

157

Sibyl szeptała jej do ucha, sycząc.

— Śpię! — rzuciła Lucia ze złością. — Zostaw mnie!

Psst, psst, psst. Pani Holley.

— Zostaw mnie, Sibyl.

— Pani Holley, on tu jest, psze pani. Niech się pani pośpieszy.

Holley. Tutaj. Pośpiesz się. Psst, psy, psst.

Sibyl położyła jej mokrą, zimną szmatkę na czole, a potem rozłożyła ją na oczy.

— A ty znowu! — krzyknęła Lucia.

Otworzyła oczy i usiadła.

— Musi się pani pośpieszyć. On tu jest.

— Nie mogę się pośpieszyć, Sibyl. Wzięłam tabletkę. Spałam.

— Pomogę pani.

To było okropne uczucie, była jak z ołowiu, nie wiedziała, co się dzieje. Było jej wszystko jedno. Usiadła na krześle, a Sibyl włożyła jej pończochy, pantofle i upięła włosy.

— Która jest godzina, Sibyl? — zapytała.

— Prawie druga, psze pani.

Lucia zaczęła się żalić. — Położyłam się około dziewiątej — tłumaczyła. — Nie wyspałam się...

— Później się pani wyśpi, psze pani.

Przeraził ją słabo oświetlony korytarz. Cofnęła się z przestraszonym, myśląc o tym, że jedne z tych zamkniętych drzwi mogłyby się otworzyć. Ale Sibyl wzięła ją za rękę i sprowadziła po schodach. Scho-dziła powoli, jakby miała drewniane stopy i trzymała się kurczowo Si-byl. Przeszły przez ciemną kuchnię na ganek za tylnym wyjściem. Było ciemno jak w norze.

— Pada! — szepnęła.

— Tylko trochę, psze pani — odparła szeptem Sibyl. — Teraz mu-

simy być bardzo cicho.

Na podjeździe poruszał się mężczyzna. Lucia zauważyła słaby odbłask jego płaszcza przeciwdeszczowego, kiedy je mijał.

— Teraz! — szepnęła Sibyl.

Ruszyły niezbyt szybkim krokiem przez trawnik w stronę hangaru. Sibyl otworzyła drzwi i weszły do równie ciemnego wnętrza. Było zimno i pachniało stęchlizną.

— Tędy, psze pani — powiedziała Sibyl.

158

Otworzyła drzwi prowadzące do schowka bez okna. Oślepiało je światło zwisającej z sufitu żarówki bez klosza. Był tam.

To nie był sen. Nie czuła już ołowiu, nie była śpiąca. On wyglądał nieskazitelnie elegancko w swoim ciemnym garniturze i krawacie. Ramię miał na temblaku. Nie był już niezdecydowany, ale ostry, wyrażny. Był jej zupełnie obcy. Na jego widok poczuła chłodny strach.

Ten jasno oświetlony schowek bez okna był pułapką, w którą go zwabiła, a teraz stała tu zamknięta razem z nim. Tego spotkania obawiała się najbardziej na świecie.

— Nie niepokoiłbym cię — rzekł — ale złamałem sobie rękę.

— Złamałeś? — zdziwiła się.

— Złamałem — powtórzył przepaszająco. — Gdyby nie to, wystawiłbym ci to z liścikiem i wyjaśnieniem. Ale teraz, niestety, nie mogę pisać.

— Nastawiono ci ramię?

— Na to przyjdzie czas później. Spójrz, proszę, na półkę.

— Nie możesz tak chodzić! To musi boleć... strasznie.

— Nie myślę o tym — powiedział. — Nie martw się. Później ktoś się mną zajmie. Popatrz teraz na półkę.

Ale ona utkwiała wzrok w jego twarzy, która miała dziwnie wesoły wyraz.

— Popatrz! — zawołał. — Oto listy twojej córki, co do jednego.

Wziął z półki niewielki plik z kopertami, przewiązany gumką.

— Nie będziesz się już musiała nimi martwić — rzekł. — A tutaj... spójrz, dobrze? To twoja biżuteria. — Uśmiechnął się nieznaczą-

nie. — Nie jest taka wspaniała, jak sądziłem.

— Martin... — zaczęła.

Tama puszczała. Zbierała się wielka fala, która miała ją zabrać.

— Martin, złamałeś rękę — powiedziała. — Musisz szybko uciekać.

— Nie ma pośpiechu.

— Ależ tak! Musisz się śpieszyć. Jest tu policjant...

— Tylko patroluje. Zauważyłem go wcześniej i podszedłem ostrożnie, żeby mnie nie zauważył, kiedy pukałem do okna i czekałem, aż wyjdzie Sibyl. i

— Martin... zabiorę cię łodzią dalej na nabrzeże. Pośpiesz się! Musisz się pośpieszyć! Policjant może tu przyjść.

159

— On nie ma nic do mnie.

— Ale on tu po to przyszedł! Zabiorę cię stąd łodzią. Jakoś cię stąd wywiozę.

— Ten policjant przecież mnie nie szuka.

— Ależ, Martin! Porucznik Levy wie o tej wiadomości...

— Jakiej wiadomości?

On nie wie, pomyślała. A kiedy się dowie...

— Jaka to była wiadomość? — zapytał. — Powiedz prawdę.

Patrzył na nią, mrużąc oczy, bardzo uważnie, jakby się zastanawiał. Nie mogła mówić, ale nie mogła też odwrócić od niego wzroku.

— Wysłałaś mi wiadomość? — zapytał. — Jaką?

Zaczekał chwilę.

— Więc to tak? — zrozumiał. — Wydałaś mnie.

— Martin...

Westchnął przeciągle. — No, cóż... — powiedział. — O to właśnie chodziło biednemu Nagelowi.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nie rozumiała słów. Rozpoznawała tylko ton jego głosu, w którym nie było goryczy i żalu.

— Nie mogłaś nic na to poradzić — powiedział. — Levy pewnie cię naciskał, prawda?

— Był tu w sprawie Teda Darb/ego — wyjaśniała. — Nie wie o niczym innym. Wie tylko, że zabraliśmy coś z hangaru i podejrzewa, że to dowód w sprawie Teda. Tylko to. To nie może... ci zaszkodzić. Nie powiedziałabym... wiesz, żebym nie powiedziała... Nigdy bym nie powiedziała o tym drugim. Nigdy!

— Biedna dziewczyno — powiedział — nie mogłaś zrobić inaczej. O to chodziło Nagelowi. Kobieta taka jak ty zawsze musi najpierw myśleć o swojej rodzinie i zachowaniu dobrego imienia.

— Nie. Nie powiedziałam o tym drugim. Nigdy bym cię nie wydała. Nigdy!

— Oczywiście, wierzę ci — odparł.

— Nie wierzysz. Widzę, że mi nie wierzysz. Myślisz...

160

— Posłuchaj! Nie zapomniałem, że pomogłaś mi go stąd wywieźć w tej skrzyni. Nie zapomniałem, jaka byłaś odważna i twarda, kiedy odpowiadałaś córce bez zastanowienia. Byłaś dla mnie dobra.



- Nie — zaprzeczyła. — Nie byłam.
- Cóż. Mnie to wystarczy — odparł z odrobiną dziwnej wesołości. — Usiądź, dobrze? Jest kilka spraw...
- Nie! Musisz stąd uciekać... natychmiast... w łodzi.
- Będziesz musiała mnie wysłuchać, moja biedna mała, bo ja już zdecydowałem — rzekł stanowczo.
- Musisz uciekać!
- Nie ma tu krzesła — zauważył, rozglądając się po pomieszczeniu. — Więc powiem szybko. Nikt nigdy nie dowie się, że Nagel był w tej skrzyni, a skrzynia została spalona na popiół. Możesz tylko powiedzieć, że nie wiesz, co miałem w tej skrzyni i gdzie to zabrałem.
- To gdzie jest Nagel?
- Lepiej dla ciebie, żebyś tego nie wiedziała. Zresztą, jest daleko stąd i nikt prócz mnie, ciebie i Sibyl nie wie, że on był w tym hangarze. Twój samochód jest w warsztacie przy stacji. Wysłałem chłopaka, żeby go odwiózł. Nic cię nie wiąże ze sprawą Nagela.
- A co z tobą? Co ty masz zamiar zrobić?
- Nie wywinę się — powiedział — jeśli gliny mnie tu szukają.
- Możesz uciec! Zabiorę cię łodzią.
- Nie. Nie wywinę się i wiedziałem o tym od początku.
- Martin, nawet jeśli cię dziś złapią, zapytają cię tylko o sprawę Darby'ego. Nie wiedzą o Nagelu.
- Wyjął paczkę papierosów i wytrząsnął jeden na dłoń.
- Możesz mi przypalić? Trudno mi się...
- Nie idziesz jeszcze?

— Kilka machów... — rzucił przepraszająco. — Na pocieszenie.

Zapaliła zapałkę i wyciągnęła przed siebie.

— Martin, nie zachowujesz się rozsądnie. Możesz uciec. Jeśli cię zabiorę stąd łodzią...

— Nie wsiądę z tobą do łodzi — odparł.

— Więc idź drogą. Będziemy patrzeć, Sibyl i ja. Kiedy policjant będzie po drugiej stronie drogi, uciekniesz.

— Jasne! — mruknął nieprzytomnie, zaciągając się papierosem.

— Martin! — krzyknęła. — Coś sobie ubzdurales! Coś głupiego!

161

— Życie za życie — odparł. — To jedyne wyjście.

— Nie musi tak być... póki się nie poddasz. Martin, nie masz dość odwagi, by walczyć o własne życie?

— Są rzeczy, z którymi nie można walczyć — powiedział. — Carlie i ja byliśmy przyjaciółmi przez blisko dwadzieścia lat. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że mogę mu coś takiego zrobić. Wyglądał na zaskoczonego, jakby...

— Przestań! Przestań tak mówić! Ty... — Zamilkła przerażona wyrazem jego twarzy, a właściwie brakiem wyrazu. — Nie bądź głupi! Weź się w garść. Musisz walczyć o życie.

— I jakie to byłoby życie? Ani chwili spokoju, ani w dzień, ani w nocy. Nie mógłbym położyć głowy na poduszce, nie widząc twarzy Carliego...

— Zamknij się — rzuciła z wściekłością. — Zrobięś to dla mnie.

— To tak, jakbym to zrobił dla siebie — odparł. — Nie w tym rzecz.

— Ocknij się! Możesz uciec... jeśli się otrząśniesz.

Patrzył na nią z uśmiechem.

— Przestań się uśmiechać! — krzyknęła. — Nie ma się tu z czego śmiać. Na litość boską, weźmiesz się w garść i zaczniesz myśleć?

— Dobrze — zgodził się posłusznie.

— Pojedziesz do Montrealu?

— Spróbuję.

— Nie mów tak. Nie myśl tak. Mów, że pojedziesz do Montrealu.

— Pojadę — przytaknął.

— Nie ufam ci! Coś sobie wymyśliłeś. Przyszło ci to do głowy, bo zostawiłam... bo musiałam przekazać ci tę wiadomość... a ty sądzisz, że to przeznaczenie czy coś w tym stylu.

— Nie wierzę w przeznaczenie — powiedział.

Milczała. Z wysiłkiem i wściekłością próbowała znaleźć odpowiednie słowa, by do niego dotrzeć, by go poruszyć.

— Martin — zaczęła — do tej pory szło ci tak dobrze. Spaliłeś skrzynię, załatwiłeś... wszystko. Nie rozczulaj się teraz, kiedy najgorsze już za tobą.

— Och, nie rozczulam się — odpowiedział. — Nie martw się, moja droga.

162

— Martin, chyba nie... nie możesz... Nie wierzysz chyba w to, co powiedział Nagel...?

— Nie.

Wyciągniętą przed siebie ręką opierała się o rurę. Położyła dłoń na jej dłoni.

— Do widzenia — powiedziała.

— Martin...

Ale on już nacisnął klamkę i wszedł do ciemnego pomieszczenia za drzwiami. Ruszyła za nim po omacku, gubiąc się w ciemności. Drzwi wejściowe cicho się zamknęły.

— Sibyl? — zawołała gwałtownie.

— Tak, psze pani?

— Powinnyśmy...

Powinnyśmy co? Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. Na dwo-rze zrobiło się jaśniej. Donnelly szedł szybkim krokiem przez trawnik w kierunku drogi. Po chwili jakaś latarka zatoczyła krąg, a Lucia skur-czyła się pod ścianą domu.

Teraz będzie słycać krzyk. I strzał.

Znów mignęła latarka, a Lucia zauważyła w świetle karłowate krzaki, które jakby płynęły razem ze światłem latarki. Fale pluskały ci-cho, rozbijając się o hangar, deszcz zdawał się szeptać.

— Teraz, psze pani — rzuciła Sibyl wprost do jej ucha.

Okropnie się czuła, przemierzając ciemną, otwartą przestrzeń.

Obawiała się, że kiedy padnie na nie światło latarki, zostaną przez nie sparaliżowane i staną w miejscu.

Czuła się niepewnie, idąc po schodach. Bała się, że drzwi się otworzą i usłyszy wołający ją głos.

— Pomogę pani wejść do łóżka.

— Nie, dziękuję, Sibyl. Nie, dziękuję.

Jej własny, oświetlony światłem lampy pokój również nie był bez-pieczny. W każdej chwili ktoś mógł zapukać do drzwi, otworzyć je. Rozbierała się szybko i beztadnie. Wrzuciła mokre ubrania do szafy, włożyła piżamę i położyła się do łóżka.

Leżała bez ruchu i czekała na odgłos strzałów i kroków dudnią-cych po schodach.

Obudziła się wśród szarej poświaty i spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej. Za wcześniej, powiedziała sobie w duchu i zmarszczyła brwi. Za wcześniej na co? Coś ważnego. Za wcześniej...

Niech pan przyjdzie jutro nawet bardzo wcześniej rano. Tak powiedziała porucznikowi Levy'emu. Teraz było jutro rano. Muszę porozmawiać z ojcem, pomyślała, ale jeszcze nie teraz. Mogę jeszcze trochę pospać.

Miała sen, sen o Sibyl. Mieszkała ona w maleńkim szałasie na granicy bagien. Szeryf i jego ludzie chcieli aresztować jej męża. To nic takiego, bo Lucia wiedziała, że to sen. Bagno ze snu było porośnięte wysokimi, ciemnymi drzewami, obrosniętymi girlandami dziwnego, białego mchu, który szeleścił jak papier. Ludzie szeryfa sprowadzili psy gończe i weszli w bagno porośnięte dżunglą drzew, chlapiąc głośno. Teraz ich nie widziała, ale psy zaczęły wyć, a jej krew zastygła w żyłach.

Ustyszała wysoki, świszczący gwizd. To bazooka! Och, Tom, uważaj! Teraz wiedziała, że to Tom uciekał przez mroczne bagna, ścigany przez psy, ze złamaną nogą. Próbowwała do niego biec, ale nie mogła się ruszyć. Próbowwała go wołać, ale głos uwiązł jej w gardle. Wydobyła ciche westchnienie, które ją obudziło.

W pokoju była ta sama, szara poświata. W domu panowała cisza. Na zegarku była siódma. Muszę obudzić ojca, pomyślała i wstała. Zakręciło jej się w głowie i czuła, że wszystko wokół się obraca. Ta fala ogarniała ją, idąc w górę, od stóp do głowy. Upadła z powrotem na łóżko, które uniosło się ponad podłogą i kręciło się w wielkim wirze.

Kiedy przestało się obracać, bała się poruszyć, żeby wszystko nie zaczęło się od początku. Było jej niedobrze i czuła się zbyt słaba, by podnieść głowę. Nie mogę porozmawiać z ojcem, pomyślała. Nie mogę wstać. Będą musieli zostawić mnie na razie w spokoju, póki mi to nie przejdzie.

Ustyszała pukanie do drzwi i do środka weszła Sibyl z tacą. Postawiła ją i podeszła do łóżka. Pomogła Lucii położyć się na poduszkach i porządnie przykryła ją kołdrą.

— Pomyślałam, że chciałyby pani zjeść śniadanie, psze pani.

— Sibyl... Słyszałaś już coś?

164

I

— Nie, psze pani.

— A zaglądałaś do gazety?

- Tak, psze pani. Nic tam nie ma.
- Sibyl, chciałabym trochę odpocząć.

Sibyl nalała jej filiżankę kawy.

- Powiedz wszystkim, że jestem zmęczona i że chciałabym pole-  
żeć do obiadu... dopilnuj tylko, żeby mi nikt nie przeszkadzał...
- Powiem im, psze pani — w głosie Sibyl nie było nadziei.
- Nie możesz tyle dla mnie zrobić? — spytała, prawie płacząc.
- Powiem im, psze pani. Tylko tyle mogę zrobić — odparła Sibyl.

W tonie jej głosu nie było współczucia, a jej twarz nie wyrażała zupełnie nic. Po policzkach Lucii płynęły łzy, kiedy piła kawę. Sibyl jest zupełnie bez serca, pomyślała. Gdyby chciała, mogłaby dopilnować, żeby miała trochę ciszy i spokoju.

Kawa sprawiła, że poczuła się lepiej. Nie, pomyślała. Sibyl nie jest bez serca. Jest realistką. To wszystko. Ona wie, że muszę załatwić pa-rę spraw. Polezę tutaj, póki nie przyjdzie ten Levy. Poczekam sobie, aż nie rozmówię się z ojcem. Może poczekać. To mu dobrze zrobi.

Wypiła dwie filiżanki kawy i zapaliła papierosa. Był dziwnie cierp-ki, więc go zgasiła. Naprawdę, nie czuję się dobrze, pomyślała. Chyba jestem na granicy załamania. A właściwie, co to jest załamanie? Ciot-ka Agnes miała załamanie nerwowe. Wielu ludzi to ma. Może to wła-śnie to, kiedy ciało jest słabe, zmęczone, a umysł nie chce myśleć ani czuć. Tak się czują chore zwierzęta, pomyślała. Kiedy owczarek collie Toma był chory, mimo bólu machał ogonem, kiedy Tom do niego mówił. Zawsze sądziłam, że robił to niechętnie. Pod koniec nie otwie-rał nawet oczu, tylko uderzał jeden raz ogonem. Pewnie czuł, że mu-si, dla Toma. Zawsze uważałam, że nie znosił, kiedy Tom klepał go po głowie i mówił: „Dzielny z ciebie staruszek, co, Max? Dzielny staru-szek...” To może doprowadzić cię do szału, kiedy umierasz.

Leżała z zamkniętymi oczami i myślała o psach, a potem o kotach. Ludzie nie wymagają tak nieprawdopodobnie wiele od kotów, pomy-ślała. Nikt nie oczekuje, że będą się cieszyły, dyszały i machały ogo-nem za każdym razem, kiedy się do nich mówi. Nie... ludzie czują się wyróżnieni, kiedy sprawią, że kot mruczy z zadowolenia.

A ptaki... myślała. Dlaczego wszyscy myślą, że skowronek jest tak pełen radości? Mnie się wydaje, że ptaki są straszliwie zabiegane i wy-

straszone. Mówi się, że ktoś biegnie jak kot z pęcherzem. Dla mnie to ptaki są bardziej nerwowe i zabiegane. Kiedy się widzi ptaki, prze-ważnie skaczą, ćwierkają i ciągle szukają jedzenia... podskubują się

też nawzajem. Widziałam. Są nieznośne, te ptaki.

Ustyszała pukanie do drzwi, gdy zebrało jej się na płacz.

— Proszę! — zawołała, ocierając pośpiesznie łzy w kołdrę.

To był David. Stał w drzwiach szczupły, zbyt szczupły w luźnych spodniach i niebieskiej koszuli. Nie uśmiechał się.

— Podobno źle się czujesz — powiedział. — Co się dzieje?

— Jestem zmęczona, to wszystko.

— Cóż, nie zauważyłem, żebyś ostatnio się przemęczała...

— Każdy się może czasem zmęczyć — odparła Lucia, urażona jego tonem. — W końcu, Davidzie, nie mam piętnastu lat.

— Wyglądasz dziwnie — zauważył. — Chyba powinniśmy wezwać lekarza.

— Nie! — obruszyła się. — Nie chcę wizyty lekarza. Muszę tylko trochę odpocząć.

— Cóż, uważam, że wyglądasz dziwnie — upierał się.

Walczyła ze złością, uspokajała się. Zawsze tak było, myślała. Nawet Tom jest trochę poirytowany, kiedy się rozchoruje. Co ty wyprawa-wiałaś, że się tak przeziębiałaś?

— Nic mi nie będzie, Davidzie. Muszę tylko odpocząć.

— No... — zawahał się. — Nie chcę ci zawracać głowy, ale jest jeszcze coś, o co chciałem cię zapytać. Co się stało z naszym samochodem?

— Jest w warsztacie przy stacji.

— Mam nadzieję, że tam jest — powątpiewał David.

— Jestem tego pewna — powiedziała Lucia.

— Mam nadzieję — powtórzył.

Lucia zamknęła oczy, żeby zniknął drażniący widok jego twarzy.

— Mamo? — zaczął, a kiedy nie odpowiedziała, powtórzył już innym tonem, ze strachem: — Mamo?

— Och, co znowu, Davidzie?

— No, kiedy zamknęłaś oczy... pomyślałem, że może zemdląłeś, czy coś takiego.

Pamiętała, jak kiedyś, kiedy był mały, szarpał ją za rękaw, obudził z głębokiego snu, wrzeszcząc tym samym tonem: „Mamo!”

166

„Co się stało?” — zapytała go wtedy.

Przypomniała sobie, jaki był szczupły i zdenerwowany w swojej pasiastej piżamce, z potarganymi, czarnymi włosami.

„Myślałem, że umarłeś” — powiedział.

„Przykro mi, że cię wystraszyłam, mój drogi” — odpowiedziała mu wtedy. — „Nie martw się już. Odpocznę tylko chwilkę i nic mi nie będzie.”

Uśmiechnęła się teraz do niego, a twarz chłopca wypogodniała.

— Dobra! — powiedział. — Chcesz coś ze wsi, mamo? Może lekarstwo albo coś?

— Nie, dziękuję, kochanie. Ale zapytaj Sibyl, czy czegoś nie trzeba.

To będzie straszne dla Davida, pomyślała, kiedy wszystko się wyda. Chciał, żeby jego matka była nie tylko bardzo przeciętna, ale również nad wyraz godna szacunku, właściwie, prawie niewidzialna. De-nerwowało go nawet, kiedy wypływała na wodę łódką wcześniej, niż było to przewidziane dla matek. Co będzie czuł, kiedy się dowie, co ona robiła na łodzi? A kiedy się dowie o Donnellym?

Upewniwszy się, że jest zdrowa, wyszedł z pokoju, ale ona została, bardzo poirytowana. Cały spokój gdzieś zniknął. Teraz przyjdzie Bee, pomyślała. Bee bała się wczoraj. Wiem, co czuła. Kiedy miałam siedemnaście lat, gdybym się dowiedziała, że moja mama jeździ samochodem z obcym mężczyzną, zostawia gości, których zaprosiła na herbatę i wraca późno, śmierzając whisky... pewnie myślałabym, że to koniec świata. A ja jej nic nie wyjaśniłam.



Wyjaśnić? Wyjaśnić? Ale co ja właściwie zrobiłam? Pomogłam wepchnąć Nagela do skrzyni?

Och, ta skrzynia, to okropne! A potem jeszcze gorsze. Prowadziłam samochód i nie pomyślałam nawet o skrzyni. On tam był, w tej skrzyni, a mnie nawet nie było przykro z jego powodu. A gdyby on jeszcze żył? O Boże!

Pot zrosił jej czoło. Skąd mam wiedzieć, że on nie żył, kiedy go wpychaliśmy do...?

Pukanie do drzwi.

— Mogę wejść, moja droga?

— Och, wejdź, tato!

— Odpoczywasz, co?

167

— Tak, tato.

— To dobrze. Dbanie o dom w takich czasach... to wielki wysiłek.

Musisz czasem odpocząć.

— Cóż...

— Jest pewna zagadka — zaczął, stając obok łóżka — którą możesz pomóc mi rozwiązać.

— Jaka zagadka, tato?

— Chodzi o to — powiedział ciszej — że miałem w barku butelkę szkockiej. Nawet jej nie otworzyłem. Niech mnie kule biją, jeśli nie znikła!

— Ale masz jeszcze jakąś butelkę, prawda?

— Och, tak. Tak. Mam sporo, ale nie o to chodzi, moja droga.

Sam włożyłem tę butelkę do barku przedwczoraj, a teraz znikła. Nie chcę pytać o to Sibyl. Kolorowi są trochę przewrażliwieni... i trudno ich winić. Nie chcę, żeby sądziła, że ją posądzam o kradzież.

— Na pewno by tak nie pomyślała, tato. Ona wie, jak ją lubimy.

Ale Sibyl naprawdę wzięła jego whisky! A ja wypiałam ją prosto z butelki, przypomniała sobie. I Nagel...

— Uświadomiłem coś sobie... — usłyszała. — Może to Bee zaproponowała szklaneczkę któremuś ze swoich przyjaciół?

— Nie dotknęłaby twojej whisky bez pytania. Poza tym ona nie pije. Od czasu do czasu może kieliszek sherry. Bee taka nie jest, tato.

— Nie, nie. Oczywiście. Nie martw się. Odpoczywaj. Poleż sobie. Nie martw się niczym.

Położył jej dłoń na czole.

— Głowa cię boli? — zapytał. — Może łamie cię w kościach, moja droga? Najważniejsze, żeby wszelkie infekcje zdusić w zarodku.

Podniosła wzrok i popatrzyła w jego spokojne, błękitne oczy, które zawsze spoglądały na nią z akceptacją, uczuciem i zaufaniem. Łzy napływały jej do oczu.

— Jestem tylko... zmęczona — powiedziała drżącym głosem.

— Zaraz! Zaraz! — powiedział zaniepokojony. — To do ciebie niepodobne, moja droga. Nerwy...

Zmusiła się do uśmiechu i czuła, jaki to musi być sztuczny i wymuszony uśmiech, ale jego zadowolił.

— Już lepiej! — powiedział. — Napiszę dziś do Toma. Przekażę mu, jak się dzielnie trzymasz, co?

168

Kiedy wyszedł, zaczęła płakać. Miała ochotę szlochać głośno i łkać, ale poczuła jedynie łzy płynące wolno po policzkach. Kiedy przyjdzie Bee? Chciałabym, żeby przyszła, uświadomiła sobie...

Spała jeszcze, kiedy Sibyl przyniosła tacę z obiadem.

— Czy panienka Bee jest w domu? — zapytała.

— Tak, psze pani. Pojechała z paniczem Davidem do wsi i wróci-  
li samochodem.

— Sibyl... Słyszałaś już coś?

— Przynieśli już popołudniową gazetę, psze pani. Jest tam coś.

— Co takiego? Złapali go?

— Przyniosę pani gazetę, jak tylko wszyscy usiądą do obiadu.

— Powiedz teraz.

— Przyniosę pani gazetę.

Czekała, czekała i czekała, nie spojrzawszy nawet na tacę.

— Nie mogła pani nic zjeść?

— Nie. Daj mija, Sibyl.

MORDERCA NIESPODZIEWANIE PRYZNAJE SIĘ DO ZBRODNI

ARESZTOWANY W SPRAWIE DARBYEGO PODEJRZANY

PRYZNAJE SIĘ DO MORDERSTWA

Dziś rano policja hrabstwa Horton uzyskała nie tylko pełne zezna-  
nie na temat przypadkowej śmierci Teda Darby'ego, która nastąpi-  
ła 17-tego, ale również niespodziewane przyznanie się do mor-  
derstwa, o którym nie było nic wiadomo.

O trzeciej w nocy policyjny wóz zabrał Martina Donnell/ego, lat 42, zamieszkującego w hotelu De Vrees  
w Nowym Jorku, na po-sterunek w celu przesłuchania w sprawie Darby'ego.

ŚMIERĆ DARBTEGO NIESZCZĘŚLIWYM WYPADKIEM W oświadczeniu dla prasy porucznik Levy z policji  
hrabstwa Hor-ton powiedział, że zeznania Donnell/ego w sprawie Darby'ego zgadzają się z raportem  
medycznym i innymi dowodami. Według zeznania obaj mężczyźni poldócili się na prywatnym molo  
nieda-leko Glendale Beach, na prywatnej posesji, której Donnelly nie mógł zidentyfikować. W wyniku  
kłótni zepchnął Darby'ego z po-mostu, po czym wsiadł do samochodu, gdzie spał do rana.

Zaniepokojony nieobecnością Darby'ego Donnelly powrócił na molo, gdzie znalazł ciało Darby'ego nabite  
na kotwicę motorówki. Popłynął motorówką na wyspę Simma, jakieś cztery mile od brze-gu, i ukrył ciało  
na bagnach.

## ZASKAKUJĄCE PRYZNANIE SIĘ DO WINY

— Nie byliśmy przygotowani — przyznał porucznik Levy w wywiadzie dla przedstawicieli prasy — na przyznanie się do winy, które później usłyszeliśmy. Donnelly zeznał z własnej woli, że poprzedniego dnia udusił Antona Karla Nagela, lat 57, uważanego przez policję nowojorską za współnika Donnelly'ego w czarnorynkowych interesach.

Idąc za wskazówkami Donnell/ego, policja znalazła ciało Nagela wjeziorze...

— Sibyl! — krzyknęła Lucia.

Ale Sibyl już sobie poszła. Została sama.

Martin, ty głupcze! Oszuście! Głupcze! Nie wywiniesz się z tego. Nie chcesz się wywinąć. Chciałeś, żeby cię aresztowali. Chciałeś się przyznać. Chciałeś umrzeć... na krześle elektrycznym.

Aleja ci nie pozwolę. Powiem porucznikowi Levy'emu prawdę na temat Teda Darby'ego.

To nic nie da. Darby tu już nie ma znaczenia. Chodzi o Nagela. On to zrobił dla mnie. Martin, ty głupcze! Ty głupcze! Wybrałeś sobie taką straszną śmierć. Nie ufałeś mi. Sądziłeś, że cię wydałam. Znów.

Muszę z nim porozmawiać. Muszę się z nim zobaczyć. Nie mogę. Nigdy więcej. Ale to nie może...

— Jest tu porucznik Levy, psze pani — powiedziała Sibyl. —

Mam go wprowadzić na górę?

— Nie, nie. Tu nie może wejść. Nie. Każ mu poczekać. Zaraz będę na dole. Nie... poproś ojca, żeby tu przyszedł.

— Pan Harper wyszedł, psze pani.

Tego już za wiele, pomyślała Lucia. Tego już za wiele. Wstała i w pośpiechu próbowała się ubrać, ale dłonie jej drżały, a serce biło tak szybko. Jaką włożyć sukienkę? Zastanawiała się nad tym, otwierając szafę.

Wyjęła brązową suknię, a potem ją odwiesiła. Wzięła czystą, różową, bawełnianą sukienkę. Ta też nie była odpowiednia. O Boże, mu-

szyć się pośpieszył Jaką włożyć suknię? Wzięła dwie inne i odłożyła je na krzesło. Też niedobre. O Boże, co mam włożyć? Muszę znaleźć odpowiednią sukienkę...

W szafie wisiała szara, flanelowa spódnica z odprutym podłożem. Ta była odpowiednia. Drżącymi dłońmi otworzyła wielki kołszyk z szyciem, gdzie kotłowały się splątane nitki, przędza do cerowania, poduszki na ramiona i kawałki wstążek. Nawlekła szarą nić na wielką igłę do cerowania i podłożyła spódnicę tak krzywo, że była całkiem pofałdowana na dole. Włożyła spódnicę, białą bluzkę i zapominając obejrzeć się w lustrze, zeszła po schodach do salonu. Zdawało jej się, że słyszy głos pani Lloyd, ale to chyba niemożliwe...

Stała w przedpokoju tuż przy wejściu do salonu i słuchała. W środku naprawdę była pani Lloyd. Siedziała na brzegu krzesła. Dziś była ubrana bardzo elegancko, w wysoki, czarny kapelusz z cyklamenową woalką. Właśnie ściągająca też cyldamenową rękawiczkę. Ale porucznika Ley/ego nie było w salonie.

Pewnie jest w jadalni, pomyślała Lucia i już ruszała w tę stronę, kiedy zawołała ją Bee: — Mamo!

— Przepraszam... — powiedziała Lucia. — Przepraszam, ale muszę się zobaczyć z porucznikiem Levym.

— Nie ma go, mamo. Mamo, jest tu pani Lloyd.

— Wiem, ale...

Bee przeszła przez pokój i wzięła matkę za rękę.

— Chodź, usiądź, mamo.

To jest nieludzkie ze strony Bee, że upierała się, bym usiadła i rozmawiała z panią Lloyd. Lucia opierała się jak zbuntowane dziecko, ale Bee i tak ją ciągnęła.

— Obawiam się, że wypłoszyłam stąd porucznika — odezwała się pani Lloyd.

— Och, nie! — zaprzeczyła Bee. — Mówił mi, że to nic ważnego.

Przyszedł tylko, żeby ci powiedzieć, mamo, że sprawa Darby'ego została rozwiązana.

— Byłam na spotkaniu komitetu w szpitalu — zwierzyła się pani Lloyd. — Wszyscy mówili o tej sprawie. Ten Donnelly to straszny de-

sperat. Podobno walczył z policją jak tygrys przez wiele godzin.

Musieli postrzelić go w nogę, zanim się poddał. Pani Ewing słyszała strzały...

171

T

— Obawiam się, że pani Ewing się myli — wtrąciła Bee. — Pan Donnelly nawet nie próbował uciekać.

— Ale ci gangsterzy zawsze przeciwstawiają się policji, prawda?

— Pan Donnelly nie jest gangsterem — ciągnęła Bee. — My go znamy.

— Znacie go? — westchnęła pani Lloyd zafascynowana.

— Tak. I lubiliśmy go, dziadek, David, ja i mama...

— Nie byliście oburzeni, kiedy się dowiedzieliście, co zrobił?

— Nie — powiedziała Bee, wstając. Usiadła na oparciu kanapy obok Lucii i położyła dłoń na ramieniu matki. — Było nam bardzo przykro.

Jej ręka leżała ciężko na ramieniu matki.

— On ma wiele zalet — dodała. — Ale wojna sprawia, że ludzie robią... dziwne, straszne rzeczy. — Jej głos teraz trochę drżał. —

Zwłaszcza ludzie w średnim wieku.

— Och, naprawdę tak sądzisz? — zapytała pani Lloyd trochę zaskoczona.

— Tak — odparła gwałtownie Bee. — To sprawa psychologii. Ludzie w średnim wieku czują się... trochę odrzuceni. Jakby dla nich wszystko się skończyło. Nagle nabierają chęci na przygodę...

To nie Donnelly'ego bronila, ale matki. Próbowala zrozumiec dziwaczne i straszne zachowanie matki, próbowała przedstawic je jako nieodpowiedzialne, żalosne, jako ostatnie wybryki kobiety w średnim wieku. Lucia spojrzala w gore i napotkała jej wzrok.

— Mamo — powiedziala Bee. — Przykro mi, że tak się źle czulas, ale nie chciałam cię niepokoic.

Zapomniała o pani Lloyd, tak ważnej osobie w scenariuszu jej życia. Chciala teraz tylko, by Lucia ją rozumiała, by ją kochala.

— Ja na razie zajmę się domem, mamo, a ty się niczym nie zajmuj.

Me zajmuj się...

— Wybaczcie, panie! — Pan Harper pojawil się nagle przed nimi.

— Jest tu pewien młodzieniec z gazowni i chce zobaczyc umowe, Lucio.

— Jaką umowe, ojczec?

— Mówi, że właściciel domu podpisal z nimi umowe na utrzymanie instalacji. Na pewno zostawil ją tobie, moja droga.

172

— Nie pamietam, zebym coś takiego widziala.

— Cóż... — rzekł pobłaźliwie, z rezygnacją — jeśli nie znajdziesz umowy, moja droga, będziesz musiała płacic krocie za naprawę tej lodówki. — Uśmiechnął się do pani Lloyd. — Obawiam się, że wy, damy, nie zajmujecie się zbyt wiele umowami...

— Ja zawsze wszystko gubię — przyznala się pani Lloyd.

Oto moje życie, pomyślała Lucia. To, czego się bałam, nie wydarzy się wcale, ani hańba, ani wstyd. Nie wiem, czy porucznik Levy wierzy w historyjkę Martina na temat śmierci Darby'ego, ale ją przyjął. Mnie nic się nie stanie.

Oto moje życie. Toczy się dawnym torem. Nie skrzywdziłam dzieci, Toma, ojca. Nie zgorszyłam ludzi takich jak pani Lloyd. Wreszcie zjawił się człowiek do naprawy lodówki. Tak już będę żyć.

Wszystko, co się wydarzyło, musi być zepchnięte na dalszy plan. Drobiazgi codziennego życia przykryją to jak spadające z drzewa liście. Tak naprawdę nie jestem pewna, co mi się przydarzyło, rozmyślała. Nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Może nigdy nie będę miała czasu. Albo może, kiedy będę stara, w ciszy i spokoju...

Weszła Sibyl z herbatą i tostami cytrynowymi. Masło na tostach to była margaryna barwiona na żółto, cytryna był sztuczny. Lucia z nieoczekiwanym zainteresowaniem przeczytała kiedyś napis na puszcze i przypomniała sobie. Imitacja cytryny. Aldehyd cytrynowy. Eugenol. Olejek cytrynowy i sporo innych rzeczy.

Ale nikt nie widzi różnicy, pomyślała. Tylko Sibyl i ja.